Wrocław XII. 1975 rok
Koniec roku 1975 sylwester
rozpoczynam pisać sagę
mojego życia oraz mojej
rodziny.

WIEŚ

Było to dawno temu kiedy rodzina nasza przybyła w te strony. Kiedy do było zapytaj jeden z chłopców? Ojciec nie odpowiadał, dokładał drew do pieca i myślał. Dla niego czas rozpoczynał się od dziadka a dni liczone były zrywanymi kartkami kalendarza. Rozpoczął ponownie, dawno temu, jeden z naszych przodków przybył tutaj. Rodzina nasza pochodzi ze wsi szlacheckiej Bałogowo koło Pleszan. Mieliśmy tam posiadłość i byliśmy szlachtą herbową, szczyciliśmy się herbem Lubicz. Było trzech braci którzy brali udział w powstaniu listopadowym, jeden z nich był w ~~Pleszewie~~ w czwartym pułku ułanów. Po powstaniu zabrano im tą posiadłość i władze rosyjskie przydzieliły ją jednemu z oficerów rosyjskich odznaczonych za udział w bitwie pod Ostrołęką. Bracia ścigani przez rosjan, rozproszyli się a jeden z nich przeszedł na lewą

stronę Narwi w obszar bagien Pulwy, a potem przeniósł się do Puszczy Białej i tak trafił w rejon wsi Gródek i tu osiadł, i my tu teraz mieszkamy. Ale NIE od razu zamieszkał nasz pradziadek w Gródku, najpierw był rządcą w folwarku Cygany a następnie mieszkał w Kątach Lutrach a dopiero kiedy urządzono wieś na system kolonijny nabył gospodarstwo czterdziesto morgowe, którego połowę my dzisiaj posiadamy a drugą połowę posiada stryj Władek. Znowu chłopiec wtrącił: pamiętam ten dom gdzie mieszkaliśmy z dziadkami i pamiętam jak naładowanym wozem różnymi rzeczami przyjechaliśmy tutaj. chłopcem ja byłem ja Ojciec się zastanowił, przecież chłopiec ten miał niespełna dwa lata i mógł to pamiętać. Tak, tę osadę karczemną kupił ~~dzi~~ ojciec waszej matki a wasz dziadek od żyda nazywał się Zołądk i dał ją jako posag matki i tu teraz mieszkamy i prowadzimy karczmę. Zaciekawi nas napewno, co kroniki podają na temat tej wsi, ale zadziwiająco są one szczegółowe można powiedzieć z jezuicką dokładnością

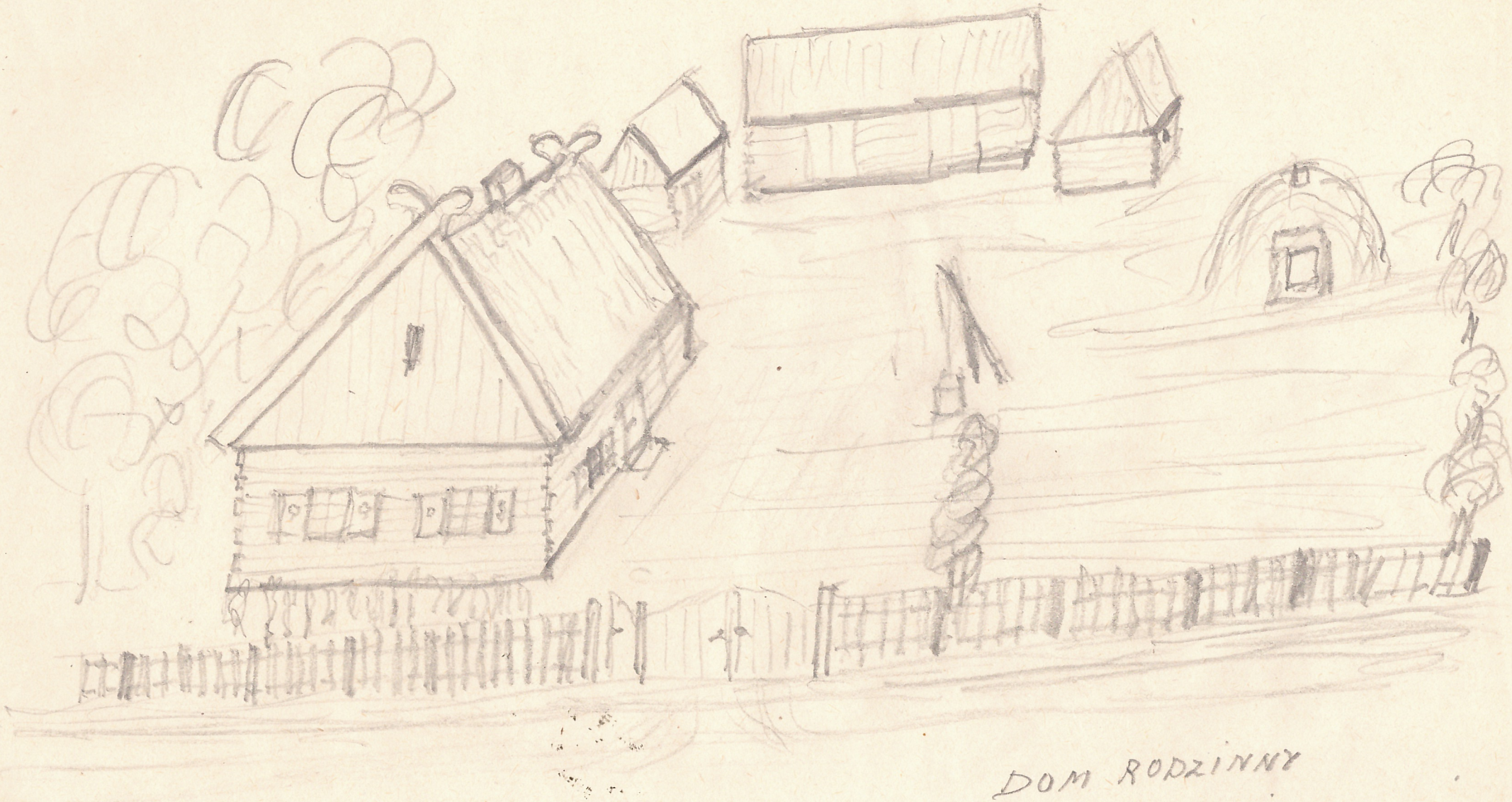

DOM RODZINNY



KARCZMA

duchowieństwo też chciało egzekwować dokładnie swoją dziesięcinę, bo tereny te należały do dóbr biskupów płockich administrowane przez kanonię pułtuską. A oto co podaje Słownik Geograficzny królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich. Wydanie. Warszawa. Nakładem Filipa Sulimierskiego i Władysława Walewskiego. Druk „Wieku" Nowy Świat 59 rok 1881 /tekst dosłowny/ Nazwa: Gródek - pozycja 9 - G. wieś zamieszczona w liczbie kurpiowskich prze Pola (w Puszczakach Mazowsza), pow. pułtuski, gm. i par. Obrytte. Dobra G., składające się z folwarku wsi i wójtostwa G., Ciółkowo i Gładczyn, wsi Wielgolas i powstałej w końcu zeszłego stulecia osady Kąty Lutry, wchodziły w skład dóbr biskupów płockich. Po zabraniu dóbr biskupich na rzecz skarbu, dobra Gródek wcielono do ekonomii Obrytte; w 1855 r. zaś dodawszy do nich wieś i folw. Skorzenice z ekonomii Gołądkowo oddano Gródek ks. Gorczakowoi na czas trwania towarzystwa kredytowego, zaciągnionego na utworzonym i nadanym księciu Gorczakow w tymże roku majoracie Obrytte. We wsi G. egzystowało kiedyś wójtostwo; przywilejem z 8 czerwca 1796 r. Hilary Krzysztof Szembek

bisk. płocki nadaje go małżonkom Taraszewiczom w używalność addies vitae za 2 złp. czynszu rocznego; czynsz ten, po przejściu dóbr biskupich na rzecz skarbu, podwyższono za czasów pruskich na 73 złp. 18 gr. półszel. Przy początku obecnego stulecia we wsi znajdowało się 4 osad. trzydniowych, 12 dwudniowych, 1 jednodniowy, 1 czynszownik i 6 ogrodników; oprócz tego do wsi Gr. zaliczano znajdującą się w pobliżu osadę Kąty Lutry. Każda osada trzydniowa odrabiała rocznie 78 dni sprzężajnych i tyleż pieszych, dwudniowa 52 sprz. i 52 pieszych, jednodniowa 26 dni sprz. i 26 piesz.; nadto każda osada, bez względu na nazwę, odrabiała rocznie 6 dni tłoki w żniwa i 16 dni stacyjnych /poza żniwami/ i oddawała do dworu 2 kapłony, 3 łokcie przędzy, kurę i 2 zł. 18 gr. za robienie kaszy; oprócz tego osady trzydniowe płaciły po 20 gr. czynszu, 23 złp. 20 gr. 1 sz. dziesięciny do dworu i 15 jaj; dwudniowe i jednodniowe po 10 gr. czynszu, 10 złp. 8 gr. 1 sz. /jednodniowe tylko 5 złp. 8 gr. 1 sz./ dziesięciny do dworu i 8 jaj; czynszownik ponosił też same ciężary co osady trzydniowe, ale był wolny od pańszczyzny. Nadto cała

gromada płaciła 37 zł p. 24 gr. kyberny i dziesięcinę duchowieństwa, pod nazwą „Sepu" /moja uwaga: znaczy żsypu/ t. j. z każdej osady krzydniowej i czynszowej po 8 gar. żyta i 8 gar. owsa, z dwudniowej po połowie. Zagrodnicy byli wolni od wszelkich prestacyj. Za czasów pruskich naturalia zamieniono na pieniądze i pozostawiono paiszczyznę; paiszczyznę włościanie odrabiali do miejscowego folwarku, czynsze oddawali do nadleśnictwa ekonomii Obrytke. W 1822 r. we wsi 6. znajdowało się 5 osad krzydniowych z których 3 wyłewato rocznie 4 korce jarzyny 4 korce ozim. inne 5 korcy jarz. i 3 ozim. 12 osad dwudniowych po 3 korce jarz. i 3 ozim. i 5 jednodniowych z których dawie wyłewato po 1 i pół korca jarz. i tyleż ozim. inne po 1 korcu jarz i 1 ozimi; karczma. Osady jednodniowe powstały z dawnych zagrodniczych, paiszczyzna z osad pozostała taż sama, co przedtem, tylko osady jednodniowe zamiast dawniejszych 16 dni stacyj i 6 fur odrabiają po 8 dni 4 fury. Czynsz za naturalia i prestanda wynosił 487 zł p. 11 gr. Było wtedy 22 mężczyzn, 21 kobiet., 17 syn. i córek młodych od 10 lat, 9 syn. i 6 cór starszych nad 10 lat; 11 parobków, i 20 dziewczyny,

Ogółem 129 mk. /z tąd 7 żyd.; w powyższych liczbach nie jest zaliczone wójtostwo i folwark/. Gromada posiadała 18 koni, 38 wołów, 32 krów, 35 jał., 39 świń, 44 owiec. W 1827 r. w całe wsi 32 dm., 122 mk. W czasie urządzenia majoratu Obrytte w 1846 r. wś G. urządzono kolonialnie. Wójtostwo zniesiono; część jego gruntów wcielono do folwarku, część oddano na korzyść gromady. Folwark otrzymał 746 mr., wieś 1313 mr.; we wsi utworzono 27 osad rolnych, /po 37-40 mr./ karczemną i kowalską po 1 i pół mr., osadę 35-morgową dla strażnika leśnego i 3 os. po 30 m. dla strzelców. Pańszczyznę zniesiono i ustanowiono czynsz czysty, po odtrąceniu wszelkich wydatków wynosił 321 rs. 18 i pół kop. Obecnie 2059 mr. na folw. i wsi. Tyle podaje słownik geograficzny ale jeżeli chwileczkę zastanowimy się nad tą notatką to zadziwia nas drobiazgowość danych na ten czas i przerażający haracz jakim obciążeni byli mieszkańcy tej wsi a zapewne i wszystkich innych. Do moich czasów to jest do początku dwudziestego wieku dotrwał jeszcze zwyczaj z sypu na rzecz kościoła, co prawda już nie obowiązkowy ale był. W moich czasach, że tak powiem, żyła jeszcze jedna

kobieta mająca sto kilka lat, która pamiętała pańszczyznę, powstanie listopadowe oraz potyczki wojsk rosyjskich i polskich na tych terenach oraz dobrze pamiętała powstanie styczniowe. Ponadto z czasów powstania styczniowego żyła żona dowódcy powstańców w tym rejonie pani Bartułt, która opowiadała mi o moim pradziadku zajmującym się zaopatrywaniem powstańców. Pańszczyzna formalnie się skończyła ale tu i ówdzie wymuszano poddawanie się pańszczyźnie. Pradziadek objął gospodarstwo we wsi więc i od niego żądano powinności pańszczyzny ale jako szlachcic odmówił ale kiedy chciano zmusić go siłą i przysłano ekipę do ukarania go, powstała bójka w której ekipa dworu została sromotnie pobitą. Jeden z synów pradziatka słynął na okolicę z nieprzeciętnej siły. Opowiadano o nim, że czterech chłopów uwieszonych na drągu nosił bez większego wysiłku, wołu kład ze rogi a ze ściśniętego dębczaka w dłoni wyciekał sok. To też ekipa dworu nie miała wiele do powiedzenia i cała sprawa przymusu się zakończyła. A wróćmy do karczmy gdzie nasze opowiadanie się zaczyna. Gdybyśmy zlokalizowali na mapie

miejsce gdzie znajduje się karczma, ustawili w tym miejscu nóżkę cyrkla i promieniem dwuch kilometrów zatoczyli koło, to powierzchnia koła objęłaby obszar wsi. Częściowo osady i ich zabudowanie usytuowane regularnie częściowo rozrzucone bez uzasadnienia, ale właśnie życie musiało się dopasować do historii jej powstawania. Z rejonu karczmy drogi rozchodziły się na wszystkie kierunki. W kierunku zachodnim szła zasadnicza droga na Pułtusk a od karczmy za wąskim pasmem mokradła stały stare zabudowania folwarczne pamiętające czasy powstawania folwarku a za folwarkiem droga na Zamski. Przed folwarkiem a za mokradłem droga na ~~Cygan~~ północ na Cygany. Na wschód szła droga na kierunek ~~Biało~~ Rzęśnik następnie Białystok. Na tym kierunku zabudowania wsi były dziwnie skupione raczej bezładnie. Tuż za karczmą na tym kierunku stał pojedyńczy budynek mieszkalny nazywany wartownią a w niedużej odległości za nim stał stary budynek i to było lokum dawnego wójtostwa. Tę część wsi nazywano Koszary. Ma to pewne uzasadnienie. W tym rejonie kwaterowały przez jakiś czas wojska napoleońskie

w czasie wyprawy na Moskwę. Należało przypuszczać, że był to okres chłodów, gdyż opowiadano, że francuzi skupiali się przy piechach, prawdopodobnie to spowodowało, że w tym rejonie karaluchy, które gnieżdżą się za piecami, nazwano francuzami. Opowiadano anegdotę, że kiedy Napoleon jechał przez wieś, wyszedł chłop na przeciw i zapytał: dokąd cesarzu jedziesz, Napoleon odpowiedział na Moskwę, na to chłop ale uważaj panie na swoje tyły. Przypuszczalnie anegdota ta powstała po klęsce Napoleona w Rosji. Ale z tego okresu pozostały pewne formy umocnień polowych, które nazywano okopami a budynek zwany wartownią, to była wartownia przed wejściem do obozu. ~~Ty~~ Na kierunek południowy od karczmy szła droga na Sadykierz i Pniewo. Wzdłuż tej drogi osady rozlokowane regularnie i była to część wsi ~~sy~~ zabudowana systemem kolonialnym o czym wspomina Słownik Geograficzny. Poza obszarem pól wsi znajdowały się lasy sosnowe w styczności bezpośredniej z polami lub w nieco dalszej odległości. W dawniejszych czasach lasy te przylegały bezpośrednio do pól otaczających wieś. Sam obszar

terenu wiejskiego był poprzecinany
wąskimi pasami bagnistymi co
w znacznym stopniu utrudniało
komunikację szczególnie w okresie wiosennym
lecz do miało swój urok gdyż dzieciarnia
miała możność korzystania z ślizgawek
w okresie zimy. Pola poszczególnych
gospodarzy pasami pod od krańca do
krańca granic. Na polach dominowało
żyto oraz niewielkie pasma innych
zbóż, na tyle na ile było to konieczne
dla poszczególnych gospodarstw. Po za
zabudowaniami otaczał wiatrak
tak stary jak wieś. Później przybył drugi
na drugim krańcu a w końcu obok
karczmy stanął mity napędzany
silnikiem spalinowym ale to już
przykład dwudziestego wieku. Między
karczmą a posterunkiem był most
który miał duże znaczenie w komunikacji
ze światem a szczególnie z Pułtuskiem
najbliższym ośrodkiem handlowym.
Wróćmy do karczmy. Zabudowania jej
nie były zbyt stare a więc należało
sądzić, że pierwotne zabudowania były
inaczej usytuowane na co wskazywało
miejsce studni. Sam budynek karczmy
stał na podwyższonym terenie, z tyłu za
nim zabudowania gospodarskie, tj. gotępnie

po przeciwnej stronie drogi studnia. a zastudnią dom zajmowany przez żydów dawnych właścicieli karczmy. Ogólny charakter zabudowań robił wrażenie małego dworku. Wewnątrz budynku karczmy była duża izba karczemna o trzech oknach, tu stał bufet, półki z towarami oraz stoły i ławy wokół ścian, za tą dużą izbą była mała izba zwana alkierzem, służąca dla selektywnych gości. Druga część budynku to była izba mieszkalna dla nas, kuchnia i dodatkowo dobudowana wędzarnia. W karczmie sprzedawało się wszystko co potrzebne było miejscowej lub przejezdnej ludności. Dominowało jednak piwo, wyroby wędliniarskie i tytoń. Piwo sprowadzane było z browaru w Wyszkowie i Pułtusku ale lepsze piwo było z Wyszkowa to też wiele gości przejezdnych wstępowało aby napić się dobrego piwa beczkowego z Wyszkowa. Zanim rozpoczniemy opis życia ludności tych okolic, zrozumieć ich psychikę musimy rozejrzeć się po Puszczy Białej, która już dzisiaj stanowi tylko nazwę historyczną dawnej bujności lasów, obfitości zwierza. Królował tu tur, dzik, łoś no i nie brakowało wilków, o których krążyło dużo fantastycznych opowiadań.

Gdybyśmy ustawili cyrkiel w zlokalizowanym miejscu kartezjuszy, i promieniem piętnastu kilometrów zakreślili koło, to powierzchnia jego obejmuje prawie całą Puszczę Białą, zlokalizowaną w widłach rzek Narwi i Bugu a od północnego wschodu zamyka ten obszar bagna nadnarwiańskie Pulwy. Geograficzna nazwa tych bagien jest rzadko spotykana ale miejscowa ludność tych obszarów posługuje się tą nazwą popularnie. Tak w pewnym sensie odizolowany obszar wytworzył swoiste specyfikę terenu i swoisty charakter ludności. Bagniste obszary Pulw ze swoimi odnogami wniknęły głęboko w Puszczę Białą co w znacznym stopniu utrudniało komunikację i pozwoliło przetrwać tym obszarom w swoim pierwotnym stanie. Człowiek jednak potrafił uporać się z tymi trudnościami i dalekiej zniknęły dawne lasy, bagna i zarośla. Możemy pozwolić sobie na małą dozę wyobraźni i cofnąć się o kilka wieków wstecz aby stworzyć dawny obraz puszczy. W swoim pierwotnym stanie, królowała tu brzoza na terenach wyższych a wzdłuż parowów olcha, ~~na terenach bardziej~~

na terenach bardziej żyznych był dąb i grab, ale największe tereny zajmowała brzoza z tąd biel puszczy a więc i nazwa Puszcza Biała. W miarę przybywania ludności w tym obszarze, najszybciej ginęła brzoza. Drzewo to używano w pierwszym rzędzie na opał i węgiel do kuźni, następnie na meble i narzędzia rolnicze, urządzanie zagród a przedewszystkim płoty wyplatane młodą brzozą. Okoliczne miasteczka nad Narwią i Bugiem a nawet Warszawa były głównymi odbiorcami tego drzewa opałowego. Tak topniała, można powiedzieć brzoza a powoli na jej miejsce przychodziła sosna. Zwierzyna dzika miała tu idealne warunki rozwojowe i była obfita, źródło mięsa dziczyzny i futer dla okolicznych miast i samej ludności zamieszkującej puszczę. Możemy się nawet domyślać o istnieniu pewnych ośrodków myślistwa na przykład miejscowość Psary, której nazwa pochodzi od utrzymywania psiarni dla większych polowań. Zwierzostan puszczy zginął bardzo gwałtownie a można określić go czasem bitwy pod Grunwaldem.

Tym obszarem ciągnęły wojska litewskie pod Grunwald, znany to szlak litwinom z napadów na Pułtusk, które trzeba było zaopatrzyć w mięso a ponadto trzeba było dostarczać zaopatrzenie dla wszystkich wojsk Jagiełły. Wybito tury, łosie dziki, jelenie. Pracowity to był okres w puszczy ale spowodował zniszczenie z wierzostanu prawie kompletnie. Pozostała tylko zwierzyna drobna i ptactwo, które również wycofywało się w miarę osuszania terenów. Niewielka ilość ludności zamieszkała na tych terenach zmuszona była szukać nowych źródeł egzystencji a więc rolnictwo i pszczelarstwo. Były okresy spożywania dużej ilości miodu i pszczelarstwo dawał dochody, to też zawód ten rozwinął się dość szeroko w tym rejonie a więc bartnictwo w pierwszym rzędzie. W lasach było pełno barci. Barć drzewo dłubane na wysokości około pięć metrów nad poziomem ziemi gdzie miał siedlisko rój pszczół. Bartnik posiadał swój rejon którym się opiekował a ponadto posiadał pasiekę przyzagrodową. Jeszcze na początku ~~dzie~~ dwudziestego wieku to jest w mojej młodości można było spotkać w lesie barcie ale już bez pszczół. Jednak pewne nałogi związane

z pszczelarstwem pozostały wśród ludności. Wsi obfitywały w pasieki a czasem pojedyńcze ule przy zagrodach. i tak przy naszej karczmie stał również ul. Przybywało ludności, powstawały nowe osady, czasem pojedyńcze, czasem w grupach po parę rodzin, zaczęły powstawać wioski. Nazwy wiosek miały podłoże związane z charakterem terenu, zajęciem ludności, lub okolicznością w jakiej powstały. Przytoczę tylko nazwy ~~najbliższe~~ wiosek znajdujących się najbliżej Gródka. Więc tak: Psary, nazwa pochodzi od psiarni utrzymywanej dla celów polowań; Obryte – rejon obfitej i łości dzików, które ryły teren; Rzęśnik (może Grząśnik) bliski terenów podmokłych i bajor pokrytych rzęsą; Sadykierz – rejon ruchomych piasków stabilizowany sadzonymi krzewami. A Gródek? Tu szukałem podłoża tej nazwy, było to dla mnie zagadką. Musiał tu być jakiś mały gród raczej gródek, ale gdzie? Jako chłopiec już obeznany trochę z historią z pasją poszukiwałem śladów tego gródka, czepiałem się nieprawdopodobnych domysłów. Czas znaleziony odłamek fajansu, garnka glinianego, stara moneta, pobudziła moją wyobraźnię, czasem nawet odłamki cegły

przykuwały moją uwagę. Ale poważniejszych śladów nie znalazłem. Najstarsze wzmianki znalazłem w rejonie karczmy a Łyta ona z czasów Zygmunta ~~Augusta~~ a więc wiek XVI lub XVII karczma prawdopodobnie istniała, albo Łyta ku jakaś osada. Drugie miejsce które mogło być brane pod uwagę, tylko ze względów drewnowych, to Łyt folwark. Zagadką jednak dla mnie Łyto jedno miejsce na naszym gospodarstwie odległym około kilometra od karczmy. Znajdowały tam odłamki kolorowego szkła, wyorywało się kawałki cegły w miejscu o którym nikt nie pamiętał aby w tym miejscu stały jakieś zabudowania. To właśnie miejsce Łyto poszukiwaną zagadką i do tego tematu powrócę w dalszym moim opisie. Najstarsze wzmianki jakie znalazłem o dobrach tego rejonu dobrzyńskiej wsi Obryte, gdzie podano: kościół parafialny murowany erygowany w 1242 roku. Obecny kościół jest z 1852 r. i w tym czasie Łyta również szkoła. Ludność środka i okolicznych wiosek należała do tej parafii. Najwięksee rolę w życiu miejscowej ludności odgrywał Płock i dzielił z nim swoje powodzenia i niepowodzenia, tu odbywały się wielkie wymiany handlowe, tu zaopatrywała się

ludność we wszelkie artykuły potrzebne jej do codziennego życia a których nie mogła sama wyprodukować, tędy przychodziła cywilizacja i kultura. Największą tragedię przechodził Pułtusk w XIV wieku. Napady Litwinów w latach 1325, 1338 i ostatni w 1368 r. pod wodzą Kiejstuta. Zniszczone miasto i spalony zamek wraz z obrońcami. Najezdcy otoczyli warownię stosami drzewa i zapalili, a zamek drewniany również spłonął. Pod koniec XIV wieku napady na Pułtusk ustały, miasto się odbudowało i stało się ważnym ośrodkiem handlowym i kulturalnym dla okolicznej ludności. Okres ten był przełomowym dla mieszkańców puszczy. Biskupi Płoccy bardziej zainteresowali się tym rejonem mając na uwadze własne korzyści, puszcza zaczęła się zaludniać. Powstawały folwarki a wokół nich osady, przyszła pańszczyzna. Wolny mieszkanie puszczy musiał dźwigać coraz to większe obowiązki nakładane na niego serwituty, przekraczały czasem jego możliwości ale wciąż mógł on jeszcze korzystać z dóbr puszczy którą traktował jako swój warsztat pracy. Ta forma trwała parę wieków to też nic dziwnego, że wśród ludności ukształtowała

się pewna forma poczucia własności. Puszcza była ich warsztatem pracy. Tak wychowane kilkanaście pokoleń wycisnęło pewne piętno, a ślady tego stosunku do puszczy przetrwały do moich czasów, to jest do początku XX wieku. Gwałtowny wzrost ludności przyszedł w okresie zniesienia pańszczyzny. Ludność przybywała z różnych okolic i obejmowała gospodarstwa oczywiście nie za darmo lecz płaciła rublami na rzecz rządu rosyjskiego. Paradoks, ci którzy uważali tę ziemię za własną i polską musieli płacić haracz na rzecz Rosji, to też z zasady ludność odnosiła się wrogo do okupanta.

Jak widzimy z powyższego ludność puszczy nie stanowiła jakiejś zwartej odrębnej grupy. Puszcza kształtowała charaktery ale nie kształtowała jednolitych zewnętrznych cech, bo były to tylko pojedyńcze osady lub małe grupy osad a praca w puszczy trwała zimą i latem. Dopiero w XIX wieku napłynęło dużo ludności powstały zgrupowane wioski i wtedy zaczął się wytwarzać pewien charakter regionalnych zwyczajów i sztuki ludowej. Pierwsza sztuka ludowa pojawia się w budownictwie a więc dekoracje domów wyciętymi

w drzewie ozdobami. Następnie przychodziły z miany w ubiorze kobiet. Ubiory mężczyzn nie przechodziły tej ewolucji, od siermięgi i samodziałów odrazu przeszli na ubiór podobny do miejskiego w swojej najprostszej formie, przemysł zaspakajał ich potrzeby. Ubiory kobiet poszły po zupełnie innej linii. Pierwotne czarne lub siwe okrycia słabo zdobione tasiemkami i cekinami przekształcały się w jaskrawo kolorowe okrycia bogato zdobione i haftowane. Za mojej pamięci moda zmieniała się parę razy, lecz zawsze ilość ozdób była większa. Bielizna kobiet była tylko lniana. Górna część bielizny to jest od pasa w górę była z płótna cienkiego obficie haftowana, czerwonymi nićmi na kołnierzu zakończonym koronką w formie kryzy i tak samo mankiet rękawa. Ten sam haft występował na rękawie koszuli poniżej barku. Dolna część koszuli poniżej pasa była z grubszego płótna lnianego bez ozdób. Te dwie części łączone były w pasie. Kobiety nie nosiły majtek ani biustonoszów. Na koszulę ~~przychodziła~~ nakładana była sukienka zwana kiecką, to była najważniejsza część ubrania i najbardziej ozdobna, tu był cały kunszt sztuki ludowej. Od pasa w górę to był kabat bez rękawów, sznurowany, lub zapinany na haftki

na przodzie, przylegał dokładnie do klatki piersiowej i podtrzymywał piersi nadając im zgrabny kształt. Kabat na przodzie i wokół barków zdobiony bardzo obficie tasiemkami i cekinami, to był kunszt zdobnictwa ludowego. Od pasa w dół to była spódnica do pół łydki, ułożona w gęste fałdy i na wysokości około 20cm. od dołu szedł szeroki pas ozdób z cekinów. Cała kiecka to samodział utkany z wełny lub włóczki o pasach pionowych grający różnymi kolorami ale zasadnicze kolory to jaskrawo zielony i jaskrawo czerwony inne kolory to tylko dodatek dla stworzenia ładnej kompozycji. Na przodzie zapaska zwana fartuchem, zrobiona tak samo jak ~~fartuch~~ kiecka. Fartuch wokół na krawędzi zdobiony wokół cekinami a z tyłu wiązany wstążką. Fartuch miał pasy poziome i był gładki, to jest nie układany w fałdy. W dni chłodne i dżdżyste kobiety nosiły fartuch w formie peleryny sięgającej do pół uda. Na głowie chusteczka kolorowa w kwiaty, przemyśle i z fantazją wiązana z tyłu. Włosy splatane w warkocze, czasem zwijane w kok. Chodziły przeważnie boso, przynajmniej w lecie ale na wszelkie oficjalne wystąpienia zakładały trzewiki i pończochi dziane z nici.

Trzewiki z cholewkami do pół łydki sznurowane na pół wysokim obcasie, często zdobione oczkami i haczykami do sznurowania. Tak ubrane kobiety fotografuje Barwny korowód w drodze do kościoła lub na wszelkiego rodzaju wiejskich uroczystościach. Niektórzy badacze folkloru lub etnografii, ludność ta osiadłą zaliczają do grupy Kurpiów, nawet sami ludność stroje ludowe kobiet nazywa kurpiowskimi ale to nazwa ostatnich czasów. Włączenie osiadłej tej ludności do grupy etnograficznej Kurpiów jest niezasadnione. W tym regionalnie ludności Puszczy Myszyniekiej nie miały do żadnego dostępu, gdyż te dwa rejony są szczelnie odsiebie odizolowane. Rzeka Narew i bagna Pułazy w swoim czasie stanowiły przeszkodę nie do przebycia. Sposób tworzenia się osad jak podałem poprzednio, całkowicie potwierdza i uzasadnia to stanowisko. Gdybyśmy chcieli wymyślić nazwę dla osiadłej tej ludności, to może byłaby najstosowniejsza nazwa „Pułazacy", bo w zamierzchłych czasach bagna Pułazy sięgały aż do środka Puszczy Białej. Nazwiska ludności tych rejonów również potwierdzają moją tezę. Najstarsze nazwiska

to Łada, jeszcze starosłowiańskie, dalej Podlasin, Deptuła, Stworzyjanek, grupa nazwisk chłopski ale najwięcej znajduje się tu nazwisk szlacheckich z końcówką wski lub cki. Była to szlachta uboga, która chcąc poprawić swoją egzystencję, przyjmowała tu osady. Szlachta ta przybywała z prawego brzegu Narwi. Część tych przybyszów to byli powstańcy z powstania Listopadowego i Styczniowego ścigani przez władze rosyjskie. Do tych rejonów władza rosyjska docierała dość słabo, ostrożnie zapuszczano się w te rejony. Legenda miejscowa podaje taki wypadek. Pewnego razu zjawili się kozacy, było ich kilkunastu, zajechali przed karczmę, a wtedy jeszcze posiadał ją żyd, uwiązali konie przy płocie wokół karczmy, popuścili popręgi i weszli na popicie okowity. W karczmie było dość dużo chłopów, którzy już trochę tej okowity wychylili. Żyd przyjął kozaków uprzejmie, nisko się kłaniając, - popatrz jak im bije czołem - zagadnął któryś z chłopów. Kozacy odpędzili gawiedź od bufetu, co nie podobało się chłopom, i zaczęli popijać, tak po swojemu. Chłopi zbili się pod ścianami ale okowita już szumiała więc i co

odważniejsi, a odwagi nie było im brak, zaczęli okazywać swoje niezadowolenie z przybyszów. Kozacy po większych łykach okowity, też stali się bardziej agresywni. Rozpoczęło się od drobnych popchnięć, dalej poszły w ruch pięści, w karczmie było ciasno, nie można było dobyć szabli, uczyniło się kłębowisko ludzkie. Cała ta masa ludzka wywalała się przed karczmę, poszły w ruch sztachety z płotu, kłonice, nie pomogły szable, kozacy wskakiwali na konie i uciekali na groblę w stronę Pułtuska ale nie wszyscy zdążyli trafić na drogę i niektórzy ugrzęźli w bagnie, ci najwięcej byli poszkodowani. Tak się zakończyła bitwa chłopów z kozakami. Legenda nie podaje jaki był finał tego incydentu, w każdym razie nic nie mówi o konsekwencji tej bijatyki. Od tego czasu kozacy w tych stronach się nie pokazywali aż do czasu pierwszej wojny światowej ale wtedy były inne okoliczności. Żandarmi rosyjscy, którzy mieli posterunek w Obrytem, też rzadko się pokazywali ale z nimi nikt się nie liczył. W okresie porozbiorowym, życie we wsi biegło monotonnie. Każdy gospodarz starał się

utrzymać i wyżywić rodzinę oraz zapewnić swoim dzieciom jakiś minimalny start. Powiększania się ilości ludzi powodował dzielenie gospodarstw na pozostałości gruntów rolny, powstawały gospodarstwa drobne, czasem nie zabezpieczające egzystencję rodziny. Ziemia piaszczysta nie dawała wysokich plonów, a system gospodarowania na niej przechodził z ojca na syna, więc i postępu nie było. Atrakcje jakimi żyto do społeczeństwa, to ślub, jarmark, odpust, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Nie znaczy to aby ludność ta nie dążyła do wiedzy, ale nie było jej z czego czerpać. Szkół na wsiach nie było a najbliższa szkoła, na kolonii, była tylko z obrekiem. Gazety ~~dzieci~~ w języku polskim, bo innych nikt nie czytał, docierały tu bardzo rzadko i tylko sporadycznie, książek też nie było. Do szkoły z obrykiem było daleko, bo aż cztery kilometry, szczególnie w okresie zimowym nauka w szkole była prawie niemożliwa. To też umiejętność czytania i pisania przechodziła z ojca na syna, przy sprzyjających warunkach, to znaczy, jeżeli ojciec umiał czytać i pisać. Reszta pozostawała analfabetami szczególnie płeć żeńska mniej zainteresowana

nauka. Większość do nauki czytania postępowała się modlitewnikiem. Tak też często krążyły dowcipy, że ta lub inna panna, czytała modlitewnik do góry nogami. Świadczy to jednak, że mieszkańcy chcieli się uczyć. Rodzice też pragnęli aby ci najmłodsi weszli w życie przygotowani do życia. Ta chęć nauki była w całym społeczeństwie wsi. Zaczęto organizować szkołę polską na własną rękę. Wówczas nie wolno było organizować szkół polskich a szkoła z obrzekiem była w języku rosyjskim. Ta szkoła polska była ciekawym przypadkiem nie spotykanym w innych okolicach. Była to szkoła w pewnej formie tajna i strzeżona przed ewentualnym najściem żandarmów. Była to szkoła wędrowna. Ci którzy chcieli dzieci uczyć, zobowiązywali się oddać mieszkanie na szkołę na przeciąg tygodnia, opiekę nauczyciela i dać im mieszkanie i wyżywienie. Nauka rozpoczynała się w pierwszym domu na początku wsi i po tygodniu ~~przenoszone była~~ stoły i ławki przenoszone były do następnych domów ~~do~~ tak to do końca wsi. Wszyscy uczniowie byli w jednej izbie, podzieleni na dwie grupy, jakby klasy, począwszy

tworzyli jedną klasę a zaawansowani drugą. Klasa początkująca używała podręcznika ABC i naukę rozpoczynała systemem sylabizowania, równocześnie to samo pisząc. W rachunkach poznawano cyfry. Klasa druga, posługiwała się podręcznikiem „Snopek". Były tu drobne opowiadania pisarzy polskich oraz wierszyki naszych poetów. To też w izbie jedna grupa czytała a druga pisała, po godzinie następowała zmiana. To też zwykle słychać było śpiewne wypowiedzi em a em a mama lub be a be a baba. I tak od litery do litery przechodziło się cały alfabet. Dopiero koniec elementarza obejmował krótkie proste czytanki. Druga klasa czytała głośno czytanki lub recytowała wyuczone na pamięć wierszyki. Rachunki obejmowały proste formy dodawania, odejmowania, mnożenia i dzielenia. Innych przedmiotów, jak historia, geografia, przyroda, nie było. Może nawet nauczyciel nie był w nich zawansowany. Nauczycielem był pan dość niski krępy, ba nawet otyły. Przytym był sparaliżowany, więc posługiwał się laską i z pewną trudnością wymawiał słowa, ale był dobrym pedagogiem.

Popularnie we wsi nauczyciela tego nazywano „Melion". Dlaczego go tak nazywano nikt tego nie wiedział. Czy to była pochodna jego imienia, czy było to właściwe nazwisko tego nie wiem. Do takiej to szkoły w szóstym roku życia zostałem zaprowadzony przez ojca. Ojciec zapytał się mnie, czy chcę chodzić do szkoły, odpowiedziałem, tak, poszliśmy do szkoły. Pamiętam ten dzień bardzo dokładnie. Poszliśmy na koniec wsi, gdzie zbierały się dzieci, ojciec przedstawił mnie nauczycielowi, który umieścił mnie na ławce i rozpoczęła się nauka. Pamiętam tę izbę szkolną, zaduch i ciasnota oraz chóralne śpiewy em a em a mama. Przyzwyczajony do otwartych przestrzeni i świeżego powietrza, ciężko przeszedłem ten pierwszy dzień, następne były łatwiejsze aż w końcu przyzwyczaiłem się do tych warunków i panującego hałasu. Rodzice przywieźli książki, zeszyty i przybory do pisania, nieodzowny piórnik i tak zacząłem swoją edukację, wtedy nie myślałem kiedy będzie jej koniec ale chciałem się uczyć, mimo że ograniczało to moją swobodę, cenioną nad wszystko. To stałe pragnienie swody

pozostało mi do dnia dzisiejszego. Podporządkowałem się rygorowi szkolnemu i byłem pilnym uczniem całe moje szkolne życie, mimo bardzo różnych warunków egzystencji. Do tej wędrownej szkoły chodziłem przez dwa lata. Rok przed wybuchem pierwszej wojny światowej uruchomiono we wsi szkołę w języku rosyjskim. Poszedłem do tej szkoły. Nauka rozpoczęła się od tak zwanej „sławetności" cara i carowej, mimo tak odległych lat, do dnia dzisiejszego pamiętam jej brzmienie. Jedna z nich brzmiała - zpolszczone - ewo imperatorskije wieliczestwo gosudar imperator Mikołaj wtoroj Aleksandrowie -. Język rosyjski przychodził mi łatwo, to też w szkole tej nie miałem dużych trudności. A wieś? Żyła swoim jednostajnym życiem. Ludzie się rodzili, żenili, umierali. Życie wsi skupiało się w karczmie, którą prowadzili moi rodzice. Tu można było dowiedzieć się, co dzieje się u sąsiadów, w świecie tym bliskim i tym dalszym. Tu można było popić piwa, zjeść kawałek kiełbasy, kupić tytoń i można było pośpiewać i nauczyć się piosenek. Podchmieleni rozpoczynali: Hej tam w karczmie za stołem

siadł przy dzbanie Jan stary, otoczyli go kołem, on tak prawił do wiary. Albo-Bartoszu, Bartoszu oj nie traćwa nadziei. Dalej - Tysiąc walecznych i Jeszcze Polska nie zginęła. Czasem pojawiały się nowe piosenki. Karczma ta musiała zastępować dzisiejsze domy kultyry. Nie brakowało tu jednak większych bijatyk i bójek. Tu również znajdywali się awanturnicy ale ojciec starał się wszystko łagodzić a czasem pilnować aby nie doszło do awantur. To też nie było tu większych bijatyk, chyba że zjawił się ktoś z poza tego rejonu ale były to sporadyczne wypadki. Wesela i chrzciny odbywały się w domach a tylko wracając z kościoła w Obrytem wpadano na kufel piwa, to był prawie zwyczaj. Styp pogrzebowych we wsi nie urządzano. Odprowadzano zwłoki ze śpiewami kościelnymi do krańca wsi gdzie z zasady stała jedna lub więcej figur i na tym ceremonia się kończyła na miejscu, reszta to kościół i cmentarz w Obrytem. Obyczaje ludowe uwidaczniały się jedynie przy urządzaniu wesel. Obrzędy rozpoczynały się równolegle u pana młodego i panny młodej. Parę dni

przed ślubem, panna młoda z drużkami i pan młody z drużbami, chodzili do domów, bliżej z rodzicami związanych i zapraszali na wesele. W dniu ślubu drużki i goście schodzili się do panny młodej a drużkowie i goście pana młodego, przychodzili do pana młodego, gdzie odbywało się małe przyjęcie. Goście następnie przenosili się do domu panny młodej, szli pieszo albo wozami w zależności od odległości. A u panny młodej w domu od przygotowań aż wrzało, tu było główne miejsce ceremonii. Drużki przygotowywały młodą do ślubu inne dziewczęta i chłopcy przygotowywali zaporę dla młodego, on musiał wykupić młodą z domu. Po przybyciu gości i pana młodego do domu panny młodej, nie wpuszczano go do domu, musiał się on wkupić, oczywiście było to wszystko pro forma, następowały przyśpiewki, przekomarzanie się ku zadowoleniu gości. # ~~Nie trwało to długo, panna młoda zakładała welon, błogosławieństwo rodziców i odjazd do ślubu.~~ Barwny korowód wozów żegnani marszem przez muzykę, jechali do kościoła. Część gości pozostawała w domu panny młodej, część zaś rozchodziła się do domów a wracali dopiero

po powrocie młodej pary z kościoła. Muzyka była nieodzownym składnikiem wesela. W okresie takiej przerwy muzyka odpoczywała a tylko od czasu do czasu dla radości dzieciarni coś zagrała. W skład muzyki, bo tak ją tutaj nazywano, wchodziły skrzypce, bas, bębenek lub bęben albo harmonia i bęben. Nie było tu instrumentów regionalnych, rejon ten nie był zbyt muzykalny, ale spotkałem jeden instrumen który był dla mnie zagadką i można było nazwać go instrumentem regionalnym. Instrumentem tym była fujarka, tak ją nazywano, ale sposób gry odbywał się tak jak na flecie. Była to rurka mosiężna o długości około 50cm. z odpowiednio wyciętymi otworami ale bez jakichkolwiek klawiszy. Właśnie na jednym z wesel ~~to~~ oprócz skrzypka był także tenże flecista. My chłopcy, w tej przerwie, kręciliśmy obok flecisty, zainteresowani tym instrumentem, tak prosty a tak ładnie można na nim grać. Muzyk wyczół nasze zainteresowanie. Wyjął swój flet z za cholewy, uderzył nim w dłoń parę razy, przyłożył do ust i jakby od niechcenia, przebiegł parę akordów, jakieś trele, szepty i rozpoczął melodię nam nieznaną.

Teraz następowało przygotowanie do rozplecin. Na środku izby sadzano na krześle pannę młodą a obok niej dwa rzędy dziewcząt. Rozplatając warkocz młodej śpiewały weselne piosenki, oczywiście nieodzowną była piosenka o „chmielu". Tu wykazywał się najwyższy kunszt komponowania przyśpiewek, gdyż każdy z młodzieńców był wywoływany po imieniu i nazwisku i do tego trzeba było skomponować przyśpiewkę. Wywołany miał obowiązek dać na tacę datek. Młodzieńcy droczyli się, żądając co raz to nowych przyśpiewek. Trwało to dość długo, wywoływało dużo śmiechu bo dowcipów też nie było brak. Ten obrzędek weselny, był najbardziej barwną częścią wesela. Teraz następowało przygotowanie się panny młodej do ślubu. Następowało błogosławieństwo rodziców i odjazd do kościoła

Siedział na przyźbie, przed nim łąka ubarwiona kwiatami a dalej pasmo drzew zamykało ten barwny obszerny kwietnik, dając mu zieloną oprawę. Mogłem sobie wyobrazić stado owiec pasących się na tej łące. Grał. Ciche szepty fletu przechodziły w melodię liryczną barwną która płynęła na łąki i tam zawisła jak mgła wiosenna, to się wznosiła to opadała, czasem wydawało się, że wracała do nas, tylko mocniejsze tony, jakby nawoływanie odbite od ściany drzew racały do nas echem. On grał. Zatrzymani w bezruchu, oczarowani melodią słuchaliśmy, jak długo to trwało trudno powiedzieć. Wówczas nie znałem Pana Tadeusza, ale kiedy uczyłem się już koncertu Jankiela, zawsze w wyobraźni widziałem naszego flecistę. Ale oto wrócił orszak weselny z kościoła. Młodzi wziąwszy się za ręce szli do domu, gdzie oczekiwali ich rodzice na progu z chlebem i solą a wokół całe grono weselników. Ojciec lub matka paru słowami przywitali młodych i od tego czasu rozpoczynała się biesiada weselna przeplatana tańcami. W zasadzie na drugi dzień następowały oczepiny, okolicznościowe przyśpiewki, zdjęcie wianka

i nałożenie czepka i teraz również goście składali datki pieniężne dla panny młodej. Jeżeli wesele trwało kilka dni, to w ostatnim dniu, był tak zwany „kulawy". Panna młoda udawała utykanie w tańcu a każdy kto z nią tańczył rzucał datki na tacę. Na któryś dzień wesele przenosiło się do domu pana młodego i tam znowu tańce i biesiada. Wesela takie trwały po kilka dni. Na przykład u mnie rodziców ~~trwały~~ wesele trwało tydzień. Ale zdarzało się, że wesela trwały po dwa tygodnie. Można się było wytańczyć — prawda? Były jeszcze inne obyczaje uświęcone tradycją, jak Boże Narodzenie — chodzenie z kolędą i królem Herodem, półpoście — przez wrzucanie granków z popiołem do domów. Wielkano — przygotowywanie pisanek. Te obyczaje częściowo już zanikały lub nie celebrowano ich zbyt uroczyście. Ludność wsi żyła swoim własnym życiem, swoimi kłopotami i radościami. W dużej mierze była samowystarczalna. Chcę tu zatrzymać się chwilowo na wypieku chleba. W najbliższej przyszłości tego typu piece będą już tylko zabytkiem. W każdym domu był piec do wypieku chleba. Piec ten był ściśle związany z kuchnią nad

która znajdował się okap. Płyta pieca była podniesiona około 10 cm. nad poziomem płyty kuchni. Wnętrze pieca rozmiarami było różne i zależne od wielkości rodziny. Średnio rozmiary wynosiły 100×70×40 cm. Górna część pieca zamknięta w formie łuku. Cegła musiała być pierwszej jakości spajana dobrze wyrobioną gliną. Front zamykany był drzwiczkami żelaznymi lub zastawą z drzewa. Nad wejściem do pieca był mały otwór 10×10 cm. zamykany do pasowanej cegły. Otwór ten służył do regulowania kompozycji w piecu w czasie wypieku. Całość obudowana cegłą, tworzyła bryłę o prostokątnych bokach. Na tych piecach suszono owoce, grzyby a czasem len. Do wypieku chleba trzeba było przygotować rozczyn. Najpierw potrzebny był zaczyn sporządzony z kwasu chlebowego lub z kwasu przygotowanego ze żurek lub z drożdży. Dalej wsypywano mąkę żytnią razową, zmieloną w żarnach lub na wiatraku, do potrzeby dużej, dodawano dobrze przetarte ziemniaki gotowane, dodawano wody, soli i mieszano. Tak przygotowany rozczyn, okryty pierzyną lub poduszkami ustawiano w kącie

łóżka i czekano aż zacznie róść i dojdzie do pełności dzieży. W tym czasie rozpalano ogień w piecu. Palono tylko drzewem i to tak długo aż w piecu nie było sadzy a cegła była czerwona. Po wygarnięciu ognia z pieca rzucano do niego parę cienkich placków z rozczynu. Nastąpiło przygotowanie bochenków chleba które układano na liściach chrzanowych lub na podsypce mąki razowej. Tak przygotowane bochenki, przy pomocy łopaty z drzewa, umieszczano w piecu. Trzeba było pilnować czy bochenki nie nadmiernie się rumienią i wówczas regulowało się temperaturę przy pomocy otwierania otworu nad wejściem do pieca. W połowie okresu wypieku, bochenki wyjmowano z pieca pocierano wodą górną stronę i ponownie dawano do pieca. Przez ten zabieg bochenki otrzymywały błyszczący brązowy kolor. Zakończenie pieczenia prubowano przy pomocy stukania palcami w spodnią część bochenka a dźwięk wydawany potwierdzał koniec pieczenia. Teraz wyjęte bochenki układano na słomie i tam pozostawały do zupełnego ostygnięcia. Cóż to był za chleb? Świeżość jego utrzymywała się przez cały tydzień. Pieczono również placki

z pszennej mąki ale to miało trochę inny przebieg. Te zapiecki z mąki pszennej robiono z okresami świątecznymi lub na wesela. Jak już zaznaczyłem samowystarczalność wsi obejmowała prawie całe jej potrzeby, prawie każdy dom był warsztatem rzemieślniczym. Robiono tu wozy, szyto uprzęże dla koni, robiono pomoce gospodarstwa domowego, jak korowki, wiadra, łyżki drewniane zwane kopystkami, pleciono kosze. Budowano domy i zabudowania gospodarskie, pokrywano dachy słomą. Tylko kowal był rzemieślnikiem dla całej wsi, a był nim Żyd. Nagóle we wsi było trzy rodziny żydowskie zamieszkujące na stałe. Czasem przybywały lub ubywały inne rodziny żydowskie zajmujące się handlem. Handel był w ręku Żydów. Karczma była wyłącznie odosobnionym. Wspomniałem o rzemiośle objętym przez mężczyzn. A kobiety? Otóż one poza zajmowaniem się gospodarstwem domowym, całą zimę zajmowały się przędzeniem lnu, wyrobem płótna lnianego na bieliznę i tkaniem pasiaków na kiecki. Toteż w każdym domu były krosna, a były one również i w naszym domu, i całą zimę w każdym domu stukało było pracę krosien, uciążliwą pracę dla kobiet.

Godzin pracy nikt nie liczył. Trwała ona od wczesnego świtu do późnej nocy. Praca spokojna lecz ciągła. Ludzie się nie szpieszyli ale przedmioty przybywały domy i budynki gospodarskie wyrastały. Żywności było pod dostatkiem, za wyjątkiem okresu pierwszej wojny światowej, kiedy Niemcy prowadziły intensywną rekwizycję i obowiązkowe świadczenia. Podstawowym surowcem produkcji urządzeń dla własnych potrzeb jak również opał zimą i latem do kuchen, było drzewo. Każde gospodarstwo to był mały magazyn drzewa, które musiało być sezonowane zanim zostało użyte na wyrób narzędzi a także do budowy domów. Skąd było to drzewo? We wczesnych wiekach ludność tu osiadła miała prawo korzystania, bez ograniczeń, z drewna puszczy, trwało to kilkanaście pokoleń, a może więcej, zrosło się to z psychiką ludności, puszczę uważała za własną. To też kiedy następowały ograniczenia a w końcu zupełny zakaz korzystania z drzewa puszczy bezopłat, ludność nie mogła się z tym pogodzić. Poprostu drzewo z lasów kradła, ale w ich pojęciu nie była to kradzież. Myślę że księża w Obrytem nie mieli z tym kłopotu przy konfesjonałach,

bo nikt się z tego nie spowiadał. Prawo jednak było innego zdania. To też chłopi często przesiadywali w areszcie gminnych zwanym tutaj „kozą", a nie rzadko w więzieniu w Pułtusku, ale niewiele to wpływało na sam fakt brania drzewa z lasów. Na kupno nie było pieniędzy a drzewo było konieczne. Chłopi własnych lasów nie mieli. Przebieg takiej kradzieży odbywał się w sposób następujący: najpierw było rozpoznanie, które drzewo odpowiadało potrzebom, następnie przygotowanie wyprawy, która odbywała się w nocy. Jechało dwa lub trzy wozy aby zabrać wszystkie kawałki drzewa i zatrzeć ślady wyciętego drzewa. Były to czasem bardzo poważne kloce. Kloc ucięty na potrzebą długość, był kładziony na wóz, to była pewna sztuka. Trzeba było wóz rozewrzeć. Najpierw przewracało się przód i podnosząc drągami stawiało się wóz na koła. Tak samo czyniło się z tylną częścią wozu. Dwuch mocniejszych mężczyzn mogło załadować bardzo poważne drzewo. Zacierano ślady pnia, uprzątano gałęzie a drzewo szło do wsi, gdzie było starannie ukryte a po pewnym

przetarte, ślad kradzieży zaginął. Aby wykryć tę kradzież, gajowy musiał doskonale znać las i często robić obchód, ale w lesie drzew dużo i często uchodziło to jego uwadze. Jeżeli gajowy odkrył to nadużycie, szukał po śladach gdzie drzewo poszło a następnie szukał po wsi lecz nie zawsze dawało to wynik. Jeżeli szkoda została znaleziona sprwa trafiała do sądu, czasem mogła być płacona od ręki, gajowemu. Wydawałoby się, że złodziejstwo we wsi panowało nagminnie, otóż nie, dotyczyło to tylko lasu. Kradzieży we wsi nie było a jeżeli zdrzyły się wypadki, to czynił to ktoś z poza ludności miejscowej. Takimi wypadkami były kradzieże koni. To też uzyskiwały one taki rozgłos jak w dzisiejszej skali zamachy bombowe. Często jednak dochodzono zaginionych koni, efekt końcowy był różny, samosąd zdarzał się nierzadko. Jeszcze chwilę zatrzymamy się na odżywianiu ludności. Zamożność naogół niska, więc i forma odżywiania nie mogła być wyszukaną, chociaż była obfita ale posiłki były proste. Na śniadanie - ziemniaki z mlekiem, kasza z mlekiem lub kluski z mlekiem;

na obiad — to samo ale z omastą i skwarkami, mięso jeżeli było lecz gotowane, przeważnie używano mięso wieprzowe; kolacja — jajko, placki różnego rodzaju, zsiadłe mlego, lub gotowane mlego, czasem kawa lub herbata. Przy pracy ciężkiej, były posiłki dodatkowe chleb, ser, masło lub wędliny. A dzieci? Szły z rodzicami na pole i tam pomagały w pracy, pasły krowy lub inny inwentarz. Maluchy wędrowały w płachtach zawieszonych przez plecy, dziecko było przed piersią matki, był to zwyczaj ogólnie przyjęty, wózków dziecięcych nie było. Tak zaniesione dziecko na pole układane było w ziacisznym miejscu i spało od posiłku do posiłku. Wieczorem wszyscy ściągali do domów, ludzie i zwierzęta. Obrządek przy inwentarzu, kolacja i odpoczynek nocny. To był zwykły dzień. Niedziela wyglądała zupełnie inaczej. Już od wczesnego ranka, rozpoczynało się mycie i prasowanie bielizny, myślicie, że może żelazkami elektrycznymi, o nie, to były żelazka na węgiel lub na duszę, którą nagrzewało się w palącej się kuchni. Bieliznę czystą i nakrochmaloną nakładali wszyscy. Zakładano najlepsze ubrania a kobiety najbarwniejsze kiecki, wyglądały

one jak lalki. Mieniły się kolorami i cekinami. Teraz następował wymarsz do kościoła. Niektórzy jechali wozami inni szli pieszo, grupkami lub pojedyńczo. W domach pozostawały tylko pojedyńcze osoby do pilnowania inwentarza. Droga z bródka do obrytego, mieniła się barwami na przestrzeni czterech kilometrów. Każdy chciał wyglądać jak najbardziej elegancko aby sąsiadom i znajomym pokazać się z jak najlepszej strony. Przed kościołem ustawiały się wozy, młodzież zaś zbierała się w grupki. Tu odbywał się przegląd urodziwych panien lub kawalerów. Inni wchodzili do wnętrza kościoła aby oddać się modlitwie. Sygnaturka kościelna dawała znak rozpoczęcia się Mszy Świętej i teraz wszyscy pchali się do kościoła. Kościół był nieduży murowany do około otoczony parkanem murowanym. Często nie wszyscy mogli się pomieścić wewnątrz kościoła, mi dobijania, więc pewna część pozostawała na zewnątrz, wokół kościoła, szczególnie latem plac wokół kościoła był zajęty przez ludzi. Wewnątrz kościoła ołtarz główny, nawa, chór, przedsionek, trochę ławek. W czasie nabożeństwa kobiety zajmowały prawą stronę nawy, mężczyźni lewą, młodzież przeważnie pod chórem.

Msza przebiegała w pełnym skupieniu organista grał na organach a wszyscy starali się śpiewać znane pieśni. Ale pożal się Boże z tymi głosami, zawodzenia kościelne są znanym powiedzeniem. Ksiądz z kazalnicy nawoływał do uczciwego i chrześcijańskiego życia, zbierał datki na kościół, msza dobiegła końca. Wszyscy wysypali się przed kościół. Tu następowały spotkania krewnych, znajomych trochę dowcipów na temat panien a następnie powrót do domów. Mężczyźni po drodze musieli odwiedzić karczmę i nie rzadko pozostawali do wieczora. Młodzież szła na „muzykę" zabawę aby tam wylać dużo potu. Izba w której odbywała się „muzyka", była jak parnik nagrzane ludzkimi ciałami, i to mimo otwartych drzwi i okien. Gdzieś w rogu izby siedział paru muzykantów a środek był zajęty przez koła tańczących. Najczęściej tańczono oberka lub polkę. Pary wirowały, przytupując ogniście, kiecki tworzyły koła aż okazywały się białe podołki, młodzież była nie zmęczoną, tańczyła do późnej nocy. Przyśpiewek było mało, młodzież nie lubowała się w śpiewie, w tańcu chciała wykazać wdzięk i siłę. Tu najczęściej kojarzyły się pary, tu poznawała się młodzież.

nawiązywała stosunki i przyjaźń. Karczma tętniła życiem, szczególnie w niedzielę. To też każdy poniedziałek był dniem wytężonej pracy dla matki, gdyż trzeba było całą karczmę doprowadzić do porządku a we wtorek jechać do Pułtuska po nowe zakupy. My dzieci bawiliśmy się i uczyli jak wszystkie inne we wsi. Było nas troje później przybyło czwarte i piąte. Przy jednej z zabaw z dziećmi przeziębiłem się, przecież nikt nas nie dozorował, i zachorowałem na zapalenie płuc. Stan był beznadziejny i mogłem być spisany na straty ale matka nie traciła nadziei. Żeby zawieść mnie do lekarza to było ryzyko, za daleko. Ale w bliskości była jakaś medyczka, która udzielała pomocy. Umieszczono mnie w pierzynach i tak powoli zajechaliśmy tam. Byłem prawie nieprzytomny. Lekarka natychmiast rozpoznała chorobę, dała mi lekarstwo o smaku anyżku, smak anyżku lubię do dnia dzisiejszego, położyła mi plaster na piersi i odziwo, zachciało mi się jeść. Dano mi herbatę i suchą bułkę, smak tej bułki pamiętam do dnia dzisiejszego, usiadłem na chwilę o własnej sile. To był sukces i nadzieja, że powrócę do zdrowia. Drogę powrotną odbyłem już na siedząco, z choroby wyszedłem ale ślady jej pozostają do dnia

dzisiejszego i wiele kłopotów miałem z tego powodu. Matka w domu była najbardziej czynną osobą, to była najlepsza matka. Ładna, nieduża, pracowita. Kochała dzieci i męża naszego ojca i miała na niego dobry wpływ. Wszystko układało się jak najlepiej, zasobność rosła, można powiedzieć, że w tych warunkach to był dobrobyt. Pracy było zbyt dużo jak na ręce matki to też z zasady była służba, dziewczyna do pomocy matki i parobek do pracy w polu. Ojciec lubił konie, czasem handlował nimi. Konie zawsze mieliśmy piękne, z resztą wieś słynęła z dobrych koni. Pewnego razu ojciec kupił konia w przypadkowej okazji. Koń ten kupiony był od oficera rosyjskiego w Pułtusku. Oficer ten niespodziewanie przeniesiony był do Moskwy i musiał zlikwidować swoją stajnię. Tak trafił do nas koń krwi arabskiej, typowo wierzchowy. Tak podobał mi się ten koń, że wszystko robiłem aby go zatrzymać, łącznie z protekcją matki, ale to nic nie pomogło, ~~ojciec~~ nawet mój płacz, ojciec konia sprzedał. Zarobek był zbyt nęcący, koń poszedł za potrójną cenę zakupu, to był zysk kilkaset rubli. Z tego powodu miałem żal do ojca ale cóż koń ten był mało użyteczny dla naszych potrzeb, wierzchem można było jeździć każdym z posiadanych koni.

Ja jako najstarszy z dzieci, musiałem pomagać w domu, szczególnie w okresie lata, kiedy nie było szkoły. Czas wolny upływał na zabawach. Dziewczynki trzymały się domu ucząc się bawtu i szycia, chłopcy bawili się na drodze, niebezpieczeństwa nie było, bo wozy na drogach pojawiały się rzadko. Najpopularniejszą zabawą był palant, kilka odmian. Piłki czasem były gumowe i traktowano to jako luksus, ale zwykle piłka taka była zrobina ze skóry i wypchana pakułami lub szmatami. Drugą grą również rozpowszechnioną, była gra w kręgi. Krąg taki był zrobiony z drzewa, ucięty poprzecznie z kloca na grubość około 2 cm., czasem w środku wierciło się otwór, obrobiony do kształtu koła. Cała gra polegała na tym, że kręgami tymi rzucało się po równej drodze lub ścieżce. Strona przeciwna była wyposażona w kije i miała za zadanie zatrzymać biegnący krąg, jeżeli była nieudolna i puściła taki biegnący krąg, traciła teren. Po jednym rzucie z jednej strony następował rzut z drugiej strony. Czyli dwa zespoły walczyły o uzyskanie jak największego odcinka terenu. Zabawki robiliśmy sami, czasem pomagali nam starsi. Tylko od czasu do czasu zabawki przywożone były z jarmarku lub odpustu.

Najpospolitszymi zabawkami były bąki na sznurku, bąk na podłodze puszczany sznurkiem, wiatraki, grzechotki, wózki na kołach z drzewa, dam lub czterokołowe. Wiosną i latem w czasie przyboru wody pływaliśmy w szaflikach. Nie nadawała się do zabawy do szaflika kręcił się koło albo wyrzucał. Czasem robiło się szerudła do chodzenia, ale niezbyt wysokie aby przy upadku nie zrobić sobie krzywdy. Okres Wielkanocy, był okresem budowy huśtawek. To też wtedy chętnie się przy nich gromadziła, dla okazania swojej odwagi. Jesienią piekło się kartofle na polu. A zimą, saneczki własnej roboty, ślizgawka na żelazkach lub na jednej łyżwie z drzewa podkutej drutem, dopasowanej do podeszwy i przymocowanej paskami do stopy. Dzieci przeważnie trzymały się grupkami dobranych kolegów, czy koleżanek i stanowiły ekipy dość zamknięte nie wychodzące poza swoje grono i swój rejon. W lecie całe gromadki udawały się do lasu na zbieranie jagód lub grzybów, które używano dla własnych potrzeb lub dostarczano do miasta na sprzedaż. To była też pewna forma zarobku. Czas pracy był wykorzystywany w pełnym tego słowa znaczeniu.

Czasem chłopcy dosiadali patyków niby koni i szablami zrobionymi z drzewa ścięli chwasty, udając kawalerję. W zabawach tych chętnie bratem udział dość często robiłem wyprawy w pojedynkę. Na taki między zboża do lasu robiłem wyprawy bez strachu, nawet nocą. To obycie z lasem pozostało mi na całe życie. Lubiłem las, mogłem się w nim poruszać bez obawy utraty orjentacji, przechodziłem znaczne obszary leśne na przełaj i zawsze docierałem do miejsca do którego chciałem dojść. Nigdy nie zabłądziłem, nawet w nieznanych mi rejonach. Czasem wykradałem ojcu broń, bo zawsze broni była w domu chociaż niebyło na nią zezwolenia, i szedłem w pola niby myśliwy na polowanie, szczęśliwie nie miałem wypadku. Ojciec od czasu do czasu chodził na polowania ale raz miał wypadek. Prawdopodobnie podsypał zbyt dużo prochu i strzelba rozerwała się mu przy podtrzymującej ręce. ~~Dłoń~~ W efekcie dłoń mocno pokaleczona a twarz mocno posiekana niespalonym prochem i śrutem zamiast kuropatw przyniósł do domu okaleczoną rękę. Przeleżał w łóżku kilka dni, a proch w twarzy był przez kilka tygodni. We wsi było kilku myśliwych kłusowników.

Czasem donos powodował interwencję żandarmów ale zawsze kończyło się to bez rezultatu. Ludzie panszczyzny potrafili dobrze się z nią poruszać i dobrze kryć. Zresztą nikt nie myślał o prawnym posiadaniu broni, raz że pociągało to za sobą koszta a następnie władze rosyjskie niechętnie udzielały takich zezwoleń a ponadto trzeba było mieć teren określony do polowań. Prawnie posiadali broń, tylko właściciele majątków. Broń myśliwska była przeróżna. Jednorurki nabijane od wylotu lufy a odpalane przy pomocy kapiszonu nakładanego na czopik pod kurkiem. Spotykało się już dubeltówki Tamane, ładowane nabojami, robionymi przez myśliwych kłusowników. Taka broń myśliwska, to był szczyt marzeń. Karczma pulsowała życiem, wieś i okolicy żyły swoimi sprawami swoimi kłopotami i radościami. Od czasu do czasu pokazał się balon na niebie. Wielka atrakcja, początek rozwoju techniki, niewiele ludzi we wsi widziało kolej. Ja ją widziałem kiedy rodzice zabrali mnie na jarmark do Wyszkowa. Zobaczyłem pociąg towarowy z dość daleka, robił on na mnie dziwne wrażenie ale ten rodzaj techniki nie był

jasno do mnie docierał. Pociąg wyglądał jak czerwona gąsienica i dymił, to wszystko co mi pozostało w pamięci. Jarmarki odbywały się regularnie, odpusty również. Jarmarki to handel. Do domu przybywały lub ubywały konie, przywożony był towar. Odpusty to parada strojów kobiecych no i raj łakoci dla dzieci. To też przed dojściem do kościoła stał rząd straganów z cukierkami i piernikami z wodą z sokiem, zabawkami i paciorkami jak równie i dewocjonalia. Na takich odpustach często dochodziło do bujek. Były to porachunki osobiste młodych ludzi, lub rozgrywki konkurentów o którąś z panien. Był to jednak widowisko kolorowe, masa ludzi, barwność ubiorów kobiet, najbardziej eleganckie zaprzęgi. Wszystko to pozostawiało niezatarte wrażenie na dzieciach, to też gromadnie uczęszczały na wszystkie bliżej odbywające się odpusty. Nadszedł rok 1914. Po dość śnieżnej zimie i ładnej wiośnie, przyszło lato. Miałem za sobą szkołę „Meliona" i rok szkoły rosyjskiej. Jak na chłopca dziesięcioletnio niewiele to było, jeśli chodzi o wykształcenie. Właśnie kończyłem 10 lat 26 listopada. Rok brzemienny w skutkach o czym nieśniło się nawet

najwyżej postawionym mężom stanu
a cóż mówić o ludziach mieszkających
na cichej wsi żyjącej tylko swoim
życiem. Karczma zapełniała się często,
dorośli popijali piwo i dyskutowali, przywożili
gazety z miasta, czytali i dyskutowali.
O czym, tego nie bardzo rozumiałem, czasem
sam je czytałem, oglądałem obrazki, ale
do polityki było mi jeszcze bardzo daleko.
Coś się działo w świecie. Ludzie starsi stali
się bardziej zamknięci w sobie, myśleli,
o czym, trudno powiedzieć, przecież nie
wychodzili umysłem poza krąg swoich
zainteresowań, co ich obchodził świat. Dla
nich światem był Środek i najbliższe
miasta. Warszawa była już zbyt daleko
a stolice państw innych to było coś bardzo
dalekie. Docierało jednak pojęcie, że
zbliża się jakiś konflikt, ktoś z kimś
będzie prowadził wojnę. O wojnie mieli
mgliste pojęcie, wiedzieli że takowe były,
ba nawet, że kiedyś była Polska i prowadziła
wojny, o tym wiedzieli z wierszy, a co
mądrzejsi znali nawet historię Polski.
O mechanizmie wojny wiedzieli tylko od
tych którzy byli na wojnie Rosyjsko Japońskiej
w 1904 r. Było to jednak coś dalekiego nawet
egzotycznego. Z opowiadań tych ludzi trudno
było wywnioskować jakie skutki pozostawia wojna

Nadszedł dzień sierpniowy, ogłoszono mobilizację. Wszyscy rezerwiści otrzymali powołanie do najbliższego pułku w Pułtusku. Powstał płacz w domach, gdzie synowie a nawet ojcowie opuszczali swoje domy na niewiadome. Nikt nie wiedział gdzie go los poniesie lub czy wogóle powróci. Zaprzęgano konie, po parę na wozie odjeżdżali na wojnę. Znajomi i rodziny odprowadzali do końca wsi, tu się żegnali, tylko niektóre żony lub matki odprowadziły ich do Pułtuska. Ojciec nie podlegał mobilizacji, bo wogóle nie służył w wojsku, ale brat jego Władysław został powołany. We wsi zapanowała cisza, wszyscy oczekiwali jakichś wydarzeń. Z wieścią napływającą z Pułtuska można było wywnioskować, że z mobilizowane wojska pojadą w kierunku Ciechanów Mława. Teraz zaczęto interesować się gazetami, sprowadzano mapy, świat zainteresowani zaczął się gwałtownie poszerzać. Wiadomości zaczęły napływać jak lawina, Serbia, Sarajewo, to pierwsza rewelacja. O Serbach wiedziałem tylko tyle, że pewnego razu, przyszedł do nas emigrant prosząc o wsparcie. Mama w rozmowie użyła słowa - cygan odnośnie do tego młodzieńca. Zachciał się i sprostował, że jest Serbem a następnie obraził się

i wyszedł, nie przyjmując wsparcia. Wówczas niewiele z tego mogłem zrozumieć ale wiedziałem, że są Serbowie. To też skojarzyłem to z tym wypadkiem i łatwiej było mi zrozumieć, że Serbowie nie lubią Austryjaków. Zacząłem interesować się gazetami i z uporem czytałem różne wiadomości. Wojna rozwijała się bardzo szybko. Austro-Węgry – Rosja, Rosja – Niemcy, Francja i Anglia – Niemcy, Włochy – Austrowęgry. Teraz już wiadomo było, że jest to wojna światowa. Najbliżej nas interesujący, to był front Niemiecko-Rosyjski. Z początku wiadomości były mgliste, ale wydawało się, że niepomyślne. Klęska wojsk Samsonowa w Prusach, następ~~ował~~ ~~stało~~ tak zwane prostowanie frontu nie świadczyły o sukcesach, tylko na froncie Austro Węgiersko-Rosyjskim były postępy pomyślne. To też gazety pisały najwięcej o tym froncie, najwięcej obrazków plakatowych było również z tego frontu. O bliskim od nas froncie, gazety milczały. Od brata ojca wiadomości nie było, ci którzy zdołali wycofać się z jezior Mazurskich, mówili, że prawdopodobnie dostał się do niewoli. Tak rzeczywiście było ale o tym upewniliśmy się dopiero dużo później. Po pewnym okresie front zbliżył się w rejon

Mławy. Zaczęliśmy oderwać ruch wojsk rosyjskich. Z kierunku Małkinia napływały transporty wojska, przeważnie piechota, czasem niedużo oddziały kawalerii i niekończące się fabory. Oddziały te często zatrzymywały się na noc, trzeba było dać im kwatery. W kwaterunku z zasady kwaterowali oficerowie, domy akuratne i duże przy drodze. Było to udręką dla rodziców bo zwykle korzystali z kuchni co zakłócało normalny bieg życia. Korzyści z tego powodu nie było żadnych a wszystko wykupili. Wojsko kupowało siano, owies, mięso. Płacili dziegciem, używali mydła dziegciowego. Po takim kwaterowaniu trzeba było dużo napracować się w domu aby doprowadzić go do porządku. Przyzwyczailiśmy się do ruchu wojsk. Rok 1916 rozpoczął się odwrotnym kierunkiem wojsk rosyjskich. Teraz dniami i nocami ciągnęła piechota i fabory. Trzeba było zastawiać okna. Nie wolno było sprzedawać piwa dla wojska, rosyjanie bardzo ścisłe przestrzegali tego zakazu. Ewakuowali wszystkich żydów ze strefy przyfrontowej a także trzy rodziny z naszej wsi. Ukazały się pierwsze samoloty. Nikt się przed nimi nie krył, nawet wojsko. Nikt z samolotu nie strzelał i nie rzucał bomb. Dla nas chłopców samolot to było

coś niedosiągalnego i niezrozumiałego
To był jakiś cud techniki ale i strach
krakowski go tak samo. Pokazały się
pierwsze samochody, niewiele mogłem
zrozumieć ten dział techniki ale przejechać
narobił dużo kurzu i to wszystko. Tak
zaczęliśmy oswajać się z początkiem skoku
wielkiej techniki. Ta głucha wieś zetknęła
się z nią pierwszy raz. Zbliżał się front
Już czasem wieczorami, słychać było
kanonadę dział. Ojciec został powołany
do wojska ale jakoś się wybronił i po
kilku dniach powrócił do domu. Nieś
przygotowywała się na najgorsze. Nikt
nie wiedział co robić i jak uchronić swoje
życie i majątek. Wojska wciąż się wycofywały
już wyraźnie słychać było odgłosy walki. Coraz
opisywały różne zbrodnie niemieckie, prze-
rażające opisy walk, to też wszyscy bali się
niemców. Rodzice zapakowali wóz niezbę-
dnymi rzeczami i żywnością, gotowi do
opuszczenia domu każdej chwili. Matka
była przeciwna opuszczeniu domu.
Słuchaj Andrej. Nie będziemy wyjeżdżać,
gdzie będziemy nadawać się na tułaczkę.
Co będzie to będzie, a chociaż wyjedziemy
to kiedyś ten front musimy przekroczyć,
do Rosji nie pojedziemy. Jak przyjdzie nam
umrzeć to na swojej ziemi.

Tu wtorzyła swoją entuzjastyczną pracę, tu spędziła młode jeszcze lata, tu wychowała już czworo dzieci. Toją więzało z tym miejscem i nie wyobrażała sobie, że musi to miejsce opuścić.

Wiem, ja też nie chcę stąd wyjechać. Także i ojciec. Ale jak będzie tu bitwa, usuną nas stąd. Mieszkamy przy drodze którymi wojsko musi iść a więc i bitwa tu jest bardzo prawdopodobna. Jeżeli będę wiedział, że jest coś groźnego, odjedziemy koniec wsi, tam powinno być spokojniej, a sam zostanę, jak będzie tu ciężko dotrzeć do was.

Kiedy strzały było słychać wyraźnie, ojciec odprowadził wóz z nami do krańca wsi a sam wrócił do domu. Błąkał się po mieszkaniach i zabudowaniach, jakiś żal ścisnął mu serce, poczuł się obco w tej samotności. Nie wiedział co robić dalej. Pod wieczór dotarł do nas aby coś się posilić i miał zamiar wrócić. Kiedy wracał zabudowania się już paliły, nie było po co tam iść. Rosyjanie wycofując się palili wszystko po drodze, szczególnie na terenie Polski. Stosowali system wojen napoleońskich, pozostawienie spalonego terenu. Wówczas wiele domów we wsi zostało spalonych.

Szczególnie przy drakcie, k Kóry był osią wycofywania się jakiejś oddziałów. Nasz dom był pierwszy na tej drodze. Wszystko spłonęło, pozostały zgliszcza ze sterczącym kominem. Ojciec żałował, że opuścił dom, mógł go uratować, nie brakowało pieniędzy i mógł pokryć podpalaczy. Faktycznie bitwy z kym miejscu nie było, z wyjątkiem małej strzelaniny. Ojciec powrócił do nas przygnębiony. Opanowała go psychoza ucieczki i tak udaliśmy się w podróż posuwając się razem z wycofującym się frontem. Z kilku innymi furmankami takich samych jak my uciekinierów, posuwaliśmy się po drodze: Wyszków, Łochów, Węgrów, Sokołów Podlaski, Drohiczyn i dalej na Prużany. Do tych ostatniej miejscowości nie dojechaliśmy. Wszyscy zdecydowali się wracać. W lasach przed Kamieńcem zatrzymała się nasza grupa wozów, by patrol rosyjski wymienił nam konia na gorszego i wskazał gdzie są już niemcy. Wozy jeden za drugim ruszyły w tę stronę na przodzie kilka osób z białymi flagami i tak dotarliśmy ze strachem do pierwszych linii niemieckich. Niemcy byli już okopani według wszelkich zasad taktyki walki, mimo że przybyli tu przed paru

godzinami. Na całej tej drodze którą przemieszczaliśmy, rosyjanie nigdy się nie okopywali. W momencie przekraczania pozycji niemieckiej, przyszły dwie serie pocisków artyleryjskich, które padły tuż przy okopach i w bliskości naszych wozów. Natychmiast wystrzelone rakiety z okopów zatrzymały ogień. Był to ogień artylerii niemieckiej, obserwator pomylił się, widząc kurzem za wozami, myślał że to kawaleria rosyjska. Te wybuchy pocisków były stosunkowo blisko mnie ale nie zrobiły na mnie wrażenia, nie bałem się tego ognia. Tak zostałem wprowadzony do odbycia pola walki. Ciekawe jest, że w całym moim dalszym życiu i udziale w wojnie, nigdy nie bałem się ognia artylerii. Z całej tej podróży utkwiły mi w pamięci przekraczane miasteczka, rzeki i ich nazwy. Poglądy nasze na całą sytuację zmieniały się. Stykaliśmy się z różnymi ludźmi, czasem z polakami którzy byli w armii rosyjskiej. Jeden moment który zmienił moje sympatie dla wojsk rosyjskich i rozszerzył mój pogląd jako młodego chłopca, nastąpił w czasie spotkania się z polakiem w mundurze rosyjskim. W czasie rozmowy z grupą żołnierzy rzucił karabin i rzekł: dajcie mi ubranie

cywilne, nie będę walczył za Rosję, ja Polak, mam swój kraj i o nim trzeba myśleć. W tym momencie nastąpiło całkowicie odwrócenie moich pojęć. Świadomość jestem polakiem jest Polska i o nią trzeba walczyć, ~~urlowała~~ Przekroczyliśmy front i pierwszy raz zetknęliśmy się z niemcami. Byli oni dla nas obcym wojskiem, nikt nie znał języka niemieckiego w naszej grupie uciekinierów, to też poruszanie się w tych nowych warunkach stało się trudniejsze. Zaraz na początku zabrano nam konia a w zamian dostaliśmy chabetę odparzoną, więc i powrót stał się powolniejszy, ale dotarliśmy do swojej wsi bez większych przygód. Domostwo nasze spalone. Zamieszkaliśmy u naszych krewnych. Ojciec rozpoczął przygotowywać drzewo na budowę domu i budynków gospodarskich. Oczywistym jest że trzeba było oprzeć się na kradzieży „brania" drzewa z okolicznych lasów. Robili to wszyscy pogorzelcy. Władza była nieustabilizowana więc uchodziło to bezkarnie. Drzewo było tarte u naszych krewnych, przetraczy wynajętych a często sami wykonywaliśmy te roboty. W tych wszystkich zajęciach brałem już czynny

udział. Późną jesienią zacząłem uczęszczać do szkoły w Obrytem. Była to już szkoła polska. W okresie zimy dużo dni opuszczałem, ze względu na trudność dojścia do szkoły, zaspy śnieżne uniemożliwiały dojście na przełaj, a gościńce odległość była dwa razy dłuższa, więc i nauka nie dawała dużego rezultatu, ale nie traciłem kontaktu ze szkołą. Z wiosną rozpoczęliśmy budowę domu i zabudowań gospodarczych, na starym spalonym miejscu. Wybudowany dom był okazały a nawet ładniejszy a niżeli poprzedni. Ojciec myślał wciąż o otwarciu karczmy, to też wnętrze było odpowiednio do tych celów usytuowane. Do otwarcia karczmy czy sklepu nie doszło, gdyż wszystko było racjonowane przez niemców więc i nie było czym handlować. Przyszły rygory dostaw środków żywnościowych, jak mięso, zboże, nabiał. Niemcy bezlitośnie egzekwowali nałożone kontygenty. Następowała bieda, wieś musiała cofnąć się do samowystarczalności. Uruchamiano żarna aby sobie zabezpieczyć chleb, prowadzili tajny ubój, uchylali się od dostaw. Niemcy tropili te przestępstwa, nakładali kary, niszczyli żarna, rekwirowali konie dla celów wojskowych. Trzeba było wielkiego sprytu aby się od tych ciężarów uchylić.

Uruchomiono polską szkołę we wsi. Przyszedł stały nauczyciel. Do wsi przyjechało kilka osób na dłuższy pobyt aby poprawić swoje wyżywienie, które w Warszawie ~~było~~ stwarzało duże trudności. Wieś ratowała się w tych trudnościach, głodu nie było. Do miejscowej szkoły zacząłem uczęszczać od początku jej otwarcia, to już była regularna nauka. Dużo skorzystałem w tej szkole i zrobiłem postępy. Był już podział na klasy, język niemiecki jako przedmiot. W tym okresie okupacji niemieckiej wydarzył się pewien incydent. Niemcy objęli niektóre folwarki i pędzili chłopów do robót na tych gruntach. Sprzeciw przeciwko tym zarządzeniom objawiał się w różny sposób. Jeden z gospodarzy odmówił pracy na folwarku, doszło do bójki między nim a niemcami, pobił ich i wypędził z zagrody. Niemcy przysłali pomoc, nastąpiło oblężenie domu. Gospodarz nie dał się zabrać, ~~i ciu~~ skrył się na strychu i każdego niemca który chciał się tam dostać, częstował cegłą lub kijem. Oderwano bosakami deski szczytu domu, podstawili drabiny i zaczęli strzelać. Oblężenie to trwało cały dzień a kiedy chłopu zabrakło środków walki, w formie cegieł, poddał się.

Zabrano go do więzienia a na wieś nałożono kontrybucję. Kontrybucję zapłacono. Udała się delegacja do władz powiatowych, zawożąc petycję, że człowiek ten jest trochę nienormalny, chociaż tak nie było, został on zwolniony i na tym sprawa się zakończyła. Niemieckie ekipy rekwizycyjne wciąż przybywały do wsi i zabierały inwentarz. Nadszedł listopad 1918 roku. W tym czasie była również grupa żołnierzy niemieckich na rekwizycji. Wyznaczyli dostawy ale już ich nie zabrali. W nocy przyjechał goniec z Pułtuska i cała grupa załadowana na podwody odjechała. Jedenasty listopad, w Pułtusku w pełnym toku rozbrajanie niemców. Ojciec był w tej grupie podwód, już na moście czekali na nich uzbrojeni polacy, oddali broń bez oporu. Po powrocie ojciec opowiadał sceny jakie odbywały się w mieście. Radość była wielka. Ludność odetchnęła. Cofnijmy się myślą i wyobraźnią do tych czasów. Ludność tych okolic uciskana pańszczyzną, gnębiona przez rosjan a następnie niemców, przetrwała w swej formie narodowej do czasu odzyskania niepodległości. Żyjąca ludność tych okolic, wśród niej była tylko jedna

kobieta pamiętająca czasy Księstwa Warszawskiego, miała 104 lata, wciąż żyła pod obcym uciskiem. A teraz będziemy rządzić się sami, będziemy się uczyć po polsku. Słyszeli już coś o Legionach o Piłsudskim, o POW i innych ruchach niepodległościowych, ale wszystko to przyszło tak gwałtownie i niespodziewanie. Mówiono - wybuchła Polska. Rzeczywiście była to eksplozja niepodległości prawie po półtora wieku. Chłop to wszystko przetrwał i nie utracił nic ze swojej polskości. Teraz trzeba było sięgnąć do zasobów, które przetrwały w tym ludzie, aby zapełnić miejsce po okupantach, aby wytworzyć nową inteligencję i zastąpić tę która została wyniszczona przez okupantów a przedtem przez wciąż ciągnące się powstania. Element zdrowy moralnie, twardy, o głębokim poczuciu narodowym. Chłop zaczął myśleć o nauce, dzieci szły do szkoły, którą musiano poszerzyć, dosłownie wszystkie dzieci poszły do szkoły. Zaczęła napływać prasa, książki, ludzie się uczyli nawet starsi, jak kto mógł. We wsi nie było ani jednego dziecka czy dorosłego z ukończoną szkołą średnią a tylko parę wyjątków z ukończoną szkołą podstawową zamykającą się w czterech oddziałach (klasach).

O rewolucji w Rosji wiedzieliśmy, wiadomości czerpaliśmy przede wszystkim a częściowo od ludzi wracających z Rosji, przeważnie od żołnierzy pobranych do wojska. Były to opowiadania naocznych świadków, opowiadania o zbrodniach jakie tam się odbywały. Niektórzy opowiadali o oddziałach polskich, które tworzyły się na tamtych terenach. Wytworzyło się pojęcie, że bolszewizm jest czymś okropnym, tak że powstało przekleństwo - bolszewik. Wiedzieliśmy również o oddziałach Hallera tworzonych we Francji. Niemcy ze wschodniego frontu wycofywali się, byli skoszarowani rozbrojeni i odsyłani do Niemiec. Granica na wschodzie stała otworem. Trzeba było natychmiast organizować armię. We Lwowie rozpoczęły się walki z Ukraińcami. Poznańskie jeszcze w ręku niemieckim. Na Wileńszczyźnie sytuacja niejasna. Trzeba było tworzyć w pośpiechu siły zbrojne. Trochę legionistów, trochę P.O.W. Zebrano trochę broni niemieckiej ale to wszystko kropla w morzu w stosunku do potrzeb. Z armii zaborczych zaczęli wszyscy wracać do Polski. Był to zbiór ludzi o różnym przygotowaniu wojskowym a oficerów bardzo mało, bo zaborcy nie dopuszczali Polaków do szkół oficerskich a zresztą nie było dużo chętnych do przyjmowania tych stopni. Organizacja armii oparła się o legiony,

które były pod dowództwem Piłsudskiego. Wojsko organizowano pośpiesznie, broń częściowo otrzymywano z Francji. Zorganizowane oddziały w pierwszym rzędzie odchodziły na ~~front~~ granicę wschodnią. Tu oddziały bolszewickie wnikały w głąb kraju, powodując zniszczenia i tworząc poważne zagrożenie. Z okolic mojej wsi dużo młodzieży zgłosiło się ochotniczo do wojska, część została powołana z poboru. Powstawał front walki na wschodzie. Wiadomości były różne, pomyślne i mniej pomyślne ale armia krzepła, tworzyła swoje kadry. Takie odczucie miałem jako mały chłopiec. W roku 1919 zjawił się we wsi kleryk z seminarium duchownego, podobno daleki krewny. Spotkał mnie i po pierwszej rozmowie, zapytał, czy chciałbym się uczyć bez wahania odpowiedziałem tak. Bo widzisz — mówił — jest organizowana taka szkoła przygotowawcza do seminarium nauczycielskiego i trwa dwa lata a potem seminarium. Pogadam z twoim ojcem. Ponadto rozmawiałem z nauczycielami w tej preparandzie, zbierając uczniów. Sprawę załatwił szybko. Udałem się z ojcem do tej szkoły i zostałem umieszczony w internacie. Nie pamiętam czy był jakiś egzamin ale kierowniczka tej szkoły pani Biedrowska rozmawiała ze mną i zadecydowała, że mogę być przyjęty.

Taki drobny szczęg okoliczności zadecydował o biegu całego mojego życia. Inaczej byłbym został w Środkiu na gospodarce i dzielił losy wszystkich innych którzy tam pozostali. Matka niezbyt chętnie godziła się na to, kochana matka, ona dzieci chciała mieć przy sobie, mimo że wówczas było nas już pięcioro. Prosiłem ją, po pewnym oporze zgodziła się, już po pierwszym roku, ~~bo~~ wyczuwało się że jest zadowolona z tego powodu. Rozpoczęłem naukę w Pułtusku. Dzieci różne, trochę wiejskich, trochę miejskich. Przemieszanie się ze środowiska wiejskiego do miejskiego powodowało znaczne trudności. Trzeba było wszystkiego, nawet życia codziennego, od początku się uczyć. Rygor internacki, godziny zajęć, sposób zachowania się w nowym otoczeniu, to wszystko było nowe, ale uczyłem się szybko i dostosowywałem się do nowych warunków. Kochani nauczyciele, patriotycznie wiele wysiłku wkładali w nasze wychowanie i podciąganie tych prostych, chociaż dobrych dzieci do nowego poziomu, wyższego od tego z którym się dotychczas obracali. Na wschodzie trwały już poważne bitwy, myśmy się uczyli. Na wiosnę 1920 roku przeżyłem tragedię, rozciągniętą po dziecinnemu, odczutą bardzo głęboko, tymbardziej, że tragedia ta ciągnęła

się z nimą i nie odstępowała mnie przez całe lata. Wpłynęło to na moje wychowanie i związek z domem. W czasie tym umarła matka. Zawiadomiono mnie i natychmiast udałem się do domu, niestety było zapóźno, była już martwa. W domu był już obrzęd pogrzebowy. Pełne mieszkanie ludzi, zapalone świece. Wszyscy śpiewali pieśni pogrzebowe do późnej nocy. Płakałem, modliłem się, całowałem jej zimne zwłoki. Ogarnęła mnie pustka, nie wiedziałem co dalej czynić. Stałem się rozbitkiem. Wyczuwałem, że drogą ciepło domowe, które okazało mnie od początku dzieciństwa. Wydawało mi się, że wszystkie nieszczęścia się na mnie walą, cisną mnie do ziemi. Bardzo kochałem matkę i wszystko o niej pokładałem. Od tego momentu stałem się jakgdyby dorosłym człowiekiem, który musi już być samodzielnym. Przestałem się śmiać, cecha ta zrosła się ze mną tak głęboko, że pozostała mi na długie lata. Matka pozostała mi w pamięci jako osoba stale się mną opiekująca. W najcięższych chwilach zwracam się o jej pomoc. Tegoż roku po powrocie na wakacje z przerażeniem stwierdziłem że ojciec sprzedał dom, w którym włożyłem całe swoje marzenie i pracę. Pozostałe dzieci w domu zaniedbane, kikut komina sterczał jak po spaleniu. Dom pogrążał się

w ruinę. Oparcie swoje znajdowałem u babki z linii matki, opiekowała się mną przez całe lata szkolne i dawała czasem wsparcie pieniężne. Ojciec zaczął przygotowywać drzewo na następny dom ~~ale już go nie wybudował.~~ Pieniądze za dom ~~błyskawicznie~~ szybko się rozeszły ~~nie było za co postawić nowego a i sił tu było.~~ W takiej sytuacji byliśmy w sierpniu 1920 roku. W tym czasie front wschodni zbliżał się z szybkim tempie do Warszawy. Wiedzieliśmy że front ten jest blisko nas. Któregoś dnia przeszły przez wieś, może dwie kompanie nasze, ostatnie i jedyne, jakie były w tym rejonie, szły spokojnie mając za sobą jednego rannego. W jakiś czas za nimi chmara wojsk sowieckich, szli wszędzie, na przełaj, nie licząc się z zniszczeniem. Na skraju wsi zostali zatrzymani przez oddziały nasze. Rozpoczęła się walka, my byliśmy już po sowieckiej stronie frontu, zaczęli napływać ranni sowieci. Walka trwała do końca dnia i przez noc. Na drugi dzień zaczęły ciągnąć furmanki chłopskie, podwody, niektóre z nich były aż z Białorusi. Wozy te ciągnęły się nieprzerwanym szeregiem przez parę dni. Niektóre z nich były załadowane jakimś materiałem wojskowym inne były puste. Wszyscy szli na Warszawę aby tam zdobyć czerwone buty. Te puste

to chyba po Tup, myślałem. Po paru dniach drobiazg przerwy. Niektóre eszelony wozów wracały inne szły do przodu. Sowieci natychmiast natrzęsli kontyngenty żywnościowe na wieś. Żywności nie przywiózł z Rosji. Polski chłop musiał żywić armię nieprzyjacielską. Jeszcze po paru dniach powstała zupełna cisza, pozostały tylko linie telefonu polowego i obsługa aparatów. Z rozmów słyszanych na zewnątrz domu można się było domyślać, że cała wyprawa przybiera obrót niepomyślny. Często słychać było — posiłków artyleryjskich brak —. Ta cisza już nie została zakłócona, zaledwie parę wozów wracało tą samą drogą, reszta gdzieś została. Jakiś pojedynczy maruder jechał na koniu na oklep i zatrzymał się aby się posilić, chłopi zaczęli wołać, polacy! polacy! Ten ze strachu nie mógł wsiąść na konia, ktoś mu pomógł ale tak, że przerzucił go przez konia. Już go nie dosiadał, uciekł. Dopiero z dwa dni po tym incydencie szło wojsko nasze, widać było zdyscyplinowanie i porządek. To poznański pułk. Mówiąc nawiasem napotkanemu żydowi obcięli brodę. Poznaniacy przodowali w tym procederze. Tak przeżyliśmy już drugi front, który przekraczał te okolice. Z tym, że kiedyś nikt nie opuszczał

swoich gospodarstw. Nauka nie poszła w las, żadne z gospodarstw nie zostało spalone. Życie wracało do normy. W jesieni odjechałem do szkoły. Ojciec szybko wybudował następny dom, również ładny. Ożenił się powtórnie. Była to prosta dziewczyna ale dobra i chciała te pozostałe dzieci po pierwszej żonie skupić wokół siebie. Była jednak młoda i mało doświadczona osoba a przy tym na zbyt niskim poziomie aby dać sobie radę, przytym nie miała wpływu na ojca. Urodziła córkę. Umarła po porodzie. Ojciec ponownie sprzedał dom i przygotowywał się do budowy następnego. Sam z gromadką dzieci zamieszkał w prowizorycznym baraku, ożenił się po raz trzeci. Pieniądze za sprzedany dom rozeszły się też lekkomyślnie, sił ubywało. Trzeciego domu już nie wybudował. Młodsza siostra ode mnie Maria wyszła zamąż, młodszy brat Stanisław odszedł z domu szukać sobie pracy. W domu pozostał najmłodszy brat Czesław i najmłodsza siostra Wanda. Jako małe dziecko Wandę zabrała do siebie babka z linii matki, i do końca swojego życia opiekowała się nią. Brat Stanisław wkrótce umarł jeszcze w młodym wieku. Traciłem kontakt z domem, który w moim pojęciu już nie istniał. Więź ta powoli się zacierała.

Do domu zniechęcała mnie osoba obca nieprzychylnie ustosunkowana do dzieci z pierwszej żony to jest do mojego rodzeństwa. Losy życia rzuciły mnie daleko od domu, zajęcie się pracą zawodową angażowały mnie osobiście. Zawsze jednak myślałem o domu mojego dzieciństwa, tęskniłem do niego, do tego pięknego domu rodzinnego. Zdawałem sobie jednak sprawę, że nigdy to już nie nastąpi. Marzenia pozostały już tylko marzeniami, ale nigdy nie traciłem nadziei, że muszę jeszcze to miejsce zobaczyć. Moment ten nastąpił przypadkowo po 50 latach jak opuściłem wieś a w 70-tym roku mojego życia to jest w roku 1975. Dziwne miałem uczucie kiedy stanąłem w miejscu gdzie była karczma gdzie był nasz dom. Ten mały kawałek ziemi przypomniał mi moje dzieciństwo. Obraz przebiegał jak jeden wielki film, wydawało mi się, że widzę wszystko dokładnie i Matkę i Ojca i całe moje rodzeństwo, każdej chwili wydawało mi się, że wybuchnę płaczem. Łzy zciekały powoli i grzęzły w ziemi. Na kawałku tej ziemi pozostały tylko jabłonie, które sadziłem razem z ojcem, miały one już po 60 lat. Postawił tu nowy właściel dom i zabudowania gospodarskie. Ojciec utracił całą własność

nie pozostawiając dzieciom spadku. Sprzedawał po kawałku ziemię nie troszcząc się jak żyć będą jego dzieci. Sam zaś był dobrze zaopatrzony przez swoich rodziców i mógł rozpocząć start życiowy. Nie przejął tej tradycji która była w rodzinie jego jak również i rodzinie matki. Trochę refleksji ale jak gorzkich. Tutaj dowiedziałem się, że żyje najmłodsza siostra, i mieszka w Giżycku, (nen trzech synów, Ryszard Chełchowski oraz Jerzy i Wisław Łada) reszta rodzeństwa wymarła w młodym wieku. Siostra Maria zmarła po powrocie z przymusowych robót w Niemczech wyniszczona fizycznie, pozostawiła dwie małe dziewczynki Irenę i Zofię. Siostra ta miała ciężkie życie, mąż ją porzucił, popełniając bigamię, sama swoją pracą wychowywała dzieci. Brat Stanisław umarł na gruźlicę. Brat Czesław umarł również na gruźlicę kości jeszcze w młodym wieku. Przyczyną tych chorób była druga żona ojca, chora była na gruźlicę o chorobie tej nikt nie wiedział. Dzieci zostały zarażone i odeszły tą samą drogą. Tylko nas dwoje pozostało ja i Wanda, my dwoje byliśmy poza domem. Ojciec zmarł jeszcze jako wdowiec, opiekowały się nim w końcu jego życia tylko wnuczki, gdyż dzieci nie było, one z przymusu odeszły. Dziećmi z pozostałych dwuch żon nie będę

się zajmował, nie znałem ich i nic mnie z nimi nie łączyło. Długo patrzyłem na ten plac karczemny. Wzrok mój wędrował po każdym jego centymetrze, wywołując obrazy dzieciństwa. Poszedłem obejrzeć pole które mieliśmy w głębi wsi. Na przestrzeni tego czasu wieś zmieniła się znacznie. Pozostało jeszcze trochę domów z mojego dzieciństwa ale większość to domy nowe, murowane, oświetlenie elektryczne, telewizory, gdzie niegdzie traktor, to już znaczny postęp. Doszedłem do naszego pola. Kto inny już go uprawiał. Wiele przedmiotów orjentacyjnych zniknęło ale rola pozostała ta sama, zboże bujne pocięte dróżkami i miedzami, wyglądały takie same jak wtedy kiedy je opuszczałem. Spotykałem się z ludźmi ale byli to wszyscy ludzie młodzi którzy tylko z opowiadań wiedzieli, że taki był w bródku. W moim wieku pozostało już niewielu a i tak mnie nie poznali i ja ich nie poznawałem. Zostałem jednak zaskoczony wiadomością że na naszym polu zostały odkopane fundamenty jakiejś starej osady, że z tych fundamentów wybierano kamienie na budowę domu i budowę drogi. Wskazano miejsce. Przebiegła mi myśl, że przecież to nie fundamencik a jakiś blok, jeżeli

tyle kamieni zdołano wybrać. Miejscem tym było nasze pole. To było trzecie miejsce gdzie lokalizowałem w dzieciństwie gród czy mały gródek a od którego powstała nazwa Wsi. Wszedłem na ten wzgórek, cofnąłem się wyobraźnią do tych czasów, kiedy tu wrzało życie i rozegrała się tragedia ostatnich chwil jego istnienia, przed pięcioma wiekami. Pozwólmy sobie pójść za tą wyobraźnią i przeżyć te momenty razem z jego załogą. Jest rok 1368. Dwuch jeźdźców przedzierało się przez puszczę. Z północnego wschodu na południowy zachód. Konie niskie, krępe, dobrze utrzymane. Na nich jeźdźcy ubrani w kurtki skórzane, na głowach czapki futrzane ściśle dolegające do głowy, spodnie sukienne, na nogach łapcie z łyka podszyte grubszą skórą gładką, przymocowane rzemieniami do nóg. Na koniach tylko derki przepasane pasami z przodu na wysokości łopatek konia dwie torby skórzane wypchane niezbędną żywnością i zbożem dla koni. Na plecach łuki z kołczanem na strzały pełne strzał za pasem kordelasy w ręku dzidy i wodze do kierowania koniem. Wodze puszczone luzem, mało były używane, konie szły kierowane piętami. Szły raźno, ~~na~~ między drzewami posuwały się jak po utartej drodze, tylko na

przestrzeniach bardziej otwartych podbiegały truchtem. Widać że jeźdźcom się śpieszy, nie interesowali się zwierzyną leśną i podnoszące się tu i ówdzie sarny, czy dziki uchodziły bezkarnie. Od czasu do czasu, konie jakby starały się zatrzymać głośno parskając, to jakiś wilk znalazł się na drodze, ale w tym okresie nie były one groźne, głośne hukanie wystraszały je i konie szły dalej.

Tato! zawołał młodszy, czy trafimy do gródka? Był trochę zaniepokojony nową okolicą i powiedział aby dodać sobie odwagi, przecież to pierwsza jego wyprawa w tak dalekie strony.

Trafimy, odpowiedział ojciec, popatrz po prawej stronie zawsze mamy bagna, byłem tu już nieraz, trzymając się tych bagien dojedziemy wprost do gródka, powinniśmy niedługo dojechać do rzęsawisk a popatrz tam w górze kręcą się kaczki, to już rzęsawiska. Powinniśmy teraz trafić na węglarzy, czuć było już zapach dymu. Puszcza bieliła się dołem, kora brzóz błyszczała w słońcu, na górze zielony parasol, tylko gdzie niegdzie przebijała się sosna. Na dole gęste podszycie, polany i różnej wielkości bajorka, które trzeba było omijać. Las brzmiał pieśnią ptactwa

puszcza była matecznikiem wszelkiego rodzaju zwierzyny, rządziła się swoim prawem naturalnym. ~~Teraz wjechali w las sosnowy~~ Młody człowiek gwizdnął parę razy, naśladując ptaki, natychmiast otrzymał odpowiedź a głosy rozeszły się po najbliższym otoczeniu. Poczuł się lepiej, zrobiło się mu raźniej, rozejrzał się po drzewach i wciągnął świeże pachnące powietrze on żył puszczą, bo w niej się wychował, kochał puszczę. Teraz wjechali w wysoki las sosnowy. Wokół było widać barcie a górą grały roje pszczół. Czuć było zapach miodu, przez który przebijał się zapach żywicy. Tak jechali aż do krańca lasu. Konie już były zmęczone i trzeba było dać im odpoczynek, ale cel ~~już~~ podróży już blisko. Stanęli na krańcu lasu, przed nimi pole a dalej na horyzoncie zabudowania niewyraźnie się rysujące. Człowiek puszczy był zawsze ostrożny. To też zsiedli z koni, wyszli na sam skraj i patrzyli w kierunku zabudowań.

Popatrz - rzekł ~~ojciec~~ starszy to bródek, widzisz dymy unoszą się spokojnie, przygotowują wieczerzę. Widzisz tę wieżę, tam zawsze czuwa strażnik, zda mi się, że go widzę, widzisz że zapędzają

Bydło za ostrokół. Musisz zawsze pamiętać, że cel który chcesz osiągnąć zawsze należy ocenić z ukrycia i stwierdzić czy cel ten jest bezpieczny i droga do niego. To jest nasz obowiązek, to jest obowiązek ludzi puszczy. Z tych naszych obserwacji że ludzie tam żyją w spokoju, można do nich się udać. Jedziemy. Dosiedli koni i wyjechali na pola. Niewiele ujechali a już dał się słyszeć róg ze strażnicy. To strażnik dawał sygnał mieszkańcom osady, że ktoś obcy zbliża się do gródka. W osadach takich zawsze ktoś czuwał dniem i latem, aby uniknąć zaskoczenia. Teraz jechali już spokojnie. Wokół Tamy zboża, przeważało żyto, ponadto jęczmień, owies, mało tam gryki i prosa, dużo lnu. Len zaspakajał potrzeby tkanin, bielizna, letnie okrycia, wszelkiego rodzaju worki, powrozy, i niej potrzebne na codzień. Ponadto olej i wytłoki jako dodatek karmy dla trzody. Było już blisko gródka. Kamienna bryła wieży dominowała nad zabudowaniami, na szczycie zamknięta drewnianym dachem pokrytym gontem. ~~Pod daszkiem~~ Dach wsparty na drewnianych ~~belkach~~ pionowych belkach, tworzył ganek dogodne miejsce obserwacji dla strażnika, na wszystkie kierunki.

W środkowej części wieży, okna wąskie, które mogły służyć jako miejsca do obrony gródka przez łuczników, lub do rażenia kamieniami. Od wieży odchodziły dwa skrzydła wybudowane z drzewa, jedno na północ drugie na południe. Te części budynku sięgały do połowy wysokości wieży. Zabudowania te z daleka wyglądały jak ptak z rozwartymi skrzydłami, zrywający się do lotu. Od wschodniej strony budynku niżej położone zabudowania gospodarskie a od zachodniej ogród dzikich grusz na ulęgałki, które ~~wy~~suszono na okres zimowy. ~~Całość~~ Takie usytuowanie zabudowań było celowe i przemyślane, gdyż tu wieją przeważnie wiatry zachodnie a więc zapachy gumna a szczególnie garbarni rzadko docierały do części mieszkalnej. Całość tych zabudowań otoczona była ostrokołem z pali dębowych łączonych belkami i wpustami od środka dziedzińca tworzyły balkon po którym można było spokojnie się poruszać, ~~to był~~ Ten balkon był miejscem stanowisk dla obrońców gródka. Ostrokół był na wysokość dwuch chłopów i służył nie tylko celom obrony ale również jako ochrona zwierzyny domowej przed wilkami. Dwie bramy w ostrokole pozwalały wejść na dziedziniec. Brama

południowa prowadziła na pola a północ
to droga wyjazdowa do Pułtuska.
Do tej drugiej zbliżyli się nasi podróżni
Nie musieli wołać, bramę już otwierano
Naprzeciw szedł zarządca gródka. Wzrost
był średniego, silnie zbudowany, włosy
i broda ciemne lekko zfalowane, ubrany
w koszulę i spodnie z płótna lnianego
na nogach chodaki takie same jak wszyscy
nosili w tych okolicach. Szedł energicznym
krokiem, wydawało się że pod koszulą
wszystkie jego mięśnie pracują harmonijnie
tworząc piękną sylwetkę. Już z samych
ruchów można było ocenić, że on jest
tu przewódcą i on o wszystkim decyduje.
Obok niego dwa psy nieodstępne towarzysze
Znali się od dawna. Wiele już razy nasz
starszy podróżny odwiedzał gródek aby
wymienić skóry na sól i przedmioty
żelazne potrzebne do strzał łuków, do
dzid, ~~i na~~ noży i gwoździe.

Jaksiemasz Janie, witaj, zawołał
zarządca. Mało tobołków przywiozłeś
ze sobą, to chyba syn? Co cię sprowadza

Łado, saraceny. Odrzekł Jan.
Zapanowało milczenie, pogodna twarz
zarządcy ściągnęła się w ostre rysy,
wydało się że w ciągu jednej tej chwili
postarzał się, jakiś smutek okrył jego tw

Chodźmy do środka, chłopcy zaopiekujcie się końmi. - Rzucił Łada. Objął przybysza i tak szli do środkowego ~~[illegible]~~ wejścia w wieży, milczeli, oddech zarządcy stał się głęboki, myślał. To już drugi najazd litwinów na Pułtusk w jego życiu. Poprzedni był w 1338 roku, wtedy był młodym miał 20 lat. Wtedy opędzał się litwinom już od Czerwonego Bagna, trochę szkody zrobił ich ~~[illegible]~~ zwiadom. Prowadził wtedy spław dębów z Puszczy Białowieskiej. Pierwszy zawiadomił ojców Pułtuska o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Bił się z nimi, ślady na ciele znaczyły te starcia, szczęśliwie przeżył tę pożogę. Znał sposób działania litwinów, szlaki którymi mogli się posuwać i szybkość posuwania się wyprawy. Stara historia - rzekł - od tylu lat litwini nas nękają, również Jadźwingowie, teraz zaprzestali kiedy krzyżowcy ich niszczą, kiedy to się skończy. Przecież kraj nie może się spokojnie rozwijać i budować, gdyż wciąż trzeba się odbudowywać. Weszli do izby gościnnej, i siedli przy stole, który stał na środku. Była to obszerna izba. Pod jedną ze ścian był piec osłonięty okapem. Tu gotowały się potrawy, zapach ich rozchodził się wkoło wypełzał na dziedziniec przez otwory

w ścianach, ~~wypał~~ Podróżni poczuli się głodnymi. Wokół ścian stały narzędzia pracy kobiet, kołowrotki, krosna, ale wszystko to nie rzucało się w oczy, panował tu półmrok. Małe otwory w ścianach nie wiele światła dopuszczały do jej wnętrza. Gospodarz skinął na kobiety aby podały posiłek.

Powiedźcie mi Janie, gdzie i kiedy widziano saracenów?

— Było to trzy dni temu, to jest w niedzielę zauważono ich na Czerwonych Bagnach, taką wiadomość przywieźli z Grodziska.

~~Odrzekł przybysz.~~ Wyprawą ~~do~~ przewodzi Kiejstut, podobno jest ich siła. — Odrzekł przybysz.

Żada myślał głośno, twarz jego była skupioną, tak, idą od Grodna, osłonięci przez Narew i Puszczę Kurpiowską, od Krzyżowców przekroczą Narew w miejscu gdzie Omulew do niej wpada. Przejdą na prawą stronę, gdzie kraj jest ludniejszy i zamożniejszy, to większe korzyści w rabunku, do Pułtuska już nie daleko. Liczył w pamięci, ile dni może upłynąć nim dotrą do celu wyprawy. Znał każdy zakręt Narwi i jej dopływy. Litwini będą wykorzystywać tratwy do podwożenia ludzi, Kiejstut będzie się śpieszył, Pułtusk jest łakomą gratką, miasto się rozwijało

było już odbudowane po ostatniej wyprawie, ba, można powiedzieć, było poważnym ośrodkiem bandlowym. Kiedy tam mogą dotrzeć. Myślał dłuższą chwilę, wymieniał nazwy rzek dopływów, stawiał kreski nożem na stole, w końcu liczył kreski. Tak, pod Pułtuskiem będą w piątek.

Wołaj Rogala – krzyknął na izbę. Po chwili zjawił się młody człowiek, dość wysoki, szczupły, oczy bystre zdradzały, że szybko się orjentuje.

Łada spojrzał na młodzieńca, przywołał go bliżej i patrząc mu w oczy mówił.

– Weźmiesz dwa konie i chłopca, pojedziesz na kanonię natychmiast. Powiesz kanonikowi osobiście, że ja cię przysyłam. Powiesz mu, że Litwini od Grodna ciągną na Pułtusk, pod dowództwem Kejstuta, jest ich chmara, w niedzielę byli na Czerwonych Bagnach, w piątek będą pod Pułtuskiem. W tamtą stronę nie zatrzymuj się nigdzie, na przewozie możesz mieć trudności, będziesz już o zmroku i może nie zechcą cię przewieźć, powiesz że jesteś posłem ode mnie i wieziesz ważną wiadomość, muszą cię przewieźć, możesz powiedzieć o co chodzi, zresztą przewoźnik mnie zna. Konie i chłopca zostawisz przy przewozie po tej stronie Narwi

tam przenocujesz. Jutro rano wrócisz. W drodze powrotnej zawiadom psiarzy aby mieli się na baczności, jak również proboszcza w Obrytem aby przygotował się do przyjazdu do nas. Powtórz: Chłopak bez zająknięcia i dosłownie wyrecytował całą treść zarządzenia.

— Teraz się spiesz — rzucił Łada.

A co z rodziną — zwrócił się do ~~pr~~ gościa.

A, ze starszym wysłałem nad Bug do znajomych, pojadę jeszcze do domu, żeby zobaczyć co się tam dzieje i będę się starał zostać jak najdłużej, a jak zagrozi niebezpieczeństwo w dwójkę i konno łatwo nam będzie dołączyć do reszty.

W tym momencie Łada zamyślił się. Jakaś myśl zaczęła go nurtować, rodziły się pomysły, a może skorzystać z tego przykładu, mam przecież znajomych pod Wyszkowem, tu może być gorąco, jeżeli Litwini przy oblaganiu Pułtuska zaczną korzystać z mięsa puszczy, mogą tu dotrzeć. Rozmowa toczyła się wokół spraw rodzinnych. Podano dzban miodu do picia i garnuszki dla starszych. Rozpoczęto przygotowania do kolacji. Posiłki spożywano tu wspólnie, to też polowi, leśnicy i rzemiosła zaczęli schodzić się do izby, przysiadali się do stołu i słuchali

co starsi mówią. Rozmowa toczyła się wokół napadów Litwinów.

Pomyśleć tu Janie - zaczął Łada - przecież to poganie, zawojowali Ruś a teraz mają z nimi niemało kłopotu, napadają na Mazowsze, z krzyżowcami mają się na pieńku i musieli już opiścić niektóre tereny, krzyżowcy im zagrażają tak jak i nam a oni jeszcze napadają na nas. Przecież to mały naród a zewsząd wrogi, nie dadzą rady. Powinni z Polską się pogodzić, ale to ambicje bojarów, książąt, królów, stoją na przeszkodzie, ale może znajdą się mądrzy ludzie tam u góry. W Krakowie są zacni ludzie to pewno coś na to poradzą.

Stary Jan tak daleko swoimi wiadomościami nie sięgał, to też słuchał z ciekawością i przytakiwał głową, czasem tylko stawiał pytanie, jeżeli czegoś nie rozumiał. Rozmowa się toczyła. Zaczęto podawać do stołu. Znoszono misy z kluskami omaszczone słoniną ze skwarkami, dzbanki mleka do popijania, kubki i drewniane łyżki. Przed rozpoczęciem posiłku, Łada wstał odmówił modlitwę i pobłogosławił dary, teraz rozpoczęto posiłek wieczorny. Po kolacji, młodzi udali się na obrządek wieczorny, kobiety

zbliżyły się z kołowrotkami i wrzecionami do ogniska, to był normalny porządek każdego dnia roboczego, tylko w niedziele śpiewano i czasem bawiono się różnymi zabawami a czasem tańce przy grze na fujarce. Kiedy zmierzch zapadł, wszyscy udali się na spoczynek. Tylko Łada nie mógł nocy tej zasnąć. Jeszcze przed udaniem się na spoczynek, wydał dyspozycje na jutro. Były one krótkie. Jutro piec chleb i wędzić mięso na dwa tygodnie. Po tym zarządzeniu, położył się na swoim łóżku, chciał zasnąć ale myśl krążyła wciąż wokół wypadków, układał sobie plan na jutro, starał się wszystko przewidzieć, starał się ułożyć swoje decyzje, cisnęły się różne pomysły, ale przede wszystkim skupiał się wokół obrony gródka. Liczył swoje siły, oceniał każdego możliwego obrońcę, oceniał broń jaką dysponuje załoga. Właściwie miał wszystko, broń, żywność, tylko mało obrońców, ściągnę trochę leśnych i bartników, ale to wszystko mało, ponadto są to ludzie nieprzygotowani do walki, prawie surowi, no cóż potrafią dać sobie radę ze zwierzyną no i pszczołami, tu uśmiechnął się, ale stanąć wobec innego wojownika, to nie jest łatwa sprawa.

Przecież ja również tak rozpoczynałem, prawdę mówiąc nic nie umiałem a jednak szybko się nauczyłem, lecz jak oni to przejdą, nie wiedział. ~~Tak walczył ze sobą i ze~~ Kobiety i dzieci jednak odeślę głęboko w puszczę, w bezpieczne miejsce, tutaj byłyby w niebezpieczeństwie a także byłyby przeszkodą. Z tą decyzją, już nad ranem zasnął. O świcie dnia następnego Łada pożegnał gości i odprawił dwuch leśnych do kontroli drogi od rzęs do grobli na Obryte, z tymże kazał przygotować rozebranie mostu na grobli, lecz przecięcie grobli nastąpi na jego zarządzenie. Zwrócił się do gości uścisnął starego Jana i jego syna a w końcu rzekł: - nie dajcie się zaskoczyć a pamiętajcie uważać na zwierzynę, ona pierwsza sygnalizuje obcego w puszczy. - Łada stał jeszcze chwilę i patrzył za oddalającymi się gośćmi. Powrócił myślą do swojego planu ułożonego w ciągu nocy i rozpoczął kontrolę ostrokołu. Oglądał każdy słup, każde wiązanie, sprawdzał mocowania wiązań, wrota, tu przemyślał pewne wzmocnienia. Obszedł ostrokół od zewnątrz i kazał wyciąć krzewy, które mogły dawać skryte dojście do ostrokołu. Wrócił do baszty

i na pierwszym piętrze przejrzał cały swój arsenał broni. Było tu wszystko co wówczas używano do walki i polowań. Liczył czy broni starczy dla wszystkich, z uzbrojeniem nie było źle, mógł dwie takie załogi uzbroić. Były tu łuki, kusze, dzidy, pawęże, kordelasy a nawet arkana. Myślał o tych, którzy mają tej broni używać. Niewielu się doliczył, może będzie dwudziestu razem z leśnymi, to nie wiele jak na tak obszerny ostrokół ale to wszystko zależy od ilości wrogów. Można się liczyć z małą grupą ale może ściągnąć i większa, napewno Litwini będą chodzić za mięsem dla wojsk oblegających Pułtusk, to czynili w poprzednich wyprawach ale czy zapuszczą się aż tutaj, trudno przewidzieć, lecz trzeba się z tym liczyć. Zdolnych do walki trzeba przećwiczyć we władaniu bronią i trzeba im przekazać swoje doświadczenia w walce, to też zarządził na poobiedzie zebranie wszystkich zdolnych do walki. Przywołał starego stelmacha i wydawał mu polecenie.

— Słuchajcie Deptuła, przygotujecie juki i wszelki sprzężaj, zapakować odzież i żywność na trzy dni, wszystko przygotowa

tak aby każdej chwili można było wyruszyć w drogę. Zabierzecie ze sobą starszych, kobiety i dzieci, udacie się do garncarzy pod Wyszków do moich znajomych, drogę znacie, tam pozostanie tak długo dokąd was nie zawiadomię. Ruszajcie i śpieszcie się. Już mijało południe kiedy Rogal powrócił z Pułtuska, zdawał relację z powierzonego zadania. Mówił: - Już przed naszym odjazdem z kanonii, napłynęły wiadomości z prawego brzegu Narwi, że Litwinie przekroczyli rzekę i posuwają się na miasto. Zaczęto pośpiesznie przygotować się do obrony, część ludzi przygotowywała się na wyjście do Płocka. Kanonik powiedział że święte monstrancje i księgi odeśle do Gródka. Po drodze zawiadomiliśmy psiarzy i plebana w Obrytem aby mieli się na baczności. Psiarzy pouczyłem aby nas o wszystkim powiadamiali. Ksiądz pleban nie był skory do decyzji ale w końcu powiedział, że kościoła nie opuści, chociaż przyszłoby to zginąć, kielichy święte prześle na przechowanie wraz z kościelnym. Na dziedzińcu zbierali się przyszli obrońcy. Wszystko ludzie młodzi, krępi, silnie zbudowani, wychowani w trudnych ~~[illegible]~~ i twardych

warunka puszczy, ale reagujących szybko na każdy jej szelest. Wyglądali jak młode niedźwiedzie, których ruchy wyglądają leniwe i niezdarne, lecz to tylko pozorne, reakcje ich są tak szybkie, że najbardziej zwinne stworzenie nie jest zdolne im umknąć. Teraz Łada objaśnił czego się mają spodziewać. Każdego oglądał i wydawał broń odpowiednią do budowy. Ustawiono kukły ze słomy w kształcie człowieka, za kukłą stał wojak z długim drążkiem, który miał utrudnić władanie dzidą atakującego kukłę, tu wymyślano różne pchnięcia i odbijanie dzidy. Po tych wstępnych ćwiczeniach, stawali parami i pozorowali walkę, główny ciężar, w tych ćwiczeniach, położono na odbijanie i blokowanie dzidy. Strzelania z łuków i kusz nie trzeba było ćwiczyć, bo użycie tej broni było chlebem codziennym. Po miecze i pawęze sięgali tylko niektórzy, tu sam Łada używał tej broni i sam dawał wskazówki. Tak ćwiczono do wieczora. Kobiety przygotowywały się do wyjazdu. Troczono juki, ładowano wózki niezbędnym sprzętem potrzebnym w podróży i na czas pobytu w nowym miejscu. Wybierano co przedniejsze okrycia. Wszystko to odbywało się w spokoju, tak jakby nic im nie groziło.

Taki sam przebieg miał dzień następny, ale wieczorem już przybył posłaniec z kanonii z zapowiedzią, że Litwini są pod Pułtuskiem, również zapowiadano ilu ojców kościoła przybędzie do gródka aby przetrwać okres napadu na miasto. Żada rozpatrzył tę wiadomość, przywołał najstarszego syna i rzekł: Jędrek, jutro z rana weźmiesz najlepszych pięciu łuczników, udasz się na groblę z kapliczką, po przejeździe duchownych z Pułtusk, rozbierzesz most. Tam będziecie czuwać. Litwini dowiedzą się w mieście, że grupa wozów i juków odeszła do puszczy i będą ich szukać i ścigać a niewielką sztuką będzie dla nich aby pójść po śladach i to ich przyprowadzi tu do nas. Na przejściu zostaniecie aż do przybycia Litwinów. Nie wolno mierzyć się z nimi w walce wręcz lecz z dobrego ukrycia szyć strzałami. A kiedy saraceny będą już przekraczać bagno, przenieść się na następne pasmo bagien i powtórzyć to samo. Jędrek kiwnął głową, że wszystko rozumie i odszedł kompletować załogę. Przenieśmy się teraz na chwilę w miejsce gdzie był most, grobla i kapliczka. W tym czasie przyległe łąki wokół grobli pokryte

były wodą, po obfitych opadach w tym rejonie, tworząc pasmo trzęsawisk, które można było przebyć tylko po grobli. Trzy takie pasma bagien utrudniały dostęp do gródka a wiosną były nie do przebycia. Po obydwóch stronach mostu na grobli pod kapliczką teren się podnosił i dawał dogodne warunki obserwacji, co się po przeciwnej stronie dzieje. To też Jędrek po przybyciu na miejsce ze swą grupą, ubezpieczył się od strony Obrytego i czekał na dalsze wypadki. Pod wieczór nadciągnęły wozy z kanonii, tudowiedział o postępach Litwinów, jak również to, co przewidywał ojciec, napastnicy ścigają ~~[illegible]~~ ekwipaż. Dowiedział się również, że pleban w Obrytem pozostał przy kościele a wysłał tylko kościelnego. Wozy przeszły, zaczęto rozbierać most zostawiając tylko jeden dyl dla przejścia swojego ubezpieczenia. Jędrek zaczął myśleć już jako samodzielny wojownik i kierownik tej małej grupy obrońców. Wyznaczył ukryte miejsca dla Tucznikow, objaśnił kiedy i jak mają się wycofywać na następne bagno. Zmierz się zbliża. W tym usłyszał gwizd czujki, ~~podsz~~ ktoś obcy na drodze, podszedł do strażnika. W nie dużej odległości ujrzeli człowieka z psem

śpiesznie zbliżającym się do przejścia. To pewno ktoś z psiarów pomyślał i dopuścił go blisko, pies zasygnalizował że ktoś obcy przed nim, przybysz zatrzymał się, przywołał psa i krzyknął: kto przede mną? Jędrek odkrzyknął: a odkąd przybywasz? Jestem psiarem i uciekam przed saracenami - odrzekł. Chodź to swoi - odpowiedział Jędrek. Teraz nastąpiły pytania i odpowiedzi. Przybysz objaśniał - od piarów do Obrytego szli mi po piętach, ledwie nadążałem im umknąć, przy kościele zatrzymali się, wywlekli plebana, który trzymał krzyż w ręku, widziałem jak go bili, upadł na ziemię, to straszny naród te dranie. Dalej już nie czekałem starałem się im umknąć. Jędrek myślał, mówił jakby do siebie, napewno zanocuję przy kościele a jutro z rana ruszę. Przeszli na drugą stronę bagna do grupy obrońców. Wszyscy przygotowywali się do spoczynku, bo ognisk palić nie wolno. Nad Obrytem dojrzeli łunę, to paliła się plebania i kościół. Stali i patrzyli myśląc ze zgrozą o popełnia zbrodni. Noc przebiegła spokojnie ale o świcie strażnik ponownie gwizdnął, ale dźwięk ten wydał się groźnym. Strażnik

szybko zbliżył się do mostu i przeskoczył go po leżącym jeszcze dylu, usunięto go natychmiast. Tak, już idę, myślał Jędrek, - teraz zająć stanowiska, - nakazał, nawet nie spostrzegł, że w tym momencie stał się dowódcą tej małej grupy, poczuł tylko, że stał się dojrzałym i samodzielnym człowiekiem. Rzucił jeszcze okiem, od strony mostu, czy zasadzka jest dobrze ukrytą, poszedł na swoje miejsce. Czekali. Wydawało się, że to czekanie wlecze się w nieskończoność, niektórym drżały szczęki inni dla upewnienia się próbowali cięciwy i drzewca łuków czy aby są w dobrym stanie, czy aby nie zawiodą. Każdy z nich miał swój sposób przeżycia momentu spotkania się z wrogiem, przecież pierwszy raz będą zabijać człowieka. Nigdy tego nie robili, czy ręka i oko będą tak sprawne jak przy zabijaniu zwierzyny. Kurczyli i rozprężali dłonie, tak aby zabić czas oczekiwania. Na małym wzniesieniu po przeciwległej stronie ukazali się ludzie, szli dość raźno rozmawiali, głośno się śmiali. Mała grupka na czele zbliżyła się do zerwanego mostu, słychać jakieś niezrozumiałe przekleństwa czekali na przybycie dalszej większej grupy

Odległość między wrogiem a ukrytymi obrońcami była nieduża i strzał łuku był pewny. Ta czołowa grupa nie starała się nawet ukrywać i zachowywać ostrożność. Ukryci baczyli na Jędrka i na jego sygnał, ~~skinął~~ trzymając strzały na cięciwach, skinął ręką i sześć strzał świsnęło w stronę nieprzyjaciela, sześć ciał zwaliło się na ziemię, okrzyki bulu, zamieszanie wśród pozostałych, niektórzy uskoczyli za drzewa, ale świsnęło następnych sześć i znowu parę ciał zwaliło się na ziemię, reszta w popłochu uciekła na bezpieczną odległość aby uniknąć strat. Dowódca litwinów ustawił część łuczników na przeciw mostu, część skierował do brodzenia przez bagno a część do naprawy mostu. Przystąpili do wykonania zadania, teraz strzały łuków szły z obydwuch stron. Litwini jednak mieli utrudnione zadanie gdyż rzucali strzały do niewidocznych celów, ci zaś którzy poszli w bród, zanurzeni po szyję między szuwarami zbliżali się do naszych obrońców. Jeden z wrogów brodzących ~~zbliżył się~~ zauważony prze Jędrka na odległość parę kroków dostał strzałę w głowę, jakby pchnięty w dół nie wydał nawet okrzyku bulu, tylko bąble powietrza okazały

się na powierzchni. Nadszedł czas aby wycofać się na następne pasmo bagien. Zakryci krzewami i zaroślami, usunęli się w stronę gródka. Dalsze posuwanie się Litwinów było ostrożne ale i oni potrafili obracać się w dzikim i trudnym terenie. Straty mieli ale mniejsze a niżeli na pierwszej przeprawie. Ta skryta, polegająca tylko na sprycie walka trwała aż do bram ostrokołu. W gródku już dobę przedtem kobiety i dzieci zostały wysłane w drogę nad Bug. Załoga zdwoiła czujność i wszyscy byli na swoich stanowiskach, czekając na wiadomość od ubezpieczenia. Kiedy Jędrek ze swoimi łucznikami zbliżał się do ostrokołu, uchylono wrota i cała grupa wśliznęła się do środka warowni. Łada stał przy wejściu, objął syna i pytał o przebieg walk. – Siła ich jest – mówił – ilu ich ubyło? wszyscy jesteście? ~~Tak~~ Nie ponieśliśmy szranku, ale saracenów jest powyżej setki, na tamtej świat wysłaliśmy kilkunastu. Wiesz ojcze z początku myślałem, że niebędę mógł zabijać ludzi, ale cóż, na człowieka poluje się tak samo jak na zwierzynę, z tym tylko, że zwierzyna ma rogi i kły a człowiek strzały i dzidy i jest więcej przemyślny i tylko od jego sprytu zależy zwycięstwo.

Noc przeszła naogół spokojnie. Na zewnątrz ostrokołu snuły się cienie. Puszcza szumiała swoje nocne modlitwy nieczuła na ludzkie konflikty. Tylko zwierzyna i ptactwo, ~~od czasu do czasu~~, wydawało się być niespokojne zjawieniem się intruzów, krzykiem dawało znać o ich obecności. Koło południa Litwini rozpoczęli szturm. Widać liczyli na łatwe zwycięstwo, bo dość beztrosko z okrzykami zbliżali się do ostrokołu w trzech miejscach, niosąc ze sobą drabiny. Pierwsze strzały z zaostrokołu ostudziły ich animusz, ale przynaglani przez swoich prowodyrów, a było ich dużo, rzucili drabiny na stroków i zaczęli się wspinać, czynili to sprawnie i szybko. Obrońcy ledwie nadążyli aby skupić się w miejscach największego zagrożenia. Tylko Łada przebiegał z miejsca na miejsce aby baczyć gdzie jest największe zagrożenie. Przy nim dwa psy myśliwskie nieodstępne towarzysze polowań, w wielu wypadkach ratowały go z opresji a może nawet uratowały go od śmierci. Obydwa silne i posłuszne, znały każdy rozkaz pana i wykonywały go niezawodnie. Jednego zwano Łatek a drugiego Burek. Chyba dlatego, że jeden miał białą łatkę

na czole a drugi był zupełnie bury. Obrońcy walczyli w ciszy. Słychać było tylko śpiew cięciw, czasem cięcie toporkiem lub uderzenie kordelasem. Każdy taki dźwięk powtarzał się okrzykiem bulu po drugiej stronie ostrokołu. ~~Tego dni~~ Walka przeciągnęła się do popołudnia. Tego dnia nie próbowano już więcej natarcia. Wieczorem obrońcy zepchnęli drabiny z ogrodzenia i kucnąwszy przy palach, drzemali, inni pojadali, inni czuwali na zmianę do dnia następnego. Łada wiedział, że Litwini nie zrezygnują łatwo ze zdobycia twierdzy, znał ich dobrze i czekał jaką przebiegłość wymyślą. Analizował wszelkie możliwości, sam obmyślał sztuki jakich można dokonać aby zdobyć warownię, sprawdził poniesione straty, były niewielkie, parę okaleczeń ale nie groźnych. Najstarszy z księży zajął się opatrzeniem rannych, roznosił żywność i zagrzewał do walki. Ale nastrój załogi był dobry, przecież nie dali się pobić, mimo tak dużej przewagi wroga. Z pośród księży byli tacy co już nieraz ścierali się z wrogiem nim podjęli śluby, władali oni dobrze bronią i nie ustępowali najdzielniejszym wojakom. Noc upłynęła na czuwaniu.

Od wczesnego rana rozpoczął się ruch po stronie nieprzyjaciela. Znowu drabiny, znowu walki na ostrokole, w tych samych miejscach co w dniu poprzednim, wydawało się, że natarcie idzie trochę ospale. Nie osłabiło to czujności Łady, znał ich różne fortele, to też zatrzymał przy sobie syna i leśnego chwałę. Rzekł do nich - będziecie przy mnie ale baczcie na wolne od walki odcinki ostrokołu, stąd może przyjść niebezpieczeństwo. Ledwie wypowiedział te słowa a już trzech pokazało się na ostrokole. Strażnik z wieży krzyknął - Uwaga saraceny przy śpichrzu - Łada już ich widział. Zeskoczyli z ostrokołu i biegli w stronę Łady, zaraz na ostrokole pokazało się następnych dwóch. Pierwszy który przedostał się na dziedziniec, chłop tęgi biegł wprost na Ładę, uderzył dzidą, ten osłoniwszy się pawęzem ~~na~~ ciął mieczem a wróg zdołał odskoczyć tak przebiegały następne starcia, przeciwnik dobrze unikał ciosów i sam sprawnie atakował. Łada poczuł swoje pięćdziesiąt lat i zaczął słabnąć, poczuł, że nie wytrzyma do końca, przeciwnik był nie uchwytny. W tem krzyknął na psy. Te jakby wyrzucone z katapulty zatoczyły

małe łuki i zaatakowały z tyłu, tak zawsze atakowały zwierzynę, przeciw obrócił się aby zabić psy ale ten drobny prawie odruch wystarczył, by Żada zadał cios, zadał go z całej siły tak, że miecz zatrzymał się w połowie klatki piersiowej, trysnęła krew aż na ręce zwycięzcy. Bezładne potężne ciało zwaliło się na ziemię. W tym czasie dwaj towarzysze dowódcy walczyli z napastnikami. Jędrek miał przewagę i przeciwnik zaczął się cofać, potknął się i to przesądziło jego los. Trzeci widząc wyniki starć, biegł do ostrokołu aby mieć pomoc tych którzy dostali się już na dziedziniec, ale Chwała był szybszy i pchnął dzidę w plecy. Dwaj pozostali starali się dostać na ostrokół ale psy dopadłszy ich, chwyciły za nogi. Musieli oni podzielić losy swoich poprzedników. Bitwa na ostrokole jeszcze trwała ale niepowodzenie podstępu ostudziły zapał do walki. Dowódca litwinów wpadł w szał, bił swoich podwładnych, kopał, krzyczał, wydał rozkaz znoszenia drzewa pod ostrokół, postanowił gródek spalić wraz z obrońcami. Całą noc spychano susz i drzewo pod ogrodzenie. Nad ranem w trzech miejscach przy ostrokole wybuchły płomienie, pale objął płomień,

płonęły. Trzy otwory jak rany powiększały się i rozszerzały wzdłuż ogrodzenia. Obrońcy cofali się przed ogniem. Łada zrozumiał niebezpieczeństwo, nakazał wycofać się obrońcom do ostatniej ich reduty to jest do budynków złączonych z wieżą kamienną, ale zrozumiał również, że tu nie ma szans bo litwini uczynią to samo z redutą, niema innego sposobu jej zdobycia. W ostrokole powstały trzy wielkie bramy, przy których skupili się wrogowie, patrzyli na dziedziniec i ostrożnie weszli do środka. Buszowali po zabudowaniach gospodarczych ale do reduty nie zbliżali się. Czekali na noc aby znowu skupić drzewo pod drewnianą częścią zabudowań reduty, i zapalić. Łada zwołał załogę. Litwini chcą nas spalić, musimy opuścić nasz zamek. Wszystkie kosztowności i niepotrzebną broń zakopać pod wieżą. Mamy dwa wyjścia, jedno prze otwarcie wyjścia w wieży ale te będą mocno obstawione; ~~drugie~~ walka może być ciężka i może skończyć się klęską zupełną; drugie, to jest wyjście prze poszycie. Są tam otwory łatwe do otwarcia jak również dymniki. Z dachu można opuścić się po linach. Chodzi tylko o to aby wszystko

przygotować skrycie i po cichu. W tej chwili należy ściśle obserwować, gdzie najmniej skupionych jest wrogów. Teraz zaczął wydawać szczegółowe zarządzenia dla poszczególnych obrońców do wykonania poszczególnych zadań. Ustalił kto zeskoczy pierwszy i do tego zadania wyznaczył najdzielniejszych. Jakie uzbrojenie zabrać, ile żywności, jak opuścić rannych, jaki szyk przyjąć na i w jakim kierunku należy się posuwać. Zarządził aby każdy przepasał się białym płótnem aby w ciemności nie okaleczyć własnych towarzyszy. Załoga natychmiast zabrała się do pracy i około północy byli gotowi do tak ryzykownego przedsięwzięcia. Łada po głębokim rozważeniu ustalił miejsce zeskoku. Zgromadzono liny, psy umieszczono w koszach i jednego ciężej rannego, pięć lin umocowano do belek. Wszyscy na stanowisku, zarządził Łada, skok! Pięć ciał śliznęło się po linach, za nimi następni, aż do statniego. Na końcu Łada, cisnął zapaloną żagiew na stos lnu, płomienie trysnęły, skoczył do liny i znalazł się na dole. Cały oddział ugrupowany w koło ruszył do przerwy w ostrokole, boczne słupy ~~jak~~ tliły się jeszcze znacząc krawędzie przejścia.

Tu jeden z wartowników litewskich zauważył ruch i podbiegł sprawdzić ale znalazł się za blisko aby odskoczyć, pozostał na miejscu przebity dzidą. Inni wartownicy zauważyli ruch i zaczęli nawoływać, zbiegło się kilkunastu i zaczęli nacierać ale było ich za mało stawić czoła tej zdecydowanej grupie na wszystko. Grupa obrońców sunęła karnym szykiem w stronę olszyny, która dawała im lepsze warunki obrony i skryte odejście. Litwini uparcie posuwali się za nimi, strzały łuków świstały w obie strony. Nasi obrońcy przyzwyczajeni do polowań w nocy potrafili strzelać z łuków na wyczucie bez celowania okiem, to też często ścigający wydawali okrzyki bólu. Stopniowo zmniejszała się ich liczba, w końcu zrezygnowali z pościgu. Obrońcy zatrzymali się na wzgórzu wśród wysokich sosen, aby odpocząć po tak dużym wysiłku. Z tąd widać było gródek w porze dnia, teraz widzieli tylko słup ognia, tylko od czasu do czasu rysował się ciemny pas wieży. Łada stał i patrzył na to zniszczenie dzieła jego życia, tu spędził prawie trzydzieści lat, tu urodziły się wszystkie jego dzieci, to spędził najładniejsze lata swojego życia. Czy jeszcze wróci? Łzy cisnęły się do oczu,

policzył obecnych było ich dwadzieścia cztery
Łada zwrócił się do księdza - kanoniki pomódlmy
się za ocalenie i za naszego Jana bajaka
który zginął tam przy ostrokole. - Ksiądz
sięgnął za pazuchę i wydobył krzyż,
wszyscy uklękli opierając się na dzidach.
Ksiądz podniósł krzyż, skierował go o stronę
gródka i rozpoczął modlitwę dziękczynną
po łacinie, w końcu rzekł. Amen! Wszyscy
powtórzyli - Amen! A teraz módlmy
się za duszę naszego Jana - rzekł ksiądz.
W języku zrozumiałym dla ludzi puszczy
rozpoczął - Zdrowaś Maria i Wieczne
Odpoczywanie - powtórzono trzykrotnie.
Wszyscy wstali i chwilę patrzyli w stronę
potężnego ognia, którego odblas kładł się
na obłokach tworząc łunę. Płomienie
lizały sąsiadujące drzewa, niszcząc wszystko
co człowiek prze wiele lat wychodował i pielęg
nował. No cóż - rzekł cichym głosem Łada,
jakby się usprawiedliwiając, - gdybym nie
zapalił sam, uczyniliby to samo litwini
zabrawszy łupy. Choćmy do ostępu aby
odpocząć do rana. Ruszyli w dalszą
drogę. Dołączyli do swoich rodzin
które szczęśliwie przetrwały. Po kilku
dniach po przeprowadzonym wywiadzie
dowiedzieli się, że litwini odeszli. Spalili
Pułtusk doszczętnie a zamek spalili
wraz z jego obrońcami. Taki los byłby

spotkał i naszych obrońców. Decyzję powrotu powzięto natychmiast. Trzeba zaczynać wszystko od początku. Były to czasy, kiedy niszczono wszystko ogniem i mieczem, zresztą i dzisiaj jest tak samo, tylko formy się zmieniają ale człowiek jest ten sam. On się zmienił nie wiele, może na gorsze? Mieszkańcy gródka wrócili. Każdy wybierał miejsce na dom, czynił to według własnego uznania, starając się nie przeszkadzać innym, ale wszyscy chcieli być blisko siebie ta gromadka trzymała się razem, księża odeszli do Pułtuska, żegnani serdecznie. Wieża gródka stanowiła jakgdyby kupę kamieni, które spajane gliną ~~nie~~ rozsunęły się łatwo. Mała osada zaczęła żyć nowym życiem, dostosowując się do nowych warunków. Nazwa jednak pozostała, pozostał Gródek i przetrwał on aż do naszych czasów, to jest przez sześć wieków. A wieża? no cóż ~~ut~~ jakgdyby utonęła w ziemi, tylko stos kamieni pozostał. Tę część gruntów nabył ~~na~~ mój pradziadek. Kamienie użył na fundamenty pod zabudowania i w obejściu wydudował z nich dużą piwnicę. Pole zrównano pod uprawę tylko fundamenty wieży pozostały w ziemi.

Po przez pokolenia zapomniano o nich. Jak często tak i tutaj odkryto te fundamenty przez przypadek. Nowy właściciel tego pola, które nabył od mojego ojca, poprawiał drogę zjazdową z pola na gościniec. Natrafił na kamienie, układ ich wyglądał, że był to jakiś fundament spajany gliną. Wznosił zabudowania gospodarcze, więc chciał wykorzystać je jako materiał budowlany. Przy tych robotach znalazł zakopaną broń i kosztownosi ukryte pod wieżą przez jej obrońców. Szkielet człowieka z przedziurawioną czaszką znalazłem ja, przy grobli pod kapliczką, w miejscu pierwszej walki przy przejściu na bagnach pod kapliczką pokryty był nienaruszoną warstwą piasku zniesioną z pobliskich pagórków. W tym czasie warstwa ta wynosiła około półtora metra. Po pamiętnych walkach, rodziny tu osiadłe, żyły dalej niepisanym prawem puszczy. Pułtusk się odbudowywał, handel wymienny się rozwijał. Przyszła wojna z krzyżakami trzeba było dużo mięsa dla wojsk Jagiełły pod Grunwald. To mięso szło z puszczy. Obfity stan zwierzyny jak tury, łosie, jelenie, sarny, dziki gwałtownie stopniał a niektóre gatunki

zostały zupełnie wyniszczone jak tur i łoś. Miody leśne jeszcze przez wieki były głównym artykułem zbytu, zawód pszczelarza dotrwał do moich czasów. A ludność? Nazwiska które wymieniałem do dnia dzisiejszego znajdują się we wsi, napewno było ich więcej ale któż może to odgadnąć. Nazwiska i rody przetrwały tyle wieków, tak jak nazwa bródek.

Szkoła.

Opuściłem wieś, tylko w wakacje i święta wracałem tutaj ale i to nie zawsze. Zacierały się związki rodzinne, czułem się tu obco. Rzucony, jak to się mówi, na głębokie wody, musiałem sam się ratować. Musiałem dawać sobie radę w środowisku mi obcym a w każdym razie nowym. Do tych nowych warunków trzeba się było dostosować i wszystkiego się uczyć od początku. Różnica środowiska stwarza duże trudności. Trzeba wybierać kolegów, trzeba wytworzyć atmosferę, że jest się im potrzebny a więc trzeba czymś imponować aby nie być ostatnim popychadłem. Ambicje miałem duże, wytworzyłe je tradycje rodzinne. Już wtedy postanowiłem, że odbuduję te tradycje patriotyczne, że dojdę do stanowiska społecznego równego

moim przodkom. Nauka i skromność były moją zasadą i dym się powodował całe moje życie. Nie było to jednak wszystko. Sprawy życia codziennego nazwałby ich trudnościami, a dla tych codziennych spraw nie było nauczyciela, byłem sam. Ta samotność zawsze mnie gnębiła. Do tego dochodziły trudności materialne. Ojciec nie bardzo mógł a może i nie bardzo chciał pomagać, licząc na to, że jakoś sobie radę dam. Nie byłem wymagający w odżywianiu, wystarczył mi kawałek chleba, w ubiorze z konieczności trzeba się było zadowolić dymi co miałem, ale największa trudność do uwagi, za co trzeba było płacić. Tak długo jak mogłem trzymałem się internatu, ale kiedy ojciec nie wyrabiał się z zobowiązań, musiałem przejść na stancję, ale i te czasto zmieniałem bo stało się zwyczajem, że ojciec nie wywiązywał się z opłat. Trochę dorabiałem korepetycjami, trochę pomagała mi babka z strony matki i tak jakoś wegetowałem. Dzisiaj nie mogę sobie zdać sprawy z tego jak mogłem przetrwać ten okres. Dobrnąłem jednak do końca szkoły średniej. Po ukończeniu preparandy ~~zostałem~~ w 1921 roku zostałem przyjęty do Seminarium Nauczycielskiego w Pińsku. Szkoła mieściła się przy

ulicy Kościuszki o ile pamiętam Nr 8.
Dawny budynek czynszowy, nie odpowiadał
do nauki ale stan mieszkaniowy nie był duży,
gdyż była to szkoła nowo założona i miała
dopiero dwie klasy. Szkoła była również
na dorobku, dopiero w następnych latach
uzyskano więcej lokali, dodziły sale
fizyki, robót ręcznych i internat.
Młodzież w różnym wieku, opóźniony
rocznikowo byli którzy wracali z wojska
po zakończeniu wojny. Przeważała
młodzież wiejska, której się nie przelewało
i trzeba było jak najszybciej zdobyć zawód.
Była to jednak młodzież patriotycznie
i chciała odbudować zniszczoną Polskę.
Nauczycielstwo, więcej lub mniej przygotowani
do nauczania w szkole średniej ale byli
to ludzie oddani całym sercem młodzieży,
kochali ją. Wspaniały dyrektor Butrymowicz
wysoki przystojny mężczyzna, nosił krótkie
stojące wąsy, pogwizdywał niektóre arje
z oper, lubił muzykę. Przewodził szkole
i nadawał zasadniczy ton, wiele młodych
ludzi starających się go naśladować,
ale to nie wychodziło bo kto był taki piękny
i zbudowany jak mężczyzna. Niektórzy
z nauczycielstwa mieli swoisty sposób
bycia, często podchwytywany przez uczniów,
chociaż nie szkodliwie. Pani Zubalewicz

matematyczka, piskliwym głosem karciła za błędy a ponadto jako stara panna była uczulona na stosunek chłopców do dziewcząt, stróżka cnoty. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że szkoła było koedukacyjna. Pan Wilk prowadził historię a okresowo język polski, był on postrachem dla uczniów i bezwzględnie tępił wszystkie błędy ortograficzne, też stary kawaler i dziwak. Pewnego razu przechodząc koło jego mieszka, zauważył mnie, otworzył okno i zawołał: — Ty Chełchowski choćno tutaj. — W pierwszym momencie przestraszyłem się. — Ty wiesz że twój przodek był rotmistrzem w 4-tym pułku ułanów? Wiem — odpowiedziałem, to jest w tradycji rodzinnej. Na tym rozmowa się zakończyła. Pisał on wówczas historię Pułtuska i posiadał dużo zebranych starych dokumentów. Wspaniały towarzysz młodzieży i wychowawca Wesołowski, przemiła osobowość, prowadził wychowanie fizyczne. Spędzał z nami dużo czasu, prowadził wycieczki, zaprawiał nas do życia. Ponadto grał dość dobrze na skrzypcach i występował na koncertach szkolnych. Byli inni mniej lub więcej popularni z mniejszymi lub większymi dziwactwami ale wszyscy byli dobrymi wychowawcami

żyli z młodzieżą, wychowywali ją patriotycznie. Niezapomniany znawczyni muzyki i śpiewu Kopczyński. Już mocno starszy pan, spoglądał na swoich podopiecznych ponad górę okularów i strofował za każde spaczowanie nuty. Założył chór szkolny i małą orkiestrę symfoniczną również szkolną, grałem w niej orkiestrze jako wiolonczelista. Wystąpiliśmy wspólnie z chórem na wszystkich uroczystościach szkolnych jak również w teatrze na koncertach dla publiczności miasta. Razem chór wystąpował z orkiestrą 13go punktu kiedyś który stacjonował w mieście. Niezapomniany polonez As-dur Chopina, który zawsze na mnie robił duże wrażenie. Dawaliśmy przedstawienia w teatrze dla miasta. W jednym z nich grałem rolę Cześnika w Zemście Fredry, był to mój debiut teatralny pierwszy i ostatni. Ponadto w mieście był zespół teatralny amatorski i w każdą sobotę dawał przedstawienia. Teraz trochę o mieście. Pułtusk stare miasto. Tradycja sięga czasów pogaństwa, na cmentarzu św. Krzyża, poza miastem, odkopywano groby starych słowian. Samo miasto liczyło około 14.000 mieszkańców w tym połowa, to żydzi. Miasto położone jakgdyby na dwóch poziomach. Na niższym odwiecznym odnogami Narwi, zwanych tu

kanałami mieściła się starsza część miasta. Tu znajdował się zamek, tuż nad rzeką, rynek z wieżą magistracką kościół farny i kościół jezuicki. Za kanałami teren się wznosił i tam był nowsza część miasta. Na najwyższym miejscu tej części miasta stała cerkiew oznaka władzy rosyjskiej, cerkiew ta dominowała nad całym miastem. Po odzyskaniu niepodległości została ona rozebrana, nie miała wyznawców a miejsce to przeznaczono na park miejski. Sam miasto nie posiadało przemysłu, był to ośrodek handlowy dla okolicznej ludności. Było to miasto powiatowe od XV wieku. Po ostatnim napadzie litwinów i dzięki biskupom płockim, miasto rozrastało się. Jezuici założyli gimnazjum, które słynęło ze swojego poziomu, tu zjeżdżali się uczniowie zagraniczni tu kształcił się ks. Piotr Skarga. W moich czasach to jest po pierwszej wojnie światowej było trzy szkoły średnie to jest gimnazjum męskie, gimnazjum rzeńskie i seminarium nauczycielskie koedukacyjne. Młodzież było dużo, nadawała ona ton całemu miastu, cały rozwój kultury był pod kątem potrzeb młodzieży, która zawsze brała czynny udział, festyny, zawody

sportowe, koncerty, przedstawienia teatralne to wszystko stwarzało atmosferę radości życia. Arakcją każdej niedzieli było corso wzdłuż ulicy 3-go Maja. Każdy uczeń starszy uważał za swój obowiązek aby po mszy uczniowskiej, która odbywała się w kościele jezuickim, przejść się po corsie, trochę to szumna nazwa, i zrobić przegląd ~~pięknych~~ dorodnych gimnazjalistek. Chodniki były kompletnie zatłoczone, miało to jednak swój urok. Miasto to odwiedziłem po 50 latach to jest w 1975 roku. Nie zastałem już tej atmosfery. Miasto wydało mi smutne, szare. Miasto niezbyt zniszczone w drugiej wojnie światowej. Na miejscu zburzonych budynków postawiono nowe ale bez żadnego smaku architektonicznego, chodniki powykręcane, na rynku śmieci pędzane wiatrem wędrowały od krańca do krańca rynku, te same kocie łby poprzerastane trawą. ~~robiły~~ Wszystko to robiło złe wrażenie, czuło się brak gospodarza. W mieście pozostała tylko jedna szkoła średnia, liceum ogólnokształcące. Ten smutny obraz nasuwał słowa — wszystko się skończyło a twe dzieci w grobie. Powróćmy jednak do życia młodzieży w mojej szkole. Miała ona pięć kursów (klas) po ukończeniu ich

otrzymywało się świadectwo dojrzałości i prawo nauczania w szkole podstawowej. Głównym nastawieniem szkoły, było związać młodzież ze wsią. Często robiliśmy wyprawy na wieś z odczytami, nawiązywaliśmy kontakty z organizacjami młodzieży wiejskiej, chociaż mieliśmy na uwadze młodzież miejską, ale przewaga wsi nad niewielką ilością miasteczek w tym rejonie, zmuszał do położenia nacisku na wychowanie młodzieży wiejskiej. W szkole kładziono nacisk na wychowanie patriotyczne narodowe i uczciwość. Nauczycielstwo żyło bardzo ściśle z młodzieżą i bardzo dużo z nią przebywało. Rok rocznie urządzano wycieczki w formie turystyki, zwiedzaliśmy okolice, kwaterowano po wsiach. Ulubioną okolicą tych wycieczek była Puszcza Biała. Na taką wycieczkę szli wszyscy nauczyciele zdolni do pokonania trudów fizycznych. Większość uczniów należało do organizacji harcerskiej. Na terenie szkoły była 2-ga drużyna harcerska należąca do Chorągwi Warszawskiej. W 1924 roku odbył się zlot harcerstwa polskiego w Warszawie na Siekierkach. Wówczas już byłem drużynowym naszej drużyny. Była to duża okazja poznania szerszych kręgów braci harcerskiej, pomysłów

rozgłośnia okręgów, ognisk i poznań grupy instruktorskiej chorągwi. W tym czasie przy zwiedzaniu muzeum wojskowego spotkałem generała J. Hallera dowódcy tak zwanej armii błękitnej zorganizowanej we Francji. Był on przyjacielem harcerstwa o tem już wiedziałem. Zatrzymał mnie i pytał się o wrażenia na zlocie. Wyglądał jeszcze dziarsko, poruszał się energicznie mimo, że podpierał się laską i nikykał na jedną nogę. Był to pierwszy człowiek którego bezpośrednio spotkałem a o którym mówiło się w całej Polsce, którego podobizny były na kartkach pocztowych. Miałem satysfakcję. Od tego momentu zacząłem myśleć o wojsku i zacząłem się bliżej nim interesować, chociaż do zasadniczej decyzji doszło dopiero o dwa lata później. Nauka w szkole szła mi dobrze, nauczyciele mnie lubili, czasem nawet wyróżniali. Miałem dużo dobrych kolegów, szczególnie w gronie harcerskim, bo tu najczęściej wspólnie przeżywaliśmy. Zacząłem dojrzewać, nabyłem umiejętności obracania się w tym środowisku i czasem erudycją swoją niezasadnioną wyższość. Sam prowadziłem dużo zastępów harcerskich i prowadziłem szkolenie w specjalnościach harcerskich. # W następnym roku po zlocie

Chorągiew Warszawska powołała mnie na obóz instruktorski. Wyjechaliśmy na suwalszczyznę nad jezioro Wigry. Wokół tylko las i jezioro, do najbliższej osady kilka kilometrów. Namioty rozstawiliśmy tuż nad brzegiem jeziora. Trzeba było wykonać wszystkie urządzenia potrzebne na codzień w życiu. W środku obozu reprezentacyjne ognisko, wokół namioty, gdzieś na skraju kuchnia i głęboko w lesie zaciszne miejsce dumania. Cały dzień szkolenie, pogadanki, ćwiczenia a wieczorem występy przy ognisku. Obozem kierował harcmistrz Lange. Podzieleni na zastępy pod kierownictwem doświadczonych podharcmistrzy, wychodziliśmy na wycieczki prowadząc równocześnie gry harcerskie. Na zakończenie obozu zostaliśmy instruktorami uprawnionymi do prowadzenia drużyn harcerskich. Główny nacisk w harcerstwie kładziono na patriotyźmie i moralności. To też tak wychowana młodzież spełniła bez reszty nałożone na nią zadania. W następnym roku matura. Nie poświęcałem zbyt dużo czasu do przygotowania się do matury, w ciągu całego okresu szkolnego przykładałem się do nauki i wszystkie przedmioty miałem dobrze opanowane. Egzamin maturalny przebiegł bez niespodzianek.

- 173 /a -

Równocześnie sam zdobywałem tak zwane sprawności harcerskie. Przy egzaminie na „pływaka" miałem przykre zdarzenie. Poprostu topiłem się. Dzień ten był dość chłodny, czekając na kolejkę wyziębiłem organizmu. Wszedłem do wody i zacząłem płynąć odcinek stumetrowy. Narew jest rzeką kapryśną i rok rocznie zabierała parę ofiar. To mnie nie peszyło ale zawsze miałem to na uwadze. Pod koniec odcinka, kiedy miałem skierować się do brzegu, poczułem się słabym, prąd rzeki w tym miejscu odbijał od brzegu. Traciłem nadzieję dopłynięcia, zanurzyłem się, zawołałem - nie mogę -. Egzaminującym był nasz nauczyciel Wesołowski. Już był gotowy do skoku i zawołał - płyń spokojnie -. To dodało mi otuchy i dopłynąłem. Skończyło się na strachu, ale pierwszy raz śmierć zajrzała mi w oczy. Byłem bardzo zmęczony.

Żaden wypadek był tylko dla mnie zadziwiający. Przed wejściem na salę egzaminacyjną, zdawało mi się, że zapomniałem wzór na różnicę podwyższ w dziedzinie fizyki. Zajrzałem do książki aby się upewnić. Po wejściu na salę, pierwsze pytanie, różnica podwyższ, otrzymałem odpowiedź- Tom bezbłędnie, do stworzyło już atmosferę że dalsze pytania były już tylko formalnością. Niektórzy z nauczycieli gratulowało mi za najlepsze wyniki w szkole. Nauka nauka, karcerstwo karcerstwem, ale dojrzewałem fizycznie i seksualnie i trudno byłoby pominąć ten temat. Dziewczęta kręciły się wokół nas, więc trudno było nie zwracać na nie uwagi. Nawiązywały się sympatie a nawet miłości. Ale wtedy nie było środków antykoncepcyjnych i zbyt daleko posunięte zbliżenie między chłopcem a dziewczyną mogło się skończyć katastrofą. Moralność ogólna otoczenia była bezwzględna dla tego typu wypadków a jako pierwszy skutek, do wyrzucenie ze szkoły i katastrofa w życiu młodych ludzi. W szkole naszej nie było takich wypadków. Kilka par maturzystów zaangażowało się po zakończeniu szkoły z gronem jej absolwentów. Do jednej z nich należałem ja i moja żona. Zanim jednak doszło do tego, wiele dziewczyn

zrozgłaszania obozów, ognisk i poznania grupy instruktorskiej chorągwi. W tym czasie przy zwiedzaniu muzeum wojskowego spotkałem generała J. Hallera dowódcy tak zwanej armii błękitnej zorganizowanej we Francji. Byłem przyjacielem harcerstwa o tem już wiedziałem. Zatrzymał mnie i pytał się o wrażenia na zlocie. Wyglądał jeszcze dziarsko, poruszał się energicznie mimo, że podpierał się laską i utykał na jedną nogę. Był to pierwszy człowiek którego bezpośrednio spotkałem a o którym mówiło się w całej Polsce, którego podobizny były na kartkach pocztowych. Miałem satysfakcję. Od tego momentu zacząłem myśleć o wojsku i zacząłem się bliżej nim interesować, chociaż do zasadniczej decyzji doszło dopiero o dwa lata później. Nauka w szkole szła mi dobrze, nauczyciele mnie lubili, czasem nawet wyróżniali. Miałem dużo dobrych kolegów, szczególnie w gronie harcerskim, bo tu najczęściej wspólnie przebywaliśmy. Zacząłem dojrzewać, nabyłem umiejętności obracania się w tym środowisku i czasem ujrzałem swoją niezasadniczą wyższość. Sam prowadziłem dużo zajęć harcerskich i prowadziłem szkolenie w specjalnościach harcerskich. # W następnym roku po zlocie

podobało mi się jeszcze przed tym. Ale nie miałem szczęścia, jeżeli któraś podobała mi się, to zaraz wychodziła zamąż albo stała się formalną narzeczoną co już ograniczało zbliżenie. Czasem wyrzucałem sobie nieudolność, lecz planowałem pocichu dalsze kształcenie i wytłumaczenie sobie tych wypadków nie nastręczała trudności, odchodziłem bez żalu i zawodu. Miałem szczęście, bo jak się przekonałem w dalszym moim życiu, jak to się mówi, wystarczyło abym położył czapkę na łóżku kobiety a ona zachodziła w ciążę. Kończąc szkołę, już zdecydowanie postanowiłem dalej się uczyć. Ale jak? Jedyną możliwość stwarzało wojsko. Myśl ta zaczęła się konkretyzować realnie. Widziałem, że jest to osiągalne, może zaważyła tu tradycja rodzinna a może pragnienie szerszej wiedzy. Złożyłem podanie do Szkoły Podchorążych. Nie mając zajęcia w czasie ferii letnich, zgłosiłem się na obóz przysposobienia wojskowego, dla harcerstwa. Obóz zorganizowany był w górach w miejscowości Terło niedaleki Chirowa. Na tym obozie zostałem zawiadomiony przez Szkołę Podchorążych o terminie badań lekarskich. Wprost z obozu przyjechałem na wyznaczony termin. Budynek szkoły znajdował się w znanym nam miejscu różnych

opisów i do dnia dzisiejszego przetrwał mimo tak burzliwych dziejów Warszawy w drugiej wojnie światowej. Szkoła ta w roku tym zasłynęła z udziału podchorążych w zamachu majowym i wystąpiła przeciwko wojskom marszałka Piłsudskiego. W tym czasie szkołę przenoszono do Ostrów Komorowa, plotka krążyła, że to za karę, ale przyjęcia do szkoły odbywały się jeszcze ~~na~~ w Warszawie. Przyjechałem, z pełną nadzieją że zostanę przyjęty. Przyjął mnie sierżant dyżurny, wskazał łóżko i przydzielił bieliznę pościelową i koce, ot tak zwykła formalność wojskowa, zjeżdżali się również inni kandydaci. Różniłem się od wszystkich ubiorem, byłem w ubraniu harcerskim. Sierżant zainteresował się moją osobą. Wyglądał na wzorowego żołnierza ale taktowny, wysoki, głos mocny, stanowczy, nazywał się Iwanowski. Na drugi dzień komisja lekarska. Zbadano mnie i - decyzja: nie nadaje się, nie przyjęty. W tym momencie wydawało mi się, że wszystko na mnie się wali, głowa stała się ciężka, nie byłem zdolny do myślenia, cały mój plan zawalił się w tym momencie. Tak przygnębiony wróciłem na salę. Sierżant Iwanowski widocznie to spostrzegł, bo zaraz do mnie podszedł. Zapytał - no i co? Nie przyjęty - odpowiedziałem. Zamyślił się. Nie wszystko stracone - mówił.

Radzę panu zgłosić się do majora Winiarskiej, on jest dyrektorem nauk, i poprosić go o przyjęcie do szkoły. Ależ ja go nie znam odpowiedziałem. Podprowadził mnie do okna i wskazał na dziedziniec, to ten. Jak w chipnozie, pobiegłem na dziedziniec i podszedłem do majora. Z czym do mnie przychodzicie - powiedział spokojnie. Zacząłem zacinając się, jakgdyby w gardle mi coś ugrzęzło, panie majorze zostałem odrzucony przez komisję lekarską, jakieś usterki w płucach ale ja byłem na obozie i przeziębiłem się może to coś, ale ja chciałbym wstąpić do Szkoły Podchorążych. Chwilę stał, patrzył w ziemię, myślał, zapytał: jak się nazywacie podałem nazwisko, - proszę jutro zgłosić się powtórnie na komisję, nazwiska nie notował. Wróciłem na salę, sierżant już w drzwiach czekał na mnie. No i co? zagadnął - Jutro na komisję - odpowiedziałem. To dobrze, uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu. Na drugi dzień stanąłem przed komisją powtórną lekarz wziął kartę do ręki i mruknął - To wymówił charakterystycznie przez nos, przekreślił wczorajszą decyzję i napisał przyjęty, bez badania. Przyszedłem na salę radosny, sierżant już bez pytania objął mnie i podprowadził do łóżka, niech pan odpocznie, zaraz będzie obiad - rzekł i odszedł. Jak później

przekonałem się, był to najlepszy instruktor broni maszynowej a ja najlepszy jego uczeń, zawsze mnie faworyzował. Ze względu na przenoszenie szkoły do Ostrów Komorowa, początek zajęć przesunięty było miesiąc później, więc udałem się na miesięczny urlop gratis. Przeżyłem wielu moich kolegów którzy mieli zdrowie bez zastrzeżeń. Jak często lekarz może się pomylić. Na wyznaczony czas przyjechałem do Ostrów Komorowa. Remont koszar był jeszcze nie zakończony, były to stare koszary rosyjskie, urządzenia były prowizoryczne, umywalnie przy studni, do kuchni z menażkami. Remont szedł szybko i wkrótce udostępniono nam urządzenia niezbędne do normalnego życia koszarowego. Tradycyjnie okres rekrucki trwał do końca listopada, to też w tym okresie traktowano nas jak rekrutów, tym bardziej, że pogarszało sytuację samo zakwaterowanie. Pierwszy rok szkoły tworzył batalion złożony z trzech kompanii. Należy zaznaczyć, że w tych koszarach kwaterowała również Oficerska Szkoła Piechoty (w następnych latach zmieniono nazwy oficerskich szkół na nazwy „Szkoła Podchorążych według specjalności.) Dowódcą mojej drugiej kompanii był kapitan Zwirski. Dziwnym zbiegiem okoliczności był on

serdecznym przyjacielem ~~...~~ z czasów wojny mojego dalekiego kuzyna również kapitana. Wykorzystałem tę znajomość dopiero przy zakończeniu szkoły przy wyborze rodzaju broni. Kompania nasza składała się z trzech plutonów. Dowódcą pierwszego plutonu był por. Babiarczyk, niski krępawy ale dobry instruktor i pedagog. Zawsze nosił się starannie ubrany. Drugim plutonem — moim, dowodził por. Wotruba, też niski krępawy ale pozer i trochę tępawy. Trzecim plutonem dowodził por. Grot. Nie wiadomo czy nazwisko to spowodowało, czy on dodawał pewnej aureoli swojemu nazwisku, ale krążyło o nim szereg anegdot, szczególnie z okresu walk w Warszawie w czasie przewrotu majowego, świadczące o jego stoickiej odwadze. Był to oficer bardzo wymagający nigdy się nie uśmiechał, rozkazy wydawał krótko, raczej cichym głosem, lecz rozkaz jego podrywał, poprostu jak z katapulty i wykonywany był z wielką dokładnością. Na cały batalion był również oficer do nauki broni maszynowej z sierżantem Iwanowski o którym już wspominałem. Ogólnym instruktorem broni maszynowej w szkole był kapitan Kardasiewicz. Spotkałem się z tym oficer ponownie ale dużo później.

bo dopiero w czasie wojny na terenie Szkocji. Byłem wówczas dowódcą batalionu piechoty w brygadzie Artylerii w Dywizji Pancernej. Mieliśmy również instruktora do nauki strzelectwa, był nim por. Szłompke brat znanego pianisty z owym czasie. Wszyscy ci oficerowie mieli staż wojenny z okresu wojny Polsko-bolszewickiej i umieli przekazać swoje doświadczenia wojenne. Zakończył się okres rekruta i wszyscy zostaliśmy starszymi szeregowcami podchorążymi. Szkolenie przebiegało normalnym trybem ale my czuliśmy się już jako ci którzy będą oficerami, dość i forma wzajemnego stosunku między elewami, nabrała kształt wzajemnego szacunku. Stosunek do oficerów był przyjazny ale nigdy nie przekraczał nadmiernego zbliżenia. Pod koniec roku szkolnego należało zdecydować się na wybór broni. Był to pewnego rodzaju problem. Do oficerskich szkół eksponowanych przynajmniej w naszym pojęciu, było dużo amatorów. Na ostatnim miejscu naszych życzeń była Oficerska Szkoła Piechoty, właśnie w Ostrowi Mazowieckiej, ale gros podchorążych musiało odejść właśnie do tej szkoły. Już sama miejscowość odstraszała. Daleko od większego miasta a jeszcze dalej

od Warszawy. Oficerska Szkoła Kawalerii wydawała się być szkołą ekskluzywną to też mieli nadzieje tylko najbardziej usto sunkowani. Liczba przydziałów do tej szko była znikoma do całego stanu podchorążyc Oficerska Szkoła Inżynierii była w Warsza i to był istotny magnes ale liczba miejsc była również znikoma, większość ich przeznaczona była dla szkół kadeckich Trochę miejsc w Oficerskiej Szkole Artyle i Oficerskiej Szkole Lotnictwa ale tu trzeba było mieć odpowiedni stan zdrowia. Maj doświadczenie z badań lekarskich przy przy zgóry zrezygnowałem ze starań w tym kierun No i ostatnia Oficerska Szkoła Piechoty. - Piechota ta szara piechota, - wchłaniała resztę. Po analizie możliwości, decydowa się na artylerię, trochę fizyki, trochę matematyki, zawsze to coś. Ze względu na swoje osiągnięcia, miałem dwuch protektorów wśród oficerów wykładowców. Jednym z nich był instruktor artylerii, jeden z późniejszych adjutantów prezydenta Mościckiego, a drugim był instruktor łączności. Trzeba tu zaznaczyć, że Oficersk Szkoła Inżynierii obejmowała saperów i łączność. W pierwszej kolejności zgłosiłem się do artylerii. Kiedy instruktor łączności dowiedział się o tym, odszukał mnie natychm

i skrzyczał za tę decyzję. Tłumaczyłem się. – Ja panie kapitanie nie miałem nadziei, taka konkurencja. Niech podchorąży natychmiast idzie do kancelarii i zmieni decyzję ja to załatwię – odrzekł. Poszedłem, ale szef kompanii miał też coś do powiedzenia. Dowódca komanii już zatwierdził listę – rzekł – a podchorąży przychodzi mi zawracać głowę. Tę zmianę nakazał mi instruktor łączności i sam ma rozmawiać z dowódcą kompanii – mówiłem. Dobrze, przedstawię kapitanowi Żwirskiemu. – zawyrokował w końcu. Niedługo czekałem, dowódca kompanii spotkał mnie na dziedzińcu i przywołał. Zameldowałem się. Wówczas wiedział on już, że jestem kuzynem jego przyjaciela. Rozpoczął dość łagodnie – Co podchorąży nie może się zdecydować i dokonuje zmiany? – Tu znowu zacząłem się tłumaczyć, że nie miałem nadziei, że instruktor łączności i tak dalej, tak zakończyła się rozmowa. Dowódca kompanii odszedł, nie podając mi swojej decyzji. Ale wkrótce dowiedziałem się, że mam przydział do Oficerskiej Szkoły Inżynierii w Warszawie. Nie skończyło się jednak na tym, bo instruktor artylerii przy pierwszym spotkaniu też zrobił mi wymówkę ale nie ingerował do przydziałów. Szkoła się skończyła, wydano dyplomy i odjazd na praktykę do

pułków piechoty. Wszyscy podchorążowie, bez względu na wybór rodzaju broni musieli odbyć pierwszą praktykę w piechocie. Wybrałem tę praktykę w znanym mi 13-tym pułku piechoty w Pułtusku. Była ona nudna i nieinteresująca, może dlatego, że nie był to mój kierunek zainteresowań. Jednak i ten okres miał swoje ciekawe momenty. W początkowym okresie mojej praktyki odbywały się manewry na trasie Warszawa-Czerwony Bór. Załadowano nas w Warszawie na zarekwirowane samochody i podwieziono w rejon Zambrowa z tąd już na własnych nogach weszliśmy do akcji. Do prowadzenia manewrów były sztaby kierownictwa ćwiczeń po obydwuch stronach walczących. Z tych ćwiczeń opowiadano anegdoty krążące w oddziałach łączności. Do kierownictwa ćwiczeń były przydzielone takowe radiostacje dalekiego zasięgu. (wówczas były tylko takie radiostacje). Radiostacja miała antenę typu parasolowego a pod promieniami anteny na ziemi były przeciwwagi wykonane z siatki miedzianej, te przeciwwagi były często maskowane. Stała sobie taka radiostacja przy dowództwie ćwiczeń gdzieś w rejonie zabudowań z obsługą w namiocie. W międzyczasie przez ten rejon przechodziła brygada kawalerii w pogotowiu bojowym. Dowódca brygady, a był nim ówcześnie płk. Dreszer (o ile ~~się~~ nie mylę

nazwiska/ więc uważał za swój obowiązek zameldować się u dowódcy ćwiczeń. Spotkał generała prowadzącego ćwiczenia, przy wjeździe na podwórko, dobył szablę i zasalutował. W tym czasie wydarzyło się coś na co nikt nie mógł odpowiedzieć. Koń jakby przysiadł na czterech nogach i rzucił się do panicznej ucieczki, pułkownik zdążył się chwycić grzywy, zgubił czapkę, a koń cwałował dokąd starczyło mu sił, meldunek nie został zakończony. Chciałbym wytłumaczyć tę przyczynę incydentu. W tym czasie nadajnik radiostacji był czynny. W czasie salutowania szablą, jej koniec dotknął anteny, człowiek odczuł mniej dotkliwie ale koń jest bardzo wrażliwy na uderzenie prądów elektrycznych, ten ładunek dostał na plecy poprzez siodło. Winę złożono na spłoszenie konia i tak cała sprawa się zakończyła. Radiostacja była jednak pechowa. Do kierownictwa przyjechał powozem, wydaje mi się generał Skierski, /o nim krążyło wiele anegdot w wojsku/ Po odbyciu podróży, zachciało mu się siusiać, a więc w siowym zwyczajem udał się za stodołę. Zaledwie rozpoczął tę ceremonię, rozległy się okrzyki Och! Ach! wymachując siusiakiem, i tańcząc w podskokach. Obsługa radiostacji zaalarmowana okrzykami, wyłączyła nadajnik i uciekła z namiotu. Tu również krótkie wyjaśnienie: strumień

moczu padający na przeciwwagę anteny stał się przewodnikiem do ciała delikwenta. Nie było tu groźby porażenia ale drogą podrażnienia przez tak delikatny instrument odczuwany był z dużą przykrością. Jak sprawa w tym wypadku została zakończona tego anegdota nie podaje. Zatrzymam się chwilę przy generale Skierskim. Był to znany dziwak wśród generałów. W zimie chodził bez płaszcza, a tych oficerów którzy na ulicy okazywali zdziwienie, przywoływał i rozpiąwszy mundur, pokazywał, że nawet swetra nie nosi. Jeżeli zauważył oficera ze ściętymi obcasami przy butach, przywoływał go i dając pięć złotych nakazał natychmiast naprawić obcasy. To też oficerowie bali się spotkania z takim dziwakiem, bo nie wiedzieli co ich spotka. Ale to nie koniec na tym. We własnym domu urządzał mobilizację. Kazał żonie wszystko spakować a meble sprzedać. Powtarzało to się, to też żona spakowała rzeczy ale meble odwoziła do znajomych aby z tego powodu nie ponosić strat. Sam zabierał ordynansa, kazał zapakować plecaki, zabrać niezbędny rynsztunek i szli w drogę. Marsz polegał na tym, że szli wokół największego pokoju. Po godzinie, generał zakomenderował — Stój, gotuj herbatę —. Ordynan chciał skoczyć do kuchni aby przynieść czajnik, o którym

zapomniał. — O nie mój drogi — zawyrokował generał — godzinę maszeruj z powrotem. Ile prawdy jest w tych anegdotach trudno jest dzisiaj powiedzieć, bo brak świadków, ale wówczas były pewną formą opowiadanych bajek żołnierskich. Kończyła się praktyka, nałożyłem barwy Oficerskiej Szkoły Inżynierii i odjechałem do Warszawy. Rok 1927. Przejście z małego miasteczka do stolicy, miało swoje atrakcje ale zwiększyły się również i wymagania intelektualne i towarzyska. Standart reprezentacyjny w szkole był dość wysoki. Nowi koledzy, połowa to elewi korpusu kadetów. W korpusach kadetów, poziom nauczania był wysoki, przy tym oni przeszli jakgdyby z klasy do klasy, my zaś mieliśmy ~~za~~ za sobą rok biegania po polu, co stanowiło pewną przerwę. Trzeba było doganiać poziom kadecki~~ch~~, ponadto byli to chłopcy z domów inteligencji i posiadali pewną ogładę towarzyską, co mnie trochę brakowało, i tu szybko dorównałem. Wytwarzały się stosunki przyjacielskie, w szkole panowała dobra atmosfera. Szkoła była na ulicy 6-ego sierpnia (tak się wówczas nazywała ta ulica) tuż za obiektem Politechniki Warszawskiej. Budynek mieszkalny jednopiętrowy zabudowany w podkowę. Obok kuchnia i sala jadalna w odrębnym budynku, przerobiony z budynku fabrycznego.

dalej plac sportowy a w głębi budynki wielopiętrowe gdzie mieściły się sale wykładowe i laboratoria. W skrzydłach budynku mieszkalnego były sypialnie, łazienki i sale do nauki. Środek zajmował hol z gabinetem oficera dyżurnego oraz mała izba aresztu z którego nigdy nie korzystano. Na piętrze nad holem była sala balowa zwana błękitną, ze względu na ton barwy jaką była pomalowaną, była to bardzo miła i przytulna sala. Tu rok rocznie w okresie karnawału odbywały się znane w Warszawie bale podchorążych inżynierii. W szkole było trzy roczniki, ~~klasy~~ Pierwsze dwa lata, to podchorążowie a trzeci rocznik podporucznicy. We wszystkich rodzajach broni szkoły oficerskie (szkoły podchorążych) trwały dwa lata, tylko w szkole inżynierii nauka trwała trzy lata, dlatego trzeci rocznik był w stopniu oficerskim. Na każdym roczniku było dwie klasy, klasa saperów i klasa łączności. Należałem do klasy łączności. Kadra oficerska dzieliła się na dwie grupy. Jedna to dowódcy i wychowawcy druga to wykładowcy-naukowi ta druga składała się z wykładowców wojskowych i cywilnych z Politechniki Warszawskiej.# Poziom naukowy szkoły ~~moż~~ to znaczy zakres wiedzy technicznej możnaby określić jako półdyplom politechniki, tak zresztą ogólnie to traktowano, przy zaliczaniu przedmiotów.

Zatrzymam się chwilowy przy jednym z wykładowców cywilnych, mam na myśli profesora Deringa. Był to wykształcony człowiek, trzy fakultety a jako hobby zajmował się zagadnieniem syjonizmu światowego a wykładał u nas geometrię wykreślną. Jako wykładowca był charakterystyczny gdyż wykłady prowadził obrazowo. Często zdejmował mankiety od koszuli, /wtedy były przypinane/ które mu przeszkadzały i zawieszał na nasadach w formie płomieni umocowanych na górze tablicy. To trochę nas rozweselało ale słuchaliśmy wykładu. Naukowiec ten napisał książkę – Zmierzch Izraela –, wydaną pod nazwiskiem jego asystenta, który przychodził do niego do domu i pisał pod dyktando profesora. ~~Na~~ Tak powstał tom złożony z 3.000 stron maszynopisu. Po skróceniu, wydanie książkowe miało trzysta stron. Pierwszy nakład został wykupiony przez żydów już w drukarni. To też nie ukazał się na rynku ani jeden egzemplarz. Wznowiono drugie wydanie ~~i biegł~~ i został również wykupiony przez żydów ale dzięki drukarzom z drugiego wydania, pięć egzemplarzy dostało się poza drukarnię. Czytałem tę książkę i dowiedziałem się o perypetiach jej wydania. To był moment kiedy zacząłem się interesować

tym zagadnieniem. Zapoznałem się z wielu książkami z tego tematu. Zagadnienie to było wówczas bardzo aktualne, gdyż sprawa żydowska stała się niezmiernie ważna dla narodu polskiego. Cały handel był w ręku żydów a nawet znaczna część przemysłu i budownictwa miejskiego. Żydzi wówczas mówili – nasze ulice a nasze kamienice. Za wyjątkiem Wielkopolski miasta nasze miały 50% żydów a niektóre miasteczka na kresach wschodnich miały prawie 100% żydów, byłem w takim miasteczku, gdzie nie mogłem znaleźć kwatery z domu polskim. Wówczas w Polsce naukowo zajmowali się tym zagadnieniem, profesor Dering i ksiądz Trzeciak, który znał najlepiej Talmud. Profesor Dering niespodziewanie zmarł nagle, posądzano zamach otrucia, żeby zażądała sekcji zwłok, na co władze miejskie nie udzieliły zgody. Posądzenie padło na żydów. Sprawa nie nabrała większego rozgłosu, można sądzić, że żydzi zrobili wszystko aby ją zaduszować.

My jako uczniowie, przykładaliśmy wagę do przedmiotów technicznych. Uważaliśmy że poziom przygotowania technicznego stanowi o wartości przyszłego oficera technika. Kadra dowódców kładła nacisk na wyszkolenie w przedmiotach czysto wojskowych. Te dwie tendencje ścierały się w samym dowództwie szkoły a przewaga jednej czy drugiej tendencji zależała od tego, kto był komendantem szkoły. Na ten temat wywiązywały się nawet dyskusje między podchorążymi a wychowawcami szkoły. Poza służbą żyliśmy tym co się dzieje w mieście i żyliśmy z miastem. Teatry kabarety, koncerty, znaliśmy wszystkie nowe przeboje, a te które można było dostosować do marszu, śpiewaliśmy na ćwiczeniach. Było to normalne życie pokojowe pełne radości i uśmiechu. To piękny i beztroski okres mojego życia. Oczywistym jest, że sprawy wojskowe nas interesowały. Zmiany personalne na górze wojskowej były zawsze szczególnie dyskutowane, docierały do nas różne anegdoty, plotki, przez ustosunkowanych kolegów. Generał Wieniawa Długoszowski był szczególną osobą o której krążyło wiele anegdot. Że Wieniawa wjechał konno do Adrii, to ogólnie znana anegdota, a może prawda - nie widziałem tego -, że wyrzucił premiera Kozłowskiego z Adrii za to, że w stanie nietrzeźwym wraz z atasze wojskowym niemieckim na serwetce podzielili

Czechosłowację to też znana sprawa. Mało jednak jest znany przebieg raportu karnego Wieniawy u Marszałka Piłsudskiego. Wieniawa za kołnierz nie wylewał, lubił awantury i przygodę i sam jej szukał, chociaż był to oficer o nieprzeciętnych zdolnościach i dużej ambicji. Ten beztroski sposób życia pociągał za sobą duże wydatki, to też nie rzadko zaciągał długi na co nie pozwalała pragmatyka oficerska. Marszałek miał słabość do Wieniawy jako byłego adjutanta i od czasu do czasu pokrywał te długi, ale pewnego razu przebrało to miarę i „Dziadek" rozgniewał się, zawezwał Wieniawę do raportu. Jako wiceminister generał Konarzewski wprowadzał Wieniawę do gabinetu Marszałka. Wieniawa znał przebiegi raportów u „Dziadka", które podobno były bardzo przykre, to też wchodził czujnie. Ledwie zdążył stanąć w drzwiach gabinetu, Marszałek chwycił kałamarz i cisnął w Wieniawę ale ten uchylił się a kałamarzem dostał Konarzeski który szedł tuż za Wieniawą. Jak ten raport się skończył, tego anegdota nie podawała ale Marszałek dług zapłacił. Jako szkoła wojskowa braliśmy udział we wszystkich defiladach podczas świąt państwowych. Defilady odbierał Marszałek. Ostatnią defiladę na placu Saskim Marszałek odbierał siedząc na „Kasztance", służyła mu ona jako koń wierzchowy

w czasie wojny od samego jej początku do jest od czasu „legionów". Stał przed pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego, z tyłu arkady Sztabu Generalnego, pod którymi usytuowany był grób Nieznanego Żołnierza. Dojrzałe przebiegała jak wszystkie inne poprzednie ale przechodząc przed Marszałkiem wydawało mi się, że zdążył on spojrzeć w oczy każdemu z nas. Zrobiło to na mnie wrażenie. Wiedzieliśmy że Marszałek jest chory, widać to było na jego twarzy. To był jego ostatni wyjazd oficjalny, jak również ostatni jego „Kasztanki". W czasie imienin Marszałka, 19 marca, chodziliśmy jako delegacja do Belwederu lub jako obserwatorzy aby przyjrzeć się, zagranicznym personom. Zwracano mi wówczas uwagę na płk. Beka, który wkrótce został ministrem spraw zagranicznych. Tylko raz w okresie mojego pobytu w szkole, wizytował nas prezydent Mościcki, nie pamiętam przy jakiej okazji było. Robił on bardzo przykre wrażenie, przede wszystkim człowiek wiedzy a ponadto wspaniała prezencja. Warszawa nie pozbawiona była humoru nawet prezydent wszedł do anegdoty co później sprawdziło się przez zawarcie drugiego małżeństwa po śmierci pierwszej żony. Ach te plotki! Po pierwszym roku szkoły, w okresie lata, mieliśmy ćwiczenia w Modlinie. Nie wiadomo dlaczego ale sapery

i łączność, ćwiczyliśmy razem i to tylko w przedmiocie saperki a więc wioślarstwo, pontonierka, mosty, minerstwo i inne zagadnienia z tym związane, nie mieliśmy tylko łączności. W naszym dowództwie łączności nie było komu zająć się tym zagadnieniem. Stawialiśmy zarzut, władzom łączności jako pewne niedbalstwo. System ten jednak trwał latami. Po drugim roku szkoły to jest w 1929 roku zostaliśmy podporucznikami. Cała ceremonia odbyła się uroczyście łącznie z uderzeniem szablą w ramię, niby tradycja pasowania na rycerza i ostatni przemarsz jako zwarty oddział. Ceremonii dokonał gen. Konarzewski z ramienia Prezydenta. Nałożyliśmy mundury oficerskie ale od tego czasu zmienił się sposób życia. Przeszliśmy do nowej grupy społecznej a więc trzeba było przyjąć i pewne obowiązki na siebie, przede wszystkim sposób bycia i zachowania się, trzeba było się stosować do niepisanej pragmatyki oficerskiej, honor, dżentelmeństwo obowiązywało w wielkim stopniu. To przychodziło łatwo, bo cały czas szkoły zwracano na to uwagę. Zmieniła się również strona materialna. Ze swoich poborów trzeba było wszystko pokrywać. Było to dla mnie pewną trudnością, gdyż dotychczas myślał o tym ktoś a obecnie trzeba było się osobiście tą sprawą zająć. Dotychczas myślałem tylko

o nauce a teraz trzeba było myśleć i o swoich codziennych sprawach. Nie była jednak jakaś wielka trudność, wynagrodzenie wystarczało na moje potrzeby a pierwsze zarobione pieniądze stwarzały pewną radość. Wreszcie skończyły się żebracze lata. Żyłem jednak dalej skromnie aby coś niecoś zaoszczędzić. Przed nami pozostał jeszcze jeden rok nauki. Przeszedł on szybko. Bieg nauki w szkole nie uległ zmianie, tylko na wykłady chodziliśmy pojedyńczo a nie w oddziale zwartym jak w pierwszych dwuch latach. To też pewna przyjemność jak na stosunki wojskowe. ~~Sz~~ Nauka w szkole dobiegła końca. Otrzymaliśmy pierwsze przydziały do jednostek organizacyjnych armii. Tylko nieliczni zostali do powtarzania ostatniego roku. Tacy maruderzy byli również z nami z porzedniego starszego rocznika. Przez okres szkoły wytworzyły się między nami stosunki przyjaźni, utrzymywaliśmy kontakty staraliśmy się zawsze mieć o sobie wiadomości, prze długie lata. Każde spotkanie było przyjemnym przeżyciem. Szkoła wycisnęła na nas piętno stałego dążenia do wiedzy, zresztą taka atmosfera była wśród jej elewów. Wielu z mojego rocznika kończyło politechnikę, szczególnie ci którym sprzyjały warunki a przede wszystki ci którzy otrzymali przydziały do pułku radio w Warszawie, inni kończyli

Wyższą Szkołę Wojenną.

Pierwszy przydział otrzymałem do 6ego Batalio[illegible] Telegraficznego we Lwowie. Generalski urlop, bo aż sześć tygodni, i odjazd na miejsce przydziału. Kończyłem pewien etap mojego życia. Był on czasami ciężki a czasami beznadziejny ale zbiegiem okoliczności znajdowali się ludzie, którzy udzielili mi pomocy, byli to ludzie dobrzy. Starałem się zawsze o nich pamiętać. O tych którzy wyszli z mojego kręgu bezpośredniej styczności starałem się dowiedzieć jakie są ich dalsze koleje. Nie zawiedli mnie oni nigdy, zawsze prowadzili w swojej pracy i mieli uznanie.

Wojsko i wojna

Rozdział I

Lwów - kochane miasto i mili ludzie, był wrzesień 1930 roku. Przedtem miasta tego nie znałem, przejeżdżałem tylko z wycieczką. Czasokres pobytu we Lwowie nie był zbyt długi bo tylko dwa lata ale wystarczył to abym miasto poznał, abym poznał jego zabytki i jego historię. Dworzec kolejowy witał napisem - Leopolis semper fidelis -, kościoły, wały hetmańskie, kamieniczki gdzie każda z nich miała swoją historię, wysoki zamek, no i arcydzieło naszej polskiej sztuki malarskiej „Panorama". Oglądałem ją dwukrotnie i zawsze wychodziłem

oczarowany pięknem i dzielą tego obrazu. Cmentarz „Orląt" na Łyczakowie wprowadził w zadumę. Każde miejsce to przekrój naszej historii i świetności okresu jagiellońskiego. Koszary nasze były przy ulicy Teatyńskiej w dawnym klasztorze szpitalu który założył Jan III Sobieski w czasie wypraw tureckich. Budynek nie był zbyt zachęcający, mury grube, sale nie dostosowane do ~~potrzeb~~ warunków kwaterowania ale dla potrzeb batalionu obiekt był wystarczający. Już pierwsze dni pobytu oddziale wskazywały, że trafiłem do dobrego oddziału chociaż był on nowozorganizowany. Dowódcą batalionu był major Jakubiak, stary legionista z pierwszej kadrowej. Oficerowie ustosunkowali się do mnie po przyjacielsku, stosunki układały się korzystnie. Zacząłem myśleć o zaworeiu związku matżeńskiego. Otrzymanie zezwolenia w wojsku na zaworcie związku małżeńskiego nie było zbyt łatwe. Przede wszystkim przyszła żona musiała mieć nieposzlakowane opinie, następnie winna posiadać średnie wykształcenie oraz majątek wynoszący 20.000 zł. Warunki majątkowe odpadały jeżeli oficer był w stopniu kapitana. Za bytem wówczas jeszcze podporucznik i chorąży musieli wszystkie warunki. Nie sympatii jakie żywiły mnie z narzeczoną Konstancją Eglicyńską trwały od czasu szkoły

szkoły, gdzie byliśmy w jednej klasie, utrzymały się mimo stałego rozdziału po opuszczeniu tej szkoły. Postanowiłem zawrzeć związek małżeński. Dowódca ustosunkował się przychylnie do mojego zamiaru i ułatwił mi załatwienie wszystkich formalności. Sprowadziłem narzeczoną do Lwowa. Ślub odbył się 6. XII. 1930 roku w kościele garnizonowym, był to kościół jezuitów. Ceremonia odbyła się bardzo skromnie, tylko w obecności świadków nie stać nas było na przyjęcie a nie chciałem początku naszego życia, zaczynać z długami. Z tego tytułu dowódca i oficerowie mieli do mnie pretensję z powodu nie zaproszenia ich na ślub. /co było w zwyczaju/. Wielki tak i rozsądek naszego dowódcy spowodował pomyślne zakończenie burzy. Reprezentacja korpusu oficerskiego złożyła nam wizytę, zapraszając żonę do swojego grona. Rozpoczęło się pełne życie towarzyskie, wizyty, rewizyty, zabawy, wycieczki wspólne, to wszystko wytworzyło sympatyczne stosunki towarzyskie. Stosunki służbowe układały się również dobrze. Służba w oddziale biegła normalnym trybem, szkolenie młodszego i starszego rocznika a w okresie letnim szkolenie rezerwy. Byłem mile zaskoczy, kiedy po jednym z turnusów rezerwy wręczono mi prezent pamiątkowy. Stosunki moje z dowódcą batalionu układały się bardzo pomyślnie.

Byłem człowiekiem doświadczonym życiowo i życie brał realnie, oficer o ciekawych poglądach odbiegających od ogólnego kierunku reprezentowanego przez ogół korpusu oficerskiego. Bezpośredni o głębokich zasadach demokratycznych, nie oddzielał się murem posiadanego stopnia i zajmowanego stanowiska od reszty oficerów. Takie formy postępowania odpowiadały mojej osobowości i zasadom moralnym, do których wiele form przez niego reprezentowanych przyswoiłem sobie na całe życie. Pułk w Lwowie nie trwał długo z żalem musiałem go pożegnać. Batalion został zreorganizowany i podzielony na kompanie dywizyjne. Otrzymany przydział do kompanii łączności 11 dyw. piech. i wraz nią w styczniu 1932 roku przeniosłem się do Stanisławowa gdzie stacjonowało dowództwo tej dywizji. Będąc jeszcze w Lwowie zacząłem zajmować się krótkofalarstwem. Kluby te były w stadium rozwojowo-organizacyjnym. Nawiązałem kontakt z klubem Lwowskim, zrobiłem sobie nadajnik i rozpocząłem nawiązywanie łączności z radioamatorami świata. Na początku miałem znak samowzbudny SP-BTL ale wkrótce otrzymałem znak klubowy ~~SP 4B~~ SP2AB na tym znaku chodziłem w eterze do końca moich zainteresowań krótkofalarstwem tj. jest do wybuchu II wojny światowej. W dalszych etapach

Początkowo było do przyjęcia urządzenie, jeśli chodzi o nadajnik. W końcowym etapie miałem nadajnik na poziomie świadczącym jak na ówczesne czasy. Tysiące kart QSL otrzymałem z tym okresie, jako potwierdzenie nawiązanej łączności. Kompania łączności 11ej dyw. piech. kwaterowała w koszarach 11 pal. Stosunki służbowe układały się tutaj gorzej aniżeli we Lwowie. Dowódca kompanii ograniczony, nie mogliśmy znaleźć wspólnego języka. Służba jednak biegła normalnym torem poza wyjątkiem w wojsku, szkolenie, ćwiczenia od czasu do czasu manewry. Warunki terenowe - bliskość gór - skłoniły mnie do narciarstwa. Powołany zostałem na kurs narciarski instruktorski, prowadzony przez płk. Zigkiewicza jednego z pionierów narciarstwa polskiego. Sport ten starałem się dostosować do potrzeb wojska i jako pierwszy w wojskach łączności wprowadziłem go we własnej kompanii. Pisałem artykuły na ten temat do Przeglądu Technicznego, wzbudziłem zainteresowanie tym tematem. Rok 1932 ósmego marca nadzwyczajne wydarzenie w domu. Urodził się nam syn. Nadaliśmy mu imię Jerzy Zbigniew. Moment przyjścia na świat dziecka, przeżyłem bardzo głęboko, troska o żonę i współczucie jej bólom, doprowadziły mnie do rozpaczy. Poród odbył się w domu.

Według wszelkich obliczeń poród winien nastąpić dwa tygodnie później. Nie wszystko było przygotowane i nie zarezerwowana akuszerka. W owym czasie porody z zasady odbywały się w domach. Nie mieliśmy doświadczenia jak należy przygotować się do takiego przypadku. Przebieg porodu był katastrofalny ale zakończył się szczęśliwie. W czasie porodu pępowina okręciła się wokół szyi dziecka i niewiele brakowało do uduszenia, dziecko było sine. Pamiętam moment, kiedy akuszerka trzymała go za nogi i biła w pośladki i po plecach aż wreszcie rozległ się szczęśliwy krzyk. Drugie dziecko urodziło się również w Stanisławowie dnia 1 października 1935 roku. Tym razem córka. Nadaliśmy jej imię Hanna Marie. Poród odbył się również w domu, przy tej samej akuszerce. Mając jednak już pewne doświadczenie, byliśmy należycie przygotowani. Dzieci rozwijały się pomyślnie, żona pedantka w utrzymaniu czystości i odżywianiu i uchroniła je od wszelkich chorób. Jurek od najmłodszych lat wykazywał zainteresowanie rysunkami. Zarysowywał wszelki papier jaki znajdował się w domu a zeszyt wystarczał mu na jeden dzień. Z tych wszystkich gryzmołów i rysunków, czasem wybieraliśmy charakterystyczne arkusze świadczące o jego rozwoju i rysunki te przechowywaliśmy.

Zebrała się ich pokaźna ilość. Miałem zamiar wydać je w postaci książki, charakteryzującej rozwój dziecka pod względem rysunkowym. Wojna światowa zniszczyła cały ten dorobek. Postępy w rysunku były czasem zaskakujące. Czy osiągnięcia te były powodem zdolności wrodzonych, czy kierunku jaki powodowałem sam na to nie mogę odpowiedzieć. Drugim jego zainteresowaniem były konie i wszelkiego rodzaju pojazdy mechaniczne. Każde kółko wyobrażało kierownicę a usta uzupełniały dźwięki motoru. Życie towarzyskie trochę ograniczyliśmy ze względu na dzieci, mieliśmy wąskie grono do obowiązkowych wizyt. W międzyczasie zmieniliśmy mieszkanie i trafiliśmy na bardzo miłych właścicieli domu. Warunki mieszkalne znacznie się poprawiły. W 1932 r. zaawansowałem na porucznika. Lubiłem jazdę konną i jeździłem dużo, do kompanii przyszły dobre i rasowe konie, co prawda przez przypadek, były to odrzuty remontowe z kawalerii ale były to konie dobre i młode. Nadszedł 1935 rok kiedy to 12 maja rozeszła się wiadomość o zgonie Marszałka Piłsudskiego. Żałoba ogarnęła cały naród. Marszałka szanowali nie tylko zwolennicy i towarzysze wojny ale również jego przeciwnicy. Pewien niepokój ogarnął naród. Cokolwiek moglibyśmy mówić o okresie wpływów Marszałka na rządzenie

krajem, trzeba przyznać wielkie znaczenie historyczne, jakie odegrał w odzyskaniu niepodległości. Historia prawdziwa, bez uprzedzeń przyzna mu tę rolę. Brałem udział w uroczystościach pogrzebowych w Warszawie. Ostatnia defilada przed zwłokami Marszałka. Wrażenie potężne. Trumna stała na lawecie armatniej na podwyższeniu, wszystko opasane szarfą orderu Virtuti Militari. Oddziały maszerowały tylko przy dźwięku werbli. Oddziały konne szły kłusem. Wszystko to stwarzało jakąś potęgę uczuć, człowiekowi który zasłużył się Polsce. Po przejściu defilady tłumy ludzi rzuciły się na lawetę zniknęły szarfy i kwiaty, zabierano najmniejsze kawałki jako pamiątki, które powędrowały do zbiorów rodzinnych. Byłem oburzony zachowaniem się tłumu, ale czy ja wiem, to też odznaka pewnej formy łączności z człowiekiem, który był przez nich szanowany. Zwłoki Marszałka przewieziono do Krakowa. Brałem również udział w orszaku żałobnym przy składaniu trumny na Wawelu, jak również przy sypaniu kopca Marszałka w Krakowie. Dowódcy mojej kompanii zmieniali się, przyszedł już trzeci a ja wciąż jako dowódca plutonu, wysłużyłem się długo w tej funkcji. W końcu przełożeni doszli do wniosku, że mogę być dowódcą kompanii

ale nie samodzielnej lecz w składzie
batalionu. Mówiono, że lubię zbyt dużo
eksperymentować. Rzeczywiście, szukałem
nowych rozwiązań w szkoleniu, dowodzeniu
i wyposażeniu w sprzęt łączności. Uważałem,
że wszystko to co posiadamy jest przestarzałe
i potrzebne są nowe środki łączności
aby spełniały swoje zadanie w nowoczesnej
armii. Krytykałem odwagę błędy a nie
rzadko niedorki i błędne kierunki wyszko-
lenia i wychowania oficera. Za to poniosłem
konsekwencje pogorszenia mojego awansu.
No ale wreszcie jeden krok wyżej. W 1936 roku
przeniesiono mnie do Jarosławia, do
6-ego Batalionu Łączności, (przejął on numer
batalionu lwowskiego), na stanowisko dowódcy
kompanii. Wszystkie manewry i ćwiczenia
szkieletowe w wielkich jednostkach, jak
również ćwiczenia dowódcze odbywano
moją osobą. W tym też okresie w czasie
ćwiczeń z Wyższą Szkołą Wojenną poznałem
bliżej generała Kutrzebę komendanta
szkoły. W pewnym sensie był on autorytetem
w dziedzinie taktyki a osobiście robił dobre
wrażenie, człowiek wykształcony i takowy.
W międzyczasie zamierzano wysłać mnie na
stage do Rumunii, lecz zbyt słabo znałem
a panowany język niemiecki i sprawa upadła.
W Jarosławiu nie zagrzałem zbyt długo miejsca.

Nowi moi dowódcy uznali, że nadaję się na samodzielne stanowisko. Przeniesiono mnie na stanowisko dowódcy Kompanii Łączności 30 dyw. piech. Dowództwo dywizji stało w Kobryniu a kompania kwaterowała w Brześciu n/B w zabudowaniach twierdzy tuż przy ujściu Muchawca do Bugu. Stajnie i magazyny były po drugiej stronie Muchawca. Dowódcą korpusu był generał Kleeberg. Sama twierdza nie robiła dobrego wrażenia. Mury grube, z dawnych strzelnic armatnich zrobione okna, całość zabudowań zamknięta w koło wzdłuż brzegów Muchawca, Bugu i kanałów. To była najstarsza część twierdzy. W środku placu twierdzy był kościół i „biały pałac" wtedy kasyno, tu podpisywano pokój po wojnie dwudziestego roku między Polską a Związkiem Sowieckim. Za rzeką i kanałami znajdowały się schrony, magazyny w schronach i reduty w formie fortów. Te części otoczone były wałami i fosą, to była nowsza część twierdzy. W odległości paru kilometrów znajdował się wieniec fortów żelazo-betonowych i to była najnowsza część twierdzy. Niektóre z tych fortów były zburzone. Niektóre służyły jako magazyny. W drugiej wojnie światowej umocnienia te dawały pewne warunki obrony i mogły stanowić poważny bastion obronny, gdyby były utrzymane

w należytym stanie i przewidziane
w ogólnych przewidywaniach obrony kraju.
Kompanię zastałem w opłakanym stanie
tak pod względem kwaterunkowym jak i organi-
zacyjnym i wyszkoleniowym. Na wyposażeniu
zobaczyliśmy otrzymywać trochę nowego sprzętu
jak wozy kolejowe dwuosiowe na kołach
ogumionych i radiostacje ale wszystko to
było źle rozwiązane technicznie, ciężkie,
niesprawne, już były przeżytkiem. Inne
armie już powszechnie używały radiostacji.
Dowództwa nie odrobione do używania środków
łączności, miało go wykorzystywać lub nie
umiały wykorzystać. Robiło to wrażenie
zbędności tego sprzętu. W tej kompanii
w sierpniu 1937 roku zaawansowałem na kapitana.
Byliśmy na manewrach jesiennych, kiedy rozeszła
się wiadomość o wkroczeniu niemców do Czechosłowacji. Niektóre z oddziałów biorących udział
w manewrach, zostały skierowane do zajęcia
Zaolzia. Nie przyjęliśmy tych wiadomości
z zadowoleniem. Zdawaliśmy sobie sprawę,
że dojdzie do starcia z Niemcami, do tylko
kwestia czasu i zajęcie Zaolzia traktowaliśmy
jako dogodniejsze zajęcie pozycji granicznej.
Przemówienie ministra Becka było bardzo
ogólne, wydawało się raczej jego stanowisko
negatywne wobec tych posunięć. Sprawy
czeskie leżały nam na sercu ale zawsze spotykaliśmy

z negatywnymi oddźwiękami z ich strony. Znałem trochę zakulisowe posunięcia dyplomatyczne i propozycje z naszej strony ale stanowisko ich było uparte i nieprzyjazne do Polski. Teraz wypadki zaczęły toczyć się szybko, wyczuwało się grozę niebezpieczeństwa.

Rozdział II

Rozdział ten winienem zatytułować złamana narta. Pod koniec marca 1939 roku wyjechałem na kurs narciarski dla instruktorów do Zakopanego. Już w pierwszych dniach zjeżdżaliśmy po trasie FIS. Był to dzień 23-ego marca kiedy zjeżdżałem po trasie FIS II, nie wiem z jakiej przyczyny upadłem i złamałem nartę, nigdy przedtem nie miałem wypadku z podobnymi konsekwencjami. Zmartwiony byłem tym faktem, gdyż do nart tych byłem przyzwyczajony, zabrawszy narty na ramię zszedłem do Zakopanego i udałem się do warsztatu napraw. Tu mnie pocieszono, że po naprawie narty nie stracą na swojej wartości. Odszedłem z nadzieją ale już nigdy nie powróciłem aby je zabrać. W schronisku czekał na mnie telegram wzywający do natychmiastowego powrotu do oddziału – mobilizacja. Najbliższym pociągiem odjechałem do Brześcia. Już od Krakowa napłynęli rezerwiści do pociągu. Towarzystwo częściowo pijane zapchało przedziały, małe awantury. Robiło to złe wrażenie. Myślałem

wówczas; z tą mobilizacją tak znozolnie opracowywaną jest coś nie w porządku, są jakieś braki. Kule nie świszczą a już jest bałagan. Myślałem o swoim oddziale, czy tam jest tak samo? Oddział zastałem w pełnej mobilizacji, był to już drugi dzień mobilizacji. Tabelę czynności ściśle opracowałem i była ona oparta na realnych możliwościach. Ktoby nią się posłużył, mógł tę mobilizację prowadzić. Oficer który mnie zastępował był dobrym oficerem. Zastałem bałagan z przyczyn niezależnych od personelu kompanii. Nie może było złożyć zaprzęgów, gdyż konie z poboru nie przyzwyczajone chodzić parami, uparcie ciągnęły w przeciwnych kierunkach, bały się ruchu wozów ogumionych. Konie wierzchowe nie pozwalały nałożyć siodeł. Z wielkimi kłopotami wypchnąłem kompanię z rejonu zakwaterowania i z trudnościami dotarliśmy do stacji załadowania na wagony. Załadowanie odbyło się dość sprawnie, tak że zdołaliśmy zakończyć czynności mobilizacyjne w wyznaczonym czasie. Gdyby jednak zaszła konieczność wprowadzenia kompanii do bezpośredniej akcji to połowa jej byłaby nieużyteczna. Składy pociągów przyszły do rejonów koncentracji w wyznaczonym czasie, bez jakichkolwiek zatorów. Rejonem koncentracji dywizji był Bełchatów, odcinek między Wieluniem a Częstochową.

W tym czasie przydarzył mi się pewien incydent. Rodziny oficerów przyjeżdżały do tego rejonu i zamieszkiwały poza rejonem koncentracji. Sprowadziłem swoją rodzinę i umieściłem ją jednym z folwarków. Właściciela nie było. Skontaktowałem się z jego bratem który opiekował się majątkiem w czasie nieobecności właściciela. Po jakimś czasie powrócił właściciel i poprosił wyrazić moją rodzinę a nawet odmówił spotkania się ze mną. Uważałem się za obrażonego i wszczęłem honorowe postępowanie. Według obowiązującego honorowego wystałem dwóch świadków z żądaniem satysfakcji. Zamiast świadków drugiej strony, zjawiła się narzeczona petenta, rzuciła się na kolana przede mną i błagała abym zaniechał tej sprawy, mówiąc: wszystko oddam co pan zechce ale proszę zaniechać tej sprawy, wyjście za niego to jedyna moja szansa. Nie skorzystałem z tej oferty ale sprawę zaniechałem. Miałem obrzydzenie do człowieka który dopuścił się życia narzeczonej do tak niepotrzebnej misji, bo go całkowicie degradowało towarzysko. Nie można żądać honorowego postępowania od takiego człowieka. Przeniosłem rodzinę do innego folwarku, gdzie przyjęła być z radością

serdecznością. Dwa podobne środowiska
a dwa światy pod względem kultury.
Właściciel tego drugiego warsztatu, był już
starszym mężczyzną. Dyskutowałem z nim
za każdym moim przyjazdem, dyskusje
obejmowały przeważnie zagadnienia polityczne
Dużo od niego się nauczyłem a przede wszystkim
krytycznego patrzenia na ustrój ówczesny
na politykę wewnętrzną i zagraniczną.

Po osiągnięciu kwater, a był to Bełchatów, gdzie było również dowództwo dywizji, przystąpiłem natychmiast do przygotowania kompanii do działań wojennych. Kompania była duża 215 oficerów i szeregowych, pięć plutonów, kilkadziesiąt koni, wozów i kilkanaście pojazdów motorowych jak samochody osobowe, ciężarowe i motocykle. Ponadto sprzęt techniczny łączności jako zasadnicze wyposażenie. Teraz należało rozpocząć poprawę stanu bojowego oddziału. W pierwszym rzędzie konie, należało przyzwyczaić je do nowych warunków pracy, naprawiać i przystosować wozy do potrzeb łączności, gdyż duża część wozów była z poboru. W końcu zgrywanie zespołów. Faktycznie osiągnęliśmy pełną sprawność dopiero po trzech miesiącach. W tym czasie pułki piechoty przygotowywały przygotowywały front obrony, kopano okopy, budowano schrony. Czas oczekiwania przedłużał się i nastąpiła wymiana roczników rezerwy i części oficerów rezerwy. # Na podstawie napływających wiadomości ze strony niemieckiej, podających o koncentracji armii na naszej granicy, byliśmy przekonani, że dojdzie do konfliktu. Nasze uwagi do dowództw nadrzędnych nie odnosiły skutku, gdyż wielu czołowych dowódców nie wierzyło, że dojdzie do starcia albo nie chciało uwierzyć, że wygodne

życie pokojowe skończy się i będzie będzie dać najwyższy wysiłek jaki człowiek może poświęcić dla Ojczyzny.

Rozdział III.

Groźne wiadomości napływały z granicy. Dnia 30 sierpnia, dywizja wysunięta oddziały do samej granicy, oddziały zajęły stanowiska, nawiązały z nimi łączność. Świt dnia 1-ego września 1939 r. rozpoczął się nalotami lotnictwa niemieckiego. Na całym odcinku dywizji grasowały samoloty nieprzyjacielskie, poza bronią maszynową nie mieliśmy innych środków obrony przeciwlotniczej. Nasze samoloty dnia tego nie w nastąpiły nie pokazało się na niebie i tak było do końca kampanii. Do tego doszło działanie niemieckiej broni pancernej, przeciw niej mieliśmy tylko specjalne karabiny przeciwpancerne raz że było ich mało a z drugiej strony skuteczność ich była względna. Piechota nie była wdrożona do walki z czołgami a przede wszystkim nie miała czem ich zwalczać. Nie wiem dlaczego nie pomyślano o użyciu dział 75 mm do walki z czołgami ogniem bezpośrednim. Jedyne wytłumaczenie, to brak dojrzałej koncepcji. To pierwsze spostrzeżenia z pierwszych dniach walki. Tegoż ranka udałem się samochodem do pierwszej linii walki, było to małe miasteczko ~~[illegible]~~ przy granicy. Nie pamiętam nazwy Kobrzyca lub Praszka. Zbombardowane miasteczko paliło

na całym obszarze. Wjechałem na mały rynek, do około paliły się wszystkie domy. Na środku rynku pracowała motorowa pompa strażacka, jeden strażak, trzymał w ręku prądnicę i starał się gasić ogień. Bezradność pracy a również odwaga, rzucała się w oczy. W pewnym momencie obejrzał się za siebie i stwierdził, że jest samotny, zaklął dosadnie, rzucił węże i spokojnie pośredi wjedną z ulic. Na ulicach leżały zawartości sklepów, niektóre popalone, leżeli zabici, duże wyrwy po eksplozjach bomb lotniczych. Miasteczko wydawało się wymarłe. Obraz przerażający. Poczułem się samotny i bezradny w tej grozie zniszczeń. Tym bardziej, że był to pierwszy mój obraz zniszczeń tej wojny kolejnej. Udałem się do najbliższego dowództwa batalionu aby zasięgnąć informacji co dzieje się na przedpolu. Przed odjazdem dowódca batalionu prosił aby zabrać jeńca do sztabu dywizji mówiąc: jest to pierwszy jeniec zdobyty przez nasz oddział. Jeniec był ranny w rękę, zachowywał się spokojnie, był to, w naszym pojęciu, podoficer i należał do zwiadu artylerii. Po powrocie do sztabu i oddaniu jeńca otrzymałem telefon od jednej z wysuniętych dużym telefonicznych. Podoficer meldował: panie kapitanie piechota się wycofała, co mamy robić? Czy jesteście

że piechota całkowicie się wycofała?
zapytałem. Tak jest, niemcy już za
plecami, złapią nas za dupę. Nie zważając
kabla, wycofać się. — rzuciłem do mikrofonu
Na tym rozmowa się zakończyła, oczekiwałem
z niecierpliwością, co stało się z tą drużyną.
Wróciła bez szwanku ale była w ciężkiej
sytuacji. ~~di~~ Oddziały opuszczały pierwszą
linię osłony. Likwidowałem potączenia
wysuniętego stanowiska dowódcy dywizji.
~~=~~ w Pajęcznie. Przygotowywałem się do
odjazdu. Już zbliżał się wieczór kiedy nagle
zaskoczył nas nalot bombowców, było ich
kilkanaście. Nalot obejmował osiedle i drogi.
Dla mnie był to pierwszy wypadek, że znalazłem
się bezpośrednio pod bombardowaniem.
Przeżyłem to bardzo głęboko, musiałem
skoncentrować pełny wysiłek aby nie ulec
panice. To pierwsze odczucie pozostawiło
ślad na całą wojnę, zawsze się bałem lotnictwa
Inne środki walki jak broń palna czy maszynowa
jak również ogień artylerii przeżywałem
bez wrażenia większego. Dziś zdołałem to
sobie uświadomić, że reakcja moja była tak
głęboka na działanie lotnictwa, że była mi
bezsilna w obronie. Brak środków zwalczania
lotnictwa, dawał im bezkarne możliwości
działania. Jedyną obroną było krycie się,
ale ~~to~~ ten system działa źle na psychologię żołnierza

Całą noc maszerowaliśmy na nowe miejsca obrony, był to makabryczny marsz nocny, drogi pełne pojazdów z uciekinierami, droga kompletnie zatłoczona. Wozy, samochody oddziały, posuwały się z jednakową szybkością. Dopiero rano kiedy ukazały się pierwsze samoloty, droga stała się pustą. Nie będę tu opisywał działań poszczególnych oddziałów, przebiegu bitew, bo nie jest to moim celem bo można to znaleźć w opisach historycznych przebiegu kampanii lub opracowaniach poszczególnych dowódców dysponujących materiałami dokumentalnymi. Podawał będę tylko odczucia własne i kłopotliwe położenie lub niebezpieczeństwo własne w których uczestniczyłem bezpośrednio. Obrona odcinka nad Widawką w rejonie Szczercowa, była przez nas przygotowywaną począwszy od marca, wówczas odwiedzał nas często gen. Rómmel, zresztą dzięki niemu tylko ta obrona była przygotowana. Połączenia telefoniczne w miejscu postoju dowództwa dywizji na odcinku obrony mieliśmy już przygotowane. Dowódcą dywizji był gen. Cechak. Oficer ten nie robił na mnie dobrego wrażenia, bezduszny, pozer, o małej kulturze ale jako żołnierz dobry, wykonał wszystkie zadania jakie do niego należały. Już od rana pierwszego dnia walk na linii obrony, przyszły ciężkie

naloty. Pojazdy uciekinierów z dróg jeszcze nie zniknęły, kiedy rozpoczęło się bombardowanie i oni ucierpieli najwięcej. Droga została usłana trupami ludzi, leżały razem trupy matek i ich małych dzieci trzymanych w uścisku przy piersiach, dużo zabitych koni, rozwalonych wozów. Pobojowisko to można było nazwać cmentarzem ludzi uciekających przed grozą wojny, ~~[illegible]~~ droga ta czyniła makabryczne wrażenie. Zatykało dech w piersiach, pobudziła się chęć zemsty. Ale czas leczy rany i kiedy przyszły okoliczności kiedy mogłem zemstę uskutecznić, nie wykorzystałem tego. Walki na linii obrony trwały dwa dni, dopiero trzeciego dnia rozpoczęliśmy wycofywać się na kierunek Łodzi. Sąsiednie dywizje wycofały się już zbyt daleko i dywizja nasza została zagrożona otoczeniem. Mimo takich przewidywań, aby uniknąć tczenia, niestety nie uniknęliśmy ich, sąsiedzi wycofali się zbyt szybko i pierwsze wyjście odbywało się przez wąskie dwukilometrowe gardło. Była to noc, ogień artylerii z obydwuch stron. Wyszliśmy bez większych strat. Marsz dniem, bez względu na naloty, szliśmy po trasie gdzie w dniach poprzednich

odbywały się walki, popalone osady, zniszczony sprzęt wojskowy na drogach. Tędy szły niemieckie jednostki pancerne. Dochodziły nas wiadomości, że niemcy są już pod Warszawą. Wówczas to spotkałem działo przy drodze na stanowisku i zatrzymałem się. Wprowadziło ono mnie w pewną zadumę, miałem słabość do artylerii, jako niedoszły artylerzysta, a w przyszłych działaniach przypadło mi w udziale również z tą bronią współpracować.

Łzy

Szedł drogą żołnierz,
twarz kurzem okryta
szara jak mundur.
Policzki wpadnięte
usta w pręgi spękane poprzeczne,
krwią zaznaczone.
Tylko z pod hełmu dwa płomienie błyszczą.
karabin ręką przyciska do ~~biodra~~ boku
plecy schylone, plecak je naciska
Kurz co na drodze wzbity przez kolumnę,
kład się do rowu i pełzał na pola.
Któraż to noc w marszu? myśli,
dzisiaj siódma
a dniem walki trwały.
Szum w głowie się wzmaga
oczy mgłą zachodzą,
tumany kurzu dziwne kształty tworzą.
wielkie jak chmury kroczące przed burzą.
Lecz w tym jakiś głos usłyszał, bliski.

Weź mnie!
coś cicho ~~rzekło cz~~ rzecze, gdzieś ~~przy drodze~~ w przydrożnym rowie.
Weź mnie!
Jam dobre — cicho coś zawoła.
Stanął i patrzy, tuman się oddalił.
W rowie przy drodze przyczajone nisko,
zobaczył ~~ta~~ działo, ~~stoi~~, stało przy nim blisko.
Lufa po przeciwnej w jego stronę patrzy,
zda się ziemię głaszcze usypaną ~~przed nim~~ wokół.
Głos znów się odezwał, jakby błagał o coś.
Dwie wojny ~~już~~ za mną chcę ci jeszcze służyć
~~Przecież tyle obsług szkoliło się przy mnie~~,
Weź mnie!
Żołnierz zszedł do rowu,
wokół łuski puste,
leżały jak snopy rzucone na polu.
Wsparł rękę na dziale, jakby głos chciał z ciszy
spojrzał przez celownik.
Dwie rysy swym krzyżem przecinały pole.
Zimne i martwe na celu stanęły,
gdzie pasmo drogi do wsi się chowało.
Zamek ~~jest~~ otwarty, czeka na pociski
Spojrzał ~~ta~~ przez lufę, skręt gwintów ~~się~~ iskrzący
pełna lufa blasku.
Żołnierz wstał i wyszedł na drogę,
na pierś głowę zwiesił.
Tylko z pod powiek dwie łzy jak kule upadły, na ziemię
utonęły w piasku.

W czasie wycofywania się przechodziliśmy przez miejscowość Dłudów, poprzednio była tu miejsce postoju G.O. gen Thommee a wchodząc kiedy przybyłem do tej miejscowości były tu drugie rzuty dowództwa dywizji i również drugi rzut kompanii łączności. Cały dzień byliśmy maglowani przez lotnictwo bez przerwy. Drugi rzut odesłałem na Warszawę łącznie z moim samochodem służbowym, nigdy więcej ich nie spotkałem, pozostałem tylko w letnim mundurze i mepsikiem, oraz koniem służbowym. /miałem na wyposażeniu dwa środki lokomocji samochód i konia/ W czasie nalotów przekraczała wieś bateria artylerii, zginęło parę zaprzęgów, bateria unieruchomiona. Dowódca baterii wszedł do ~~pierwszego~~ najbliższego domu i strzelił sobie w głowę. Przecież nie popełnił on błędu, strzały nie były jego winą, a jednak nie mógł tego przeżyć. Ogólne zdenerwowanie działało na psychikę człowieka tak głęboko, że mógł on popełnić samobójstwo. Kierowca mój w czasie odjazdu widział mnie w pobliżu wybuchającej bomby, myślał, że poległem, nie byłem zbyt poszkodowany ale wiadomość o śmierci dotarła do mojej żony. Dywizja wycofywała się po osi Dłudów - Skierniewice. Przeszliśmy cały czas

razem z kompanią, która trzymała się zwarcie, każdy żywił się tym co miał przy sobie a więc schuchary i zimna woda bo nawet nie było czasu jej zagotować. Wszyscy bardzo zmęczeni, od paru dni nie zdejmowali butów, a spali tam gdzie zastał ich odpoczynek, na stojąco. Mimo to nie czuło się rozluźnienia, nikt nie narzekał, oficerowie zawsze na swoich miejscach, panował jakiś spokój, dziwny spokój i zacięcie się w tej jak się wydawało tragedii jeszcze nam dobrze nieznanej. ~~Przed wejściem d~~ Przebijaliśmy się przez oddziały niemieckie w dzień albo w nocy, broniliśmy się przed oddziałami które postępowały nam po piętach. Przed wejściem do lasów w rejonie Skierniewic, szliśmy drogą biegnącą po wyniesionym terenie. Na najwyższym punkcie tego terenu przy drodze stało dwa domy z małym zadrzewieniem. Na wysokości tych domów z tyłu nadjechała kłusem bateria naszej artylerii. ~~Nad~~ Zbliżył się do mnie ogniomistrz tej baterji z wołaniem — z tyłu czołgi, jechać kłusem. Na to odpowiedziałem: — możecie mijać, my będziemy szli normalnym marszem. Kompanię rozrzuciłem w tyraliery, posadziłem oficera na czołowym wozie kompanii i kazałem mu prowadzić czoło wozów na wysokości tyraliery. Wszystko zostało wykonane

natychmiast i w zupełnym porządku. Bateria ruszyła kłusem i zaczęła mijać kompanię. W tym momencie nadjechał z tyłu płk. Łakiński dowódca artylerii dywizji. ~~Podbi~~ Wjechał w kolumnę zatrzymał ją podbiegł do mojego oficera czołowego i uderzył go w twarz. Winien był to uczynić swojemu oficerowi dowódcy baterii, który szerzył panikę. W tym momencie przyszła seria pocisków artyleryjskich nieprzyjaciela, Łakiński wskoczył do samochodu i odjechał a cała kolumna ruszyła galopem, działo i jaszcz wywróciły się do rowu, przygniatając dyslem konie dyszlowe, obsługi uciekły, działo pozostało. Przyszła seria druga i następne, moja tyraliera przyśpieszyła kroku w stronę lasu. Pozostałem sam na miejscu. Zaległa cisza. Nikodo wokół, do lasu kawałek drogi. Byłem zupełnie przygnębiony i zdecydowany na wszystko. Wyszedłem na drogę sam na oczach całej dywizji i tak ostentacyjnie szedłem w stronę lasu, z kierunku z kąd szedłem oczekiwano natarcia czołgów, dopiero jakiś kilometr od skraju lasu przysłano mi konia z luzakiem. Ledwie zszedłem z konia podbiegł do mnie wspomniany pułkownik, wyrwał pistolet, potrząsając nim krzyczał szydorczo - bohater, kuli nie wart. Popatrzyłem ze zdziwieniem, odwróciłem się tyłem i odszedłem do swojego oddziału

Całemu temu widowisku przypatrywał się dowódca dywizji, wiedział czyja była racja ale nie zareagował. Przytoczyłem ten końcowy wynik tego wypadku aby scharakteryzować stosunki w wojsku, gdzie starszy zawsze musiał mieć rację. W rezultacie jednak dowódca dywizji uznał moją osobistą odwagę i w końcowej fazie kampanii podał mnie do odznaczenia krzyżem Virtuti Militari, zresztą nie tylko za ten wypadek, miałem jeszcze parę innych podobnych. Gen. Rómmel w swojej książce za-Honor i Ojczyznę - wyraził pozytywne zdanie o płk. Łakińskim. Nie mogę tego potwierdzić był to bufon i aktor, grał rolę dla swojej kariery. Tak było w tym wypadku, kiedy zatrzymał kolumnę na najwyższym punkcie terenu niby starając się utrzymać porządek, tylko zapomniał że niemcy to widzą i będą strzelać jak do świeczki, co się też stało. W końcu aby zatuszować swoje nierozsądne zachowanie zagrał rolę ze mną. Zresztą zawsze ze wszystkiego potrafił się wywinąć, chociażby cudzym kosztem. Żal mi było tylko tych koni i działa, które pozostało w rowie, sam w pojedynkę nie miałem siły aby to działo podnieść, chciałem zaryzykować i wrócić tam z grupą ludzi aby działo to wyciągnąć. Musieliśmy jednak dalej się wycofywać i organizo

nowe przebijanie się przez niemców. Tak dotarliśmy do zalesionej części poligonu pod Skierniewicami. Kompania trzymała się zwarcie. Do rejonu koncentracji wchodziliśmy w kolumnie czwórkowej. W pewnym momencie nadleciał samolot, oczywiście niemiecki, przypikował w czoło kolumny, szedłem na czole i obserwowałem dokładnie ten samolot, wydawało mi się że widzę twarz pilota, oczekiwał kiedy da serię, trochę uchyliłem się od linii strzału i w tej chwili zauważyłem bok samolotu odetchnąłem, ~~tyl~~ obejrzałem się na kompanię, tylko pierwsze dwie czwórki się zmieszały, reszta była w porządnym szyku. Lotnik nie oddał serii. Zastanawiałem się dlaczego uniknęliśmy masakry? Może nie był pewnym czyje to są wojska, może zacięły się karabiny, a może zabrakło amunicji. To zachowanie oddziału może wydawać się dziwne, ale wówczas nawet nie byliśmy wrażliwi na ataki lotnictwa. Elementem pozytywnym było to, że obliczu niebezpieczeństwa oddział utrzymał swoją zwartość, co miało dodatni wpływ na oddziały już tam zebrane a morale których było poderwane przez poniesione duże straty. Zatrzymaliśmy się w tych lasach do wieczora. Zlikwidowano najbardziej poszkodowany pułk w stanach liczbowych, zakopano sztandary pułkowe i niepotrzebny sprzęt

łączności. Już o zmroku wymarsz w kierunku Warszawy i perspektywa ponownego przebijania. Pluton kwatery głów pozbywszy się sprzętu samochodowego miał się poruszać z dowództwem dywizji, pozostałe plutony ze sprzętem, które posiadały wozy ogumione tworzyły oddzielną kolumnę. W tym czasie zjawił się 6 psk pod dowództwem ppłk Mossora. Dowódca dywizji gen. Cechak i oficer op. mój kolega ze szkoły podchorążych, podeszli do mnie. Dowódca dywizji rozkazał: z tym rzutem kompanii (znaczy rzut na wozach ogumionych) pójdzie pan za kawalerią. Odpowiedziałem: Tak jest. Poczułem wewnętrzny żal do dowódcy dywizji, za to że oddzielił mnie od dywizji i nie dał żadnych wytycznych. Spojrzałem jeszcze na grupę oficerów sztabu, gdzie był również mój bezpośredni mój przełożony dowódca łączności dywizji major Maron-Marwicz. Był to oficer bardzo taktowny, koleżeński i odważny, technicznie dostatecznie przygotowany do pełnienia funkcji, którą zajmował, była to pozytywna osobowość w wojskach łączności. Nie przypuszczałem wówczas, że jest to nasze ostatnie pożegnanie, byliśmy ze sobą w przyjaznych stosunkach. W ostatnim przebijaniu się na Warszawę, zginął. Zginęła również większa część oficerów sztabu, między innymi szef sztabu

i mój kolega oficer operacyjny. Zgłosiłem się ze swoją kolumną do dowódcy 6 p.s.k. Dołączyłem na koniec kolumny pułku. Dodano mi karabin maszynowy (taczankę) i działko przeciwpancerne. Kierun marszu na górę Kalwarię-Grójec. Marsz na przełaj nocą. Kolumna co chwilę zatrzymywała się nawet na dłuższy czas, marnowaliśmy ~~wy~~ bezpieczny czas nocy. Zasypiałem na koniu, nad ranem przesiadłem się na wóz aby chwilę zasnąć. Świtało, wchodziliśmy na szosę Warszawa-Częstochowa. Wyszliśmy z lasu i zaczęliśmy wchodzić na drogę twardą, przy drodze leżały niemieckie kable telefoniczne, kazałem przeciąć. W tym momencie usłyszałem daleki dźwięk motocykla, zdziwiłem się ale zaraz uprzytomniłem sobie, że to patrol nieprzyjacielski lub gońcy. Z za górki wyskoczyli motocykliści i wpadli wprost w kolumnę. W chwili mijania mnie chwyciłem za karabin, nie mogłem strzelić bo na linii celu byli nasi żołnierze wychodzący z lasu. Niemcy jednak nie wytrzymali psychicznie i zwalili się do rowu, tu nasi żołnierze ich wykończyli. Zeszliśmy z szosy i weszliśmy ponownie do lasu. Chwilowy odpoczynek. Zostawiamy paru strzelców przy szosie. Niedługo czekaliśmy kiedy nadjechało dwa motocykle z koszami. Ci zostali również wykończeni. Tenincydenty

spowodowały, że staliśmy się bardzo czujni. Dalszy marsz przez las, przy wylocie wchodzimy do wsi. W pewnym momencie podbiega do mnie mężczyzna ze wsi i mówi – Niemcy! – wskazując na drogę. Widzę dwa samochody patrolowe i motocyklistę, nakazuję zająć stanowiska, podpuszczamy ich blisko. Strzał z działka zatrzymuje pierwszy samochód, strzelcy biją po ludziach, paru ich zdołało wyskoczyć i skryć się do rowu. Tylko dwuch uciekło, jeden ranny, reszta zabici. Było ich piętnastu. Zabraliśmy motocykl, znaleźliśmy mapę niemiecką tych okolic, to ważna zdobycz, nie mieliśmy map tych okolic. Z mapą i tym jeńcem udałem się do ppłk Mossoro aby zameldować o wyniku potyczki. Mapę utraciłem, zabrał ją pułkownik. Weszliśmy w lasy pod Osuchowem w rejonie Grójca. Tu mieliśmy zamiar odpocząć i zjeść obiad, do tego gorący bo z kuchni ułanów. Pokazały się połcie wieprzaka co nasuwało dobre nadzieje, już od tygodnia nie mieliśmy ciepłej strawy. Kuchnia już dymiła. Zaczęto karmić konie, posłano po wodę do Osuchowa, leżącego niedaleko przed nami. Nie sądzono nam jednak abyśmy i w tym dniu zjedli coś ciepłego. Dzień ten stał się moim ostatnim dniem walk kampanii polsko-niemieckiej.

Wyjście z lasu od strony Osuchowa dozorowane miało być przez moją kompanię. Podzieliłem odcinki na plutony. Dokuczały mi stopy, już siedem dni nie zdejmowałem butów. Przysiadłem na małej polance gdzie był dołek z wodą i chciałem umyć nogi. Skarpetki zwinięte były w okolicach palców nawet tego nie czułem. W pewnym momencie konie nasze od strony Osuchowa zaczęły pędzić galopem, zdziwiłem się, bo konie były zmęczone a jezdni dbali o konie. Pierwszy który nadjechał melduje: - Niemcy zbliżają się do wsi widziałem ich tyralierę. Natychmiast wysłałem patrol pod dwództwem oficera. Pośpiesznie nałożyłem buty. ~~Wid~~ Obserwowałem nasz patrol który zbliżał się do krawędzi lasu wysuniętego pod wieś. Rozpoczął się ogień broni ręcznej, bo tylko taką posiadaliśmy, patrol wycofał się. Nasze stanowiska były tylko w rejonie drogi wychodzącej na Osuchowo, całej ściany lasu od tej strony nie byliśmy w stanie obsadzić. Zachodni skraj tego kompleksu leśnego obsadzał 6 psk. Ofier wysłany na patrol meldował, że od strony Osuchowa zbliża się dwie kompanie nieprzyjaciela widać było artylerię. Za chwilę otrzymałem meldunek od lewego plutonu, że w naszą stronę ~~zb~~ posuwa się wzdłuż skraju lasu kompania nieprzyjacielska. Ocena prosta, batalion

i jakaś artyleria. Decyduję się bronić, innego wyjścia nie widziałem. Wszyscy na stanowiskach. Walka zaczęła się wzmagać. Wziąłem karabin, klęknąłem za drzewem tak aby módz obserwować przebieg walki i czekałem na zbliżającą się tyralierę. Mam już prawie pewny strzał, strzelałem dobrze, ale jeszcze chwilę czekam, wydaje mi się, że czas stanął, trzymam ~~go~~ jednego niemca na celu, palec na pierwszym oporze spustu, niemiec wyciąga łopatkę aby się okopać, decyduję się na strzał ale palec jakby zatrzymał się na miejscu, robię wysiłek aby przekroczyć tę granicę, pada strzał, niemiec tak jakby nie posiadał kości, zwala się na ziemię. Oczekuję na drugiego ale w tym momencie słyszę uderzenie pocisku w drzewo tuż obok mnie nad głową, widzę ślad pocisku na korze, lecz był to wlot pocisku, strzał z tyłu, myślałem że to zabłąkany pocisk, ale za chwilę drugie uderzenie kuli o centymetr niżej od poprzedniego, przebiegł myśl, to ktoś celuje, (tu drugi raz w życiu zajrzała mi śmierć w oczy) kładę się za drzewem. W tym momencie żołnierze podprowadzają dowódcę jednego plutonu podporucznika Przewoźnika rannego w twarz, kula przeszła na wylot przez obydwa policzki, zalany krwią. Umieszczam go na wozie, dowiaduję się że dowódca plutonu

radio podporucznik Plisowski zabity. Żołnierze zaczęli skupiać się wokół mnie. Niemcy są już między wozami rozbrajają naszych żołnierzy, wzywają do poddawania się. Oddaję dwa strzały skuteczne do bliskich celów. Mózg pracuje gorączkowo, co dalej? Poddać się? To niemożliwe, nie dopuszczałem takiej myśli, niemcy są już kilkanaście kroków ode mnie. Chwytam do ręki pistolet, komenderuję - za mną -. Z grupą która była przy mnie pędzę w stronę rozłożonej tyraliery nieprzyjacielskiej, strzelanina ze wszystkich stron, przebiegam obok rannego niemca, był zupełnie szary, nie strzelam do niego, przebiegliśmy już tyralierę, ogień nie ustaje, ale już zaczynamy się oddalać i ginąć między drzewami, wszyscy wyszli bez szwanku. Dobry las nas ocalił od śmierci a najmniej niewoli, poczułem wielką wdzięczność dla tych spokojnych drzew. Kielokrotnie zastanawiałem się dlaczego ten wypad się udał, przecież najbliżsi nas byli zaledwie parę metrów, pełno broni maszynowej, dużo ognia bez wyniku. Najważniejszym elementem było zaskoczenie, wybiegliśmy z małej grupy krzaków wprost na nieprzyjaciela najbliżsi bali się ruszyć bronią aby nie powodować ognia w ich stronę a dalsi mieli mniej skuteczny ogień. To nas uratowało.

Ze swoją małą grupą udałem się na drugi wylot lasu, bronionym przez 6 psk. Odgłosy walki po tamtej strony rozchodziły się echem po całym lesie, tam do akcji weszła artyleria po obydwuch stronach. Podchodzę do dowódcy pułku i melduję o przebiegu walki na moim odcinku, nie zwraca na to uwagi, każe mi iść na odcinek walki, jednego ze szwadronów. Poszedłem, ale szwadron mając konie w ręku już się wycofywał. Razem z nimi odchodziłem. W tym czasie dowiaduję że płk. Mossoro decyduje się poddać pułk. Uparta myśl mnie nurtuje. Nie poddać się. Wyszedłem z gorszej sytuacji. – Za mną w las – rzekłem. Teraz już analizuję. Iść w głąb lasu, znaczyło natknąć się na oddziały nieprzyjacielskie, które zlikwidowały moją kompanię. Zostać na miejscu, znaczyło iść do niewoli, to wykluczało. Liczyłem na szczęście. Z całą grupą odsunąłem się w las, tu ukryjemy się w podszyciu lub na drzewach, każdy musi zrobić to pojedyńczo, tak zaczekamy do zmierzchu, objaśniłem swoich ludzi. Każdy na swoją rękę wybierał najbardziej odpowiednie mu miejsce. Ja umieściłem się na drzewie. W ukryciu tym czekamy ale już za kilkanaście minut idzie pierwsza tyraliera niemiecka, potem druga, dokładnie przeszukują las, widzę ich pod moim drzewem, słyszę, że jednego z moich

towarzyszy znaleźli. Wreszcie cisza. Z oddali słyszę wydawane rozkazy niemieckie, z których dowiaduję się że odmarsz o godzinie szóstej. Słyszę składanie broni i odmarsz koni a w końcu komendy niemieckie do odmarszu. Już w ciemności wyszliśmy z kryjówek, poszliśmy do najbliższej wsi aby trochę się przespać. Umieściliśmy się w zabudowaniu w bliskości kwaterujących oddziałów niemieckich, to też przed świtem opuściliśmy naszego gospodarza. Reasumując całą tę potyczkę po mojej stronie, zdawałem sobie sprawę z braku równowagi sił. W mojej kompani, to znaczy jej części, było około stó żołnierzy, mieliśmy tylko karabiny ręczne, żołnierz łączności niebył przygotowany do walki w rdzaju piechoty i nie umiał takiej walki prowadzić, łącznie z oficerami. Taka grupa ludzi dobrze przygotowana do walki a do tego posiadająca broń maszynową, ale nasze zwierzchnie władze nigdy o tym nie pomyślały, mogła zadać większe straty niemcom a co najważniejsze mogła z tej sytuacji wyjście. Żeby to osiągnąć trzeba było mieć duże już doświadczenie i to w walce bezpośredniej. Wówczas tego jeszcze nie miałem. Po trzech dniach wróciłem na to pobojowisko aby dowiedzieć się kto został zabity. Zastałem trzech rannych

~~p~~ z mojego oddziału, pozostawionych przez niemców, pod opieką miejscowej ludności. Dowiedziałem się z żalem, że podporucznik Przewoźnik, który był ranny, jeszcze tego wieczora, chciał uciec, ale został zabity przez wartownika. (w zabitych straciliśmy 2 oficerów i 15 szeregowych) Z pułku kawalerii trzech zdecydowało się uciec z otoczenia konną, jeden został zabity dwuch uciekło. Wiele razy wracałem myślą do mojego wyjścia z otoczenia, porównywałem z wielu faktami historycznymi, które dla mnie były zagadką, dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że wszystko jest możliwe. Przeżycie moje było jedną wielką rozpaczą, tragedią, która na długie lata pozostała w moim umyśle. Tragedią żołnierza, który w tym momencie utracił wszelkie szanse zwycięstwa i stał się bezsilnym. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy z ogólnej sytuacji, nie posiadaliśmy wiadomości co działo się na innych frontach. Odsunąłem się od miejsca walki i zatrzymałem w małym folwarczku, do rejonu tego napłynęło jeszcze kilkunastu ułanów z Kresowej Brygady kawalerii. Rozpocząłem zbierać wiadomości o ogólnej sytuacji. Ludność cywilna wracająca z za Wisły, a która cofała się przed frontem, określała sytuację jako tragiczną i beznadziejną, wiadomości te potwierdzały się ze wszystkich stron. Pomimo wszystko zdecydowałem udać się za Wisłę

w poszukiwaniu resztek walczących naszych oddziałów aby do nich dołączyć. Dochodziły wiadomości, że jakieś oddziały koncentrują się w lubelskim ale i te nadzieje zostały rozwiane. Do Wisły zbliżałem się tylko nocami i lasami kluczyłem między kwaterującymi oddziałami. W czasie tego marszu na wschód, przed Pilicą w lasach spotkałem zniszczony sprzęt i akta dowództwa 13 Dyw. Piech. Niedaleko Wisły przy ujściu Pilicy stał samotny wrak polskiego czołgu „P", prawdopodobnie opuszczony przez załogę kiedy wyczerpała się benzyna, zresztą nie miał możliwości przeprawy w tym miejscu. Do samej Wisły zbliżyłem się w miejscowości Ryczywół. Wieś spalona doszczętnie, sterczał samotny kościół. Tuż Wisła, podszedłem szukać środka przeprawy. Niespodziewanie pojawia się łódka kierowana przez młodego chłopaka. Macham ręką aby zbliżył się do mnie i w tym momencie dostaję serię z karabinu maszynowego, widzę linię pocisków na wodzie, blisko ale niegroźnie, padam i przenoszę się w miejsce bardziej bezpieczne. Łódź podpływa pod sam brzeg, wtaczam się do niej bez podnoszenia się z ziemi. Przepływamy Wisłę, jeszcze jakaś seria z broni maszynowej, pociski biją o wodę i brzeg rzeki. Drugi brzeg Wisły to Maciejowice.

Sytuacja z jaką się tu spotkałem wstrząs-
nęła poczuciem honoru ptaka i żołnierza.
Żołnierze z bronią i bez broni pojedyńczo
włóczących się w tym rejonie, dużo ludności
cywilnej oczekującej na możliwość powrotu
do domów. Złorzeczenie na nieudolność
dowódców, rządu i wszystkim kto miał
z nimi styczność. Tu dowiedziałem się o wkro-
czeniu wojsk sowieckich do Polski, tu
dowiedziałem się o opuszczeniu kraju
przez prezydenta i rząd oraz naczelnego
wodza. Zrozumiał klęskę i tragedię
narodu. Z Maciejowic chciałem jeszcze
udać się do obleganej Warszawy, miałem pewne
szanse, chciałem zakończyć kampanię chwalebnie
i trwać w walce do ostatniej chwili. Dnia 26. wrześ.
doszły nas wiadomości, że Warszawa kapituluje.
W tym czasie na ~~tym~~ obszarze między Bugiem
a Wisłą, można powiedzieć, że był to „niczyj
kraj". Wojska niemieckie stały na Wiśle
a wojska sowieckie zatrzymały się na Bugu.
Toczyły się pertraktacje w Berlinie i Moskwie
kto te rejony ma zająć. Dowiedziałem się
~~je~~ jeszcze, że są jakieś oddziały w rejonie
Kocka, udałem się w tę stronę. Nim doszedł
z powodu nacisku, z jednej strony Niemców a drugiej Rosjan
do Kocka i tu nastąpiła kapitulacja. Zgrupo-
waniem tym dowodził gen. Kleeberg. Znałem
go był on dowódcą korpusu w Brześciu.
To już koniec mojej kampanii. Postanowi-

odszukać rodzinę, pozostawioną w Brześciu. Drogę z pod Kocka do Brześcia przeszedłem spokojnie, nie była ani wojsk niemieckich ani sowieckich. Dopiero niedaleko od Brześcia natknąłem się na wojska sowieckie. Pierwsze wrażenie negatywne, uzbrojenie słabe, tak jak nasze, umundurowanie bardzo mizerne, żołnierz wyglądał na wysztraszonego. Jak już podawałem, mieszkaliśmy w Twierdzy. Do Twierdzy nie wolno było wchodzić. Udałem się do miasta, do naszych kuzynów, zastałem ich jeszcze, wybierali się już do Warszawy. Dowiedziałem się gdzie rodzina została ewakuowana. Janów Podlaski lewy brzeg Bugu, udałem się natychmiast. Był to ostatni dzień, że granica na Bugu była otwarta. Odnalazłem rodzinę w zupełnej nędzy, ubranie tylko co na sobie, jakieś koce do spania, brak zupełny pieniędzy. Sytuacja beznadziejna, ja byłem w takiej samej sytuacji. Wiadomość o mojej śmierci pod Dłutowem dotarła do mojej żony, co jeszcze pogarszało jej sytuację. Ewakuacja z Twierdzy odbywała się w wielkim bałaganie. Twierdzę przygotowywano na siedzibę rządu i sztabu naczelnego wodza, usunięto wszystkie rodziny wojskowe tam mieszkające. Wrzucono na samochód to co każdy mógł zabrać ze sobą, to znaczy mógł unieść, i tak

wywieziono ich do wioski po prawej stronie Bugu. Z chwilą kiedy żona dowiedziała się że ten rejon przypadło Rosji, postanowił przenieść się na lewą stronę rzeki pod okupację niemiecką, dochodziły również wiadomości co działo się z ludnością polską po stronie sowieckiej a były one mało zachęcające, widmo Syberii przerażało każdego. Postanowiliśmy oddalić się trochę od granicy. Pierwszy etap to Konstantynów tu dostaliśmy trochę pomocy. Dalej Siedlce i tu trzeba się było dostosować do nowych warunków i szukać źródła dochodu. Życie drugi raz od początku od zera. Czym się zająć, co robić? Jako wojskowy musiałem się ukrywać. Duże trudności miałem z ukryciem alibi, miałem żołnierzy na wyszkoleniu z całej Polski, i gdziebym się nie udał spotykałem znajomych na ulicy. Nie obawiałem się ich zdrady ale wiadomości przenikają, trudno uchować tajemnicę. Trzeba było szukać lokum w jakiejś zapadłej dziurze aby mieć trochę spokojne życie. Takiego miejsca nie miałem i poszukiwania nie dawały wyniku. Trzeba było zarabiać, zaczęliśmy się zajmować trochę handlem pokątnym, który wówczas zaczął się rozwijać masowo ale na dłuższą metę nie dawał on perspektyw a do tego trzeba było

mieć gotówkę. Poza fachowością wojskową innego zawodu nie miałem, w dziedzinie teletechniki i radiotechniki pracować nie mogłem. Szukałem kontaktów z ruchem podziemnym ale to wszystko jakoś nie wychodziło. Stałem się rozbitkiem. W końcu doszedłem do wniosku, że żona bez mnie łatwiej będzie mogła dawać sobie radę. Rodziła się myśl emigracji do armii na zachodzie. Pierwszą wyprawę na granicę słowacką zrobiłem w grudniu, nie dała jednak wyniku ale nawiązałem pewne kontakty w rejonie granicy. Zanim przystąpię do następnego rozdziału chciałbym zreasumować przyczyny klęski a właściwie podać opinie jakie były zażarcie dyskutowane prze społeczeństwo a także jaki ja miałem na to pogląd. Dewizą moją w funkcjonowaniu państwa to: - jakim jest naród, takim jest rząd. - długie godziny moglibyśmy doskutować, ale ja od tej dewizy nie odstąpię. Naród gnębiony stuletnią niewolą przez trzech zaborców, nie miał możności wytworzyć tej masy inteligencji która musi brać udział w budowie państwa i społeczeństwa. Proces ten tworzenia nowej inteligencji rozpoczął się zaraz po odzyskaniu niepodległości ale ta część społeczeństwa nie zdążyła dojść do zajęcia wysokich decydujących stanowisk. Jednak

element ten przedstawiał wysokie walory moralne i patriotyczne. Nie zdążył on jednak osiągnąć jeszcze ~~na sk~~ poglądów na skalę światową. Z kogóż ten element się składał? W swojej większości to chłop, element zdrowy moralnie i związany ze swoją ziemią, patriotyczny. Inteligencja która została po zaborach to były relikty przeszłości niezdolne do działalności na szerokiej arenie jakim jest państwo. Tylko nieliczne jednostki zdołały dostosować się do nowych warunków. Mieszczaństwo, mające pewien poziom, było nieliczne, chociaż odegrało znaczną rolę. Robotnicy w pełnym tego słowa znaczeniu byli bardzo nieliczni, ze względu na brak przemysłu uzupełniali chłopa. Przemysł na niskim poziomie, prawie w początkach, gospodarka agrarna jeszcze archaiczna, nie wpływ na szybki rozwój ekonomiczny. Różne były, byliśmy państwem biednym. Do tego dochodziły kłopoty pozaborcze, gdyż trzeba było wszystko ujednolicać na skalę państwową. Z tych względów na stanowiska centralne państwowe przychodzili ludzie mało przygotowani pod prostu nie było lepszych. Na takiej bazie stworzone było wojsko, nie mogło ono się różnić od reszty społeczeństwa. Tu także brak było ludzi wybitnych, którzy potrafiliby narzucić swoją inicjatywę i wnieść istotne

elementy twórcze. Jeżeli to weźmiemy pod uwagę niewiele, pozostanie nam do krytyki. Bo wszelkie błędy dowodzenia popełnione w czasie akcji swoje źródło mają w ogólnym przygotowaniu. Ale czy wszystko możemy oceniać jedną miarą? Są sprawy które podlegały krytyce i ludzie jako tako światli mogli je przewidzieć i poprawić, szczególnie ci którzy uważali się za fachowców w danej dziedzinie. W tym miejscu trzeba by powiedzieć, że z każdymi prawami łączą się obowiązki i odwrotnie. Zainteresowaniem moim jest oczywiście armia. Wciąż tu patrzę z tego najniższego szczebla oficerskiego. Ogólna moja ocena wyglądała następująco: piechota wyszkolona słabo, artyleria dostatecznie a kawaleria dobrze. Nie będę omawiał lotnictwa, bo trzeba było go mieć, tego nie zapewniły najwyższe czynniki państwowe i wojskowe, a przecież nie było tajemnicą co posiadają sąsiedzi. Nie będę również omawiał marynarki wojennej, bo tu nie było wyjścia, chociaż właśnie dużo jej wyszło. Wyszkolenie i wyposażenie armii trzeba dostosować do możliwości ewentualnych przeciwników. Jak na wschodzie tak i na zachodzie była zdecydowana przewaga, z jednej strony ilość z drugiej technika. Już ta ocena wskazuje, że jakiekolwiek działania

ofenzywne są prawie wykluczone. Wobec tego i natarcia masami wojsk też nie będą mogły być prowadzone a idąc dalej szkolenie armii w natarciu będzie drugoplanowe, na pierwszy plan musi być wysunięta obrona. Nie myślę tu o obronie stałej, chociaż i ona nie jest bez znaczenia, ale chodzi mi o obronę ruchomą, i do tego należało przygotować piechotę w stopniu najwyższym. Zdajemy sobie sprawę, że żołnierz podrywający się do natarcia jest zupełnie bezbronny jest tarczą strzelecką dla obrońcy. W naszych regulaminach nie mieliśmy tych akcentów, ba preferowało się nawet szturm z okrzykiem hura! a w kawalerii szarżę. Piechota nasza nie umiała się okopywać, siedziała miękko w terenie. Stosowane wnęki poziome, były przeżytkiem, należało stosować wnęki pionowe (co używali niemcy) dające również ochronę w pewnym stopniu przed lotnictwem i bronią pancerną, przytym przestrzeń rażenia jest znikoma. Jest to główny zarzut w wyszkoleniu piechoty. Z mojej bezpośredniej obserwacji, wszystkie ćwiczenia prowadzone były pod kątem natarć, a jak obrona? tę tylko przyjmowano, że istnieje. Starsi oficerowie nie potrafili przekazać ducha pola walki, tak niezbędnego elementu w wyszkoleniu

A może nie mieli takiego doświadczenia? Artyleria dobrze się posługiwał ogniem pośrednim, nie ćwiczyła strzelań bezpośrednich do celów ruchomych, co w walce z bronią pancerną ma niepoślednie znaczenie a przecież działa 75 mm z konieczności mogą być do tego użyte jeżeli brak jest dział przeciwpancernych. Tej inicjaty w artylerii nie było. Główny mankament jednak to zbyt mała ilość artylerii w wielkich jednostkach. Kawaleria to element zaczepny i w tym była ona dobrze wyszkolona, należało tylko usunąć z regulaminu szarżę. Zresztą nasze regulaminy walki były archaiczne. Nie będę omawiał innych rodzajów wojsk, zatrzymam się tylko przy temacie wojsk łączności jako specjalnie mnie interesującym a to z racji, że sam byłem łącznościowcem. Łączność to sprzęt. Wyszkolenie żołnierza w posługiwaniu się nim, nie przedstawia trudności nie do pokonania. Głównym zarzutem będzie tutaj, to brak sprawnego nowoczesnego sprzętu. Mieliśmy już wzory które stosowane były w innych armiach ale nikt nie ruszył z martwego punktu. Główny zarzut to brak fachowego przygotowania w śród oficerów w dództwie łączności armii. Nie wiem kto ich selekcjonował, ale była to paka karierowiczów

Czego możemy żądać w takim układzie. Postęp rozwoju sprzętu łączności szedł ślamażarnie, wogóle nie było racjonalnych pomysłów w tym kierunku, zresztą kto wyszkolenie techniczne w dziale budowy linii stałych, kablerstwa centralpocztowych wzmacniaków itd. zaniedbane miał to inicjować. Po dwudziestu latach wprowadzono pierwsze radiostacje na szczeb dywizyjny ale nie były one użyteczne w należytym stopniu. Sprzęt telefoniczny dobry ale ciężki, niewiele się zmienił od pierwszej wojny światowej. Ciężkie nieużyteczne w warunkach polowy aparaty Juza. Chciano jeszcze stosować aparaty sygnalizacyjne optyczne tarcze sygnalizacyjne, ba nawet gołębie pocztowe w gołębnikach ruchomych. Było to wyposażenie zupełnie nieużyteczne i tłumaczyć można było to tylko zupełną bezmyślnością. W pewnym okresie wyprodukowano specjalne wozy telefoniczne. (cały czas do tych celów używaliśmy podwód) Miałem na próbie pierwszą partię tych wozów i miałem dać ich ocenę. Po pierwszych ćwiczeniach, dwa dni ściągali te wozy z terenu, wyleciały wszystkie tarcze kół (złe tłoczenie) Bardzo krytyczne sprawozdanie sporządziłem o tych pojazdach. Były to wozy przegubowe na wzór jaszczyk artyleryjskich, ale co dobre w artylerii może nie odpowiadać potrzebom łączności. Ktoś jednak miał ambicje artyleryjskie.

Duży ciężar pojazdu a brak miejsca na załadowanie, trudne przekraczanie przeszkód terenowych, konieczność równomiernego obciążenia pojazdu, co nie zawsze można utrzymać w warunkach polowych. Na domiar złego radiostacje dywizyjne były w ten sam sposób rozwiązane przegubowo, nie wiadomo po co, a woźnica siedział pod ogonem konia i w każdej chwili mógł być przez niego kopnięty. Radiostacja którą można było nosić na plecach, wiózł ciężki pojazd, przy tym generator zasilający nadajnik napędzany siłą ludzkich mięśni. Radiostacji do łączności dywizji z armią wogóle nie było. Najistotniejsza potrzeba zupełnie zaniedbana, to już zupełne ignoranctwo. Nic dziwnego, że wielkie jednostki pogubiły się po zniszczeniu środków telefonicznych. Za to wszystko odpowiadał tylko dowódca łączności armii pułkownik Cepa. Nikt go z tego nie rozliczył, zawsze umiał pływać na fali koniunktury. Ocena moja szkolenia kadry dowódczej jest również krytyczna. Krańcowo oceniając oficer w normalnym trybie tylko po szkole podchorążych mógł awansować do stopni generalskich. W oficerskich stopniach wyższy, mam na myśli generałów, nie było szkolenia wogóle, tylko kontrolne

gry wojenne, dla wykończenia niewygodnych. Ćwiczenia szkieletowe i manewry. Brałem udział w wielu tego rodzaju zajęciach. Byłem poprostu takim oficerem etatowym do pomocy wielu oficerów starszych łączności, lub jako dowódca oddziałów biorących udział w takich ćwiczeniach. Opowiadania o takich ćwiczenia często były niepozbawione humoru. Z zasady takie ćwiczenia opracowywali oficerowie z otoczenia organizatora, którzy właściwie do tego rodzaju zadań nie byli przygotowani. Stopnie średnie major, pułkownik, również nie mieli jakiegoś szkolenia przygotowawczego, ~~małe kursy~~ wszystko zamykało się w ramach ćwiczeń i grach wojennych. Kapitanowie mieli paru miesięczny kurs dowódców batalionów a starsi porucznicy, kurs dowódców kompanii. Wszyscy oficerowie nie byli objęci tymi kursami. Byłem na obydwóch takich kursach, stracony czas, poziom wykładowców niższy od poziomu słuchaczy, czasem wykłady wzbudzały uśmiech lub politowanie. Jedyna korzyść to czteromiesięczny wypoczynek. Wyższa szkoła wojenna /uczestnicy porucznik, kapitan/ zakładała przygotowanie oficerów ~~op~~ sztabu dywizji, to jest pomocniczego personelu dowódcy dywizji a więc oficerowie oddziałów ewentualnie szef sztabu.

Dużo razy brałem udział w ćwiczeniach wyższe szkoły wojennej i zapoznałem się z jej systemem i zakresem szkolenia ale więcej ta szkoła, to znaczy jej absolwenci, mieli celów ambicjonalnych a niżeli wiedzy. W tych właśnie okolicznościach poznałem gen. Kutrzebę, robił dobre wrażenie a ponadto był to człowiek wiedzy wojskowej. Mankamentem zasadniczym w korpusie oficerskim był brak tendencji do zdobywania wiedzy, nie było komu dać takiego nastawienia, ba nawet wyjazdy zagraniczne oficerów były niechętnie widziane i natrafiały na trudności. W ogólnej mojej ocenie, w stosunku do posiadanych stopni, korpus podoficerski był lepiej przygotowany do swojej pracy w wojsku a niżeli korpus oficerski. Korpus podoficerski przez długoletnie swoje doświadczenie był dobrym szkieletem armii. Napewno nasunie się pytanie, czy ty piszący te oceny byłeś dobrym oficerem. Nie wiele odskoczyłem od innych, ale zaletą moją był to, że szukałem zawsze nowych rozwiązań, i to w każdej dziedzinie. Za to oceniano mnie, jak już wspomniałem, że lubię zbyt dużo eksperymentów, ponosiłem konsekwencje. U podwładnych zawsze miałem autorytet, nie ten służbowy lecz rzeczywisty,

zawsze odmawiałem szacunek nawet po wielu latach. Nikt mnie nie omijał a wręcz odwrotnie, uważał za zaszczyt, że ten szacunek mógł mi okazać i to w każdej sytuacji. Jednej rzeczy, której nienawidziłem w wojsku, to stukanie obcasami i meldunek posłuszny/relikt armii zaborczej/ dlatego też myślę, że nie byłbym dobrze wybrany przez nich wódz. Mimo woli nasuwa się również pytanie, czy w tym stanie armii, moglibyśmy zakończyć lepiej tę fatalną kampanię trzydziestego dziewiątego roku. Odpowiedź nie jest łatwa. Na ten temat historycy napiszą wiele prac, ale wszystko to będzie, cóż byłoby gdyby było. Wiele tych prac jużczytałem ale wszystko, to są usprawiedliwienia lub pokpiwanie wszystkich i wszystkiego. Ja również dołączam się do nich. W naszych rozważaniach wojny, posługiwaliśmy się przykładami pierwszej wojny światowej ewentualnie kampanią 20-go roku. Wzory francuskie bardzo zaciążyły na naszym systemie rozważań taktycznych. Brak było umysłów światłych przewidujących nisko że wszystkich cechował głęboki patriotyzm. W pierwszym rzędzie bardzo krytycznie musimy oceniać marszałka Śmigłego Rydza i nikt z tego go nie usprawiedliwi, przegrał

fatalnie i to nie tylko na polu bitwy ale i w przygotowaniu armii tak pod względem wyposażenia jak również organizacji. Wyposażenie armii można tłumaczyć brakiem zasobów materialnych, ale nie całkowicie. Trzeba było przejść na sprzęt tańszy ale o większej ilości. Wyszkolenie i organizacja winna być jego domeną i brak jakiegoś istotnego widzenia całkowicie degraduje go do przeciętności. Taką opinię o nim miałem od mojego przyjaciela, który znał go bliżej z legionów, nie pomylił się w tej opinii ani na jotę. Weźmy dla przykładu odcinek organizacyjny. W wielkich jednostkach mieliśmy dywizja, armia. To też przy wszelkiego rodzaju działań wojennych były tak zwane grupy operacyjne, mówiąc nawiasem bez zorganizowanej łączności, ulubiony konik wszystkich szczebli dowodzenia. Przy składaniu kolumn takich grup były zawsze kłopoty. W czasie pokoju można było sobie z tym poradzić, nikt nie strzelał, ale w czasie wojny to jeden bałagan. Wchodziły do dowodzenia nieznane oddziały i to wszystko bez łączności albo ad hoc zorganizowanej łączności, co dezorganizowało łączność. Dlaczego nie stworzyć stałych jednostek dowodzenia pośrednich? Pułki piechoty ni brygad ni pułk przeciążone nadmiarem taborów.

Tak jak było w organizacji tak było i w prakt
działań. Armia nieruchliwa ciężka, trudn
w dowodzeniu a przede wszystkim brak
środków dowodzenia, łączności. Fatalny
sposób dowodzenia przez dysponowanie
i interwencje w oddziałach podległego dowód
kamuflowanie inicjatywy, ba nawet jej tępien
u podwładnych, stwarzało fatalną sytuację
w dowodzeniu. W pewnym sensie można
to położyć na karb błędnego wychowania dowód
Może nie byłoby ono ~~nie~~ tak błędne gdyby
dowódcy do znacznej przełożeni stali na
odpowiednim poziomie. Ten fatalny
bieg sprawy w przebiegu wojny zaczął się
właśnie od najwyższego szczebla. Zacofany
bieg wypadków na górze armii szybko prześ-
kał w dół. Tylko część dowódców o nowym
kręgostupie, stało na swoich stanowiskach
do końca, ci przejdą do historii jako przy-
kładowe i wyróżnione jednostki, przejdą
nawet jako bohaterowie narodu. Było
ich dużo, którzy nie ulegli pokusie. Tylko
część sztabów, balast składów, karjerowicze
zgięli się pod ciężarem niebezpieczeństwa
i opuścili swoje stanowiska do nich należał
naczelny wódz. Ciężkie do oskarżenia.
Jak inaczej mogę to oceniać podwładni
którzy dla obrony ojczyzny mogli oddać swoje
życie i chcieli walczyć do końca. Oni mogą to prz

Również należy obciążyć bezpośrednio winą naczelnego dowództwa za brak przygotowania sztabu głównego. Niełe dzieł wydano o pracy sztabów i dowództw znanych strategów. Należałoby żądać aby oficerowie pracujący na tych stanowiskach, dzieła te znali, ale czy je znali? Jeżeli zaś tak, to wynika z tych które one zawierają, nie wprowadzili w życie. Sztab tworzy się, dojrzewa, przez wiele lat. To w pewnym sensie usprawiedliwiałoby nasz sztab, ale lat dwadzieścia, to okres który powinien wpłynąć na pewien poziom sztabu. Faktycznie rozpoczęliśmy kampanię bez sztabu, już od pierwszego dnia akcji, sztab się pogubił. Oddziały biły się bohatersko, sztab nie pomagał a w wielu wypadkach przeszkadzał, wprowadzał zamieszanie. Za taki stan może odpowiadać tylko marszałek Rydz Śmigły.

Rozdział IV.

Na granicę udałem się po raz drugi w marcu 1940 roku. Wyjazd ~~nie~~ również nie dał rezultatu. Trafiłem na granicy w miejscowości Bukosko na drugi dzień po obławie jaką niemcy przeprowadzili w tej miejscowości, w poszukiwaniu chętnych do przejścia granicy. Przewodnik nie chciał ze mną rozmawiać, myślał o prowokacji z mojej strony. Po rozmowie dłuższej nabrał do mnie przekonania i odłożył spotkanie

za kilka dni. Na granicę pojechałem ponownie na początku kwietnia. Ta moja trzecia wyprawa doszła do skutku. Czwartego kwietnia w nocy wyszedłem z Sanoka, udając się do wsi Bukosko, na miejsce zbiórki skąd miała wyruszyć cała grupa. Nikt nie wiedział ilu ludzi będzie liczyć ta grupa. Wiadomość przekazywali znajomi znajomym, toteż ludzie napływali do chwili wyjścia. Przewodnicy zażądali dostarczenia broni. Jako przyczynę, podawali że ukraińcy dość często napadają, niemców zaś należy trzymać w ryzach. Zastosowaliśmy się do tych życzeń. Najbliżej mieszkający przynieśli broń. Mieliśmy sześć karabinów parę pistoletów i kilka granatów. Dom na miejsce zbiórki odbywał się nocą. Było ciemno, z trudnością odnalazłem drogę którą należało się udać na miejsce zbiórki. Po jakiejś godzinie marszu zamajaczyła przede mną kępa drzew i poruszające się w niej cienie postaci ludzkich. Trafiłem na miejsce. Zbieraliśmy się w lesie jak powstańcy styczni nastrój poważny, trochę niepokoju na twarzach przybyszów. Nadszedł przewodnik i poprowadził nas do samotnej, pustej osady góralskiej. Tu jeszcze oczekiwaliśmy na resztę napływającą. Przesiedzieliśmy tutaj całą noc i dzień. Starali zorientować się kto są ci ludzie. Przeważnie

byli wojskowi, trochę ludzi młodych i jedna kobieta. Byłem przeciwny aby brać kobietę na tak ciężką przeprawę, znałem góry a tymbardziej, że w wyższych partiach gór leżała gruba warstwa śniegu, byliśmy przecież bez nart, marsz ciężki i nie wiadomo jak długi, pomimo że przewodnicy obiecali przeprowadzić nas na Węgry w ciągu jednej nocy. Kobieta upartała się, podobno miała jakąś misję. Przed wyjściem z mieszkania zjawili się przewodnicy. Jeden z nich przed wojną był policjantem w tych stronach. Drugi, bez jednego oka, to koniokrad. Trzeci, z którym ja nawiązywałem kontakt, to Polak który powrócił z Kanady i również miał za sobą jakąś przeszłość. Optat nie żądali wygórowanych, kto co mógł to dał, wyglądało to raczej na patriotyczne pobudki, jednak z czegoś żyć trzeba. Po załatwieniu tych formalności i omówieniu przejścia przez granicę, ustawiliśmy się w kolumnę trójkową. Było nas 60 osób. Rozpoczęliśmy marsz. Na czele i na końcu kolumny nieliśmy krótkie pistolety i granaty ręczne. Po zbliżeniu się do pierwszej wioski, przed nami zjawił się jakiś mężczyzna po cywilnemu ubrany i oświetlił kolumnę latarką elektryczną. Natychmiast zawróciłem broń. Przewodnicy ostrzegli, że to są ukraińcy. Przewodnicy zmienili kierunek marszu, tak

parę minut usłyszeliśmy zbliżających się ludzi, nawołujących do zatrzymania się, oddały się strzały rewolwerowe. Kolumna rozbiegła się po polu, odpowiedzieliśmy ogniem. Ścigający zatrzymali się. Wchodziliśmy do lasu i zaczęliśmy się zbierać. Ze stanu grupy brak było dziesięć osób. Chwilę czekaliśmy, nikt z zaginionych nie dotarł. Dowiedzieliśmy w późniejszym czasie już na Węgrzech, że po oddaleniu się mogli nas znaleźć i zawrócili. Niektórzy z nich przeszli drugim rzutem. Szliśmy lasem całą noc aż osiągnęliśmy granicę polsko-czeską. Zatrzymaliśmy się tu, aby pożegnać ziemię polską, niektórzy dotykali ją rękami inni zabierali grudki aby od tej ziemi się nie oddalać. Po małym odpoczynku, dalszy marsz. Teraz idziemy już tylko gęsiego. Brniemy w śniegu po kolana. Co jakiś czas czołowi zmieniają się, aby torować ścieżkę. Obuwie przemokło kompletnie a woda krzyżyta swobodnie między palcami, wydając charakterystyczny dźwięk. Co jakiś czas trzeba było zdejmować buty i wyżymać skarpetki. Buty miałem dobre narciarskie ale to też nie pomagało. Doszliśmy do przełęczy Łupkowskiej /Dukielskiej/ i wzdłuż granicy podążaliśmy w stronę Węgier. Nabraliśmy pewnej śmiałości i poruszaniu się po granicy, niemcy nie pokazywali się, chociaż byliśmy pewni, że wiedzą o naszym wyjściu do grani

Jak później dowiedzieliśmy się, niemcy byli przerażeni na placówkach, zablokowali się i żaden patrol nie wychodził na granicę. Posuwaliśmy się wzdłuż pasa granicznego. Marsz był ciężki, niektórzy wykazywali duże zmęczenie, naszą kobietę musiało dwuch uczestników prowadzić pod ramiona. W pewnym momencie zasygnalizowano od czoła że pojawił się patrol. Nim wiadomość dotarła do końca kolumny już rozległy się pierwsze strzały. Odpowiedzieliśmy ogniem. Wszystko to działo się, już na bliskich odległościach. ~~Z odl~~ Jeden z naszych członków wyprawy, z odległości może dwudziestu kroków strzelał do słowaka, nie trafił, równocześnie podbiega drugi nasz kolega, chwyta za kołnierz słowaka, daje mu kopniaka w dupę i zabiera karabin. Natknęliśmy się na patrol słowackie straży granicznej, który nierozważnie wszczął utarczkę. Nastąpił krótki sąd nad zabranymi słowakami. Trzeba było rztrzygnąć, roztrzelać lub zabrać ich ze sobą aż do granicy węgierskiej. Zwolnić ich nie można było, gdyż mogli zawiadomić swoje placówki a te z kolei mogły zorganizować obławę. Stwarzało to dla nas dużą groźbę. Jeńcy błagali na kolanach aby darować im życie. Po naradzie, zabraliśmy ich ze sobą. Dzielili wszystkie trudy z nami ale byli dodatkowym obciążeniem, gdyż trzeba było ich pilnować.

Następną noc musieliśmy już odpoczywać. Zeszliśmy w niższe partie lasu, rozłożyliśmy ognisko i wiedzieliśmy na gałęziach świerkowych można było się zdrzemnąć. Nikt nie posiadał ciężkiego okrycia, do tego co chwila trzeba było podrywać do ćwiczeń gimnastycznych dla rozgrzewki. Po zbliżeniu się do granicy węgierskiej, może w odległości trzech kilometrów od niej, zwolniliśmy jeńców i oddaliśmy karabiny bez amunicji. Około dwa kilometry od granicy zaatakowały nas placówki słowackie. Widzieliśmy jak słowacy zabiegają nam drogę. Z najbliższej wsi podbiegł do nas żołnierz słowacki nie uzbrojony i zaczął tłumaczyć, że niema sensu przekraczać granicy, że będziemy mogli uniknąć odpowiedzialności. Pewna część ludzi była tak poniewierana, że zaczęła się wahać a nawet decydowała się na pozostanie. W tym czasie obok mnie leżał kolega z karabinem i zapytał — zabić go? — Odpowiedziałem — nie —, nie wiadomo jak cała ta historia się zakończy i nie możemy narażać tych którzy zostaną. Zbliżyłem się do grupy stojącej, krzyczałem na nich, popychałem ale część z nich była tak zmęczona, że słowa moje nie skutkowały. Część odeszła, pozostało pięć osób w tym nasze kobieta. Pobiegłem w stronę lasu jak jako ostatni, dopędziłem jeszcze dwóch kolegów ale utraciliśmy kontakt z całą grupą.

Zmierzch zapadł szybko. Zbliżała się trzecia noc marszu po bezdrożach zasypanych grubą warstwą śniegu. Zima ta nie była dla nas łaskawa. Zastanawiałem się, czy wytrzymamy jeszcze tę noc. Bliskość granicy dodawała nam otuchy. Najpierw musiałem się zorientować jaki kierunek przyjąć aby dotrzeć do granicy, ustaliłem kierunek według gwiazd, którego musiałem się trzymać. Noc gwieździsta spokojna. Śnieg skrzypiały w ciągu dnia, zostały ścięty na powierzchni, łamał się pod stopami, wydając chrzest słyszalny dość daleko, co było niekorzystne przy przekraczaniu pasa granicznego. Obrawszy kierunek, idziemy nasze trójka na przełaj. Minęliśmy pasmo lasu dość dużą polanę i znowu weszliśmy do lasu. Po pewnym czasie weszliśmy na wycięty pas lasu. Domyślam się, że to granica, szukam słupa granicznego, nie mogę go znaleźć, domyślam się, granica niedawno utworzona, nie było czasu na ustawienie słupów granicznych. W tym momencie usłyszeliśmy — stój —. To nas nie zatrzymało lecz dodało sił. Zbiegliśmy w dół na stronę węgierską. Pory strzałów za nami ale do nas upewniło to, że już granica. Po kilkudziesięciu krokach stanęliśmy aby trochę odpocząć, nie mieliśmy już sił, aby o krok dalej się posunąć. Cisza nikt nie nadchodzi, jeszcze nasłuchujemy, cisza. Powoli zeszliśmy

w dolinę strumyka, tu już śniegu nie było, nikt nas nie ścigał. Po przekroczeniu strum trzeba było wspinać się pod górę, teer zboże nie oświetlone, usiedliśmy na chwilę aby odpocząć. Moment wystarczył abyśmy wtrójk zasnęli snem kamiennym. Spaliśmy pora godzin. Zboże ciemne nie zdradzało naszej obecności. Obudziłem się pierwszy. Stwierdz że nie wiem gdzie jestem i co robiłem. Począ przywoływać myśl, gdzie jestem i co robiłem przed snem. Chwila i już jestem w pełnej przytomności. Budzę towarzysy, omijam ten sam proces. Zbieramy się i idziemy d Natrafiamy na drogę bitą, idziemy tą drogą Widzę że jeden z kolegów słania się jak pijany Pytam - co mu jest -, mówi mi, że jest tak stra i głodny, że nie wie co się z nim dzieje. Oddaję m ostatni kawałek posiadanego chleba, zjadł, d go pokrzepiło. Idąc tak, zauważyliśmy nikł światło, musi tam być osada, zbliżamy się do domów, jakaś kobieta zamajaczyła przed drzwiami. Pytamy - czy to Węgry - odpowiada - tak, koledzy wsi są w środku chaty -. Wchodzimy i spotykamy całą naszą grupę która szła inną drogą. Chcę napić się czegoś ciepłego, po dwóch dniach i trzech nocach marszu, niema nic, wszystko wypili nasi poprzednicy. Jest tylko ciepła woda po ugotowaniu kartofli w łupach. Jeżeli mnie być co

gorszego, to nie bardzo można sobie wyobrazić, wypiłem cały duży garnusze i rzuciłem się na słomę aby się przespać, była północ. Obliczam, ile mogliśmy spać nad strumykiem, prawdopodobnie trzy godziny. Rano budzi nas węgierska straż graniczna. Zbiera nas na posterunku. Następują pytania o przyczynach przekroczenia granicy oraz gdzie mamy broń. Wyrzuciliśmy poprzedniej nocy, po wejściu na tereny węgierskie. Niemcy powiadomili straż węgierską o naszym wyjściu, jakoby była to kompania uzbrojona, żądali odesłania nas. Po pewnym oczekiwaniu dowiedzieliśmy się o decyzji. Mamy być wyrzuceni do granicy. Gromadzenie nas przebiega z kłopotem, niektórzy starają się ukryć a jeszcze gorszy kłopot przy prowadzeniu nas do granicy. W czasie marszu znikają nasi koledzy. Około stu metrów od granicy, żołnierze pozostawiają nas i wracają na placówkę. Czekamy niezbyt długo. Zdecydowani jesteśmy udać się wgłąb Węgier. Krótka decyzja. Udajemy się w dalszą drogę małymi grupkami aby nie zwracać na siebie uwagi. Rozeszliśmy jeszcze w lesie przygranicznym. Do mnie dołączyło trzech kolegów, ~~t~~ podoficerowie piechoty, trochę za duża grupa ale idziemy. Mijamy wieś na przeciw nas nadjechał na wozie żandarm, poznał, że jesteśmy polakami, chce nas zabrać na posterunek. Odpowiadamy, że właśnie idziemy na posterunek

aby tam się zameldować, rozmowa odbywa się łamaną niemczyzną. Szczęście, uwierzy nam a może nie chciało mu się wracać. Idziemy dalej, oczywiście na posterunku nie zjawiliśmy, poszukujemy środków lokomocji aby jak najszybciej odsunąć się od granicy, i więcej do niej nie wracać. Dowiedzieliśmy się o kolejce leśnej i tam skierowaliśmy się. Inni nasi koledzy myśleli tak samo i przy kolejce zebrało się nas jedenastu. Zabrano nas na wagoniki ale zawiadomili żandarmerię, węgierskie władze miały również donosicieli. Żandarmi oczekiwali już nas na torach, zatrzymali „ciuchcię". Kazali schodzić na posterunek. Ciężko odbywał się przebieg zbierania tej grupy, stawialiśmy opór. Gruby otyły żandarm chwycił kamień i zapędzał opornych za ogrodzenie posterunku. Uszedłem jako jeden z pierwszych, zauważyłem, że dom ma korytarz przelotowy, przemknąłem korytarz, przebiegłem ogród z tyłu domu, przeskoczyłem płot i uszedłem żandarmom nie zauważony. Za mną wykonali to samo dwaj inni. Podbiegamy do rzeki górskiej wydaje się nie głęboka. Dwaj inni którzy wybiegli ze mną w pewnej odległości ode mnie, przekraczają już rzekę, widzę, woda niewiele poza kolana, ale zaraz łapią ich żandarmi. Odbywa się jakaś rozmowa, korzystam z tego momentu zamieszania, wchodzę

do rzeki i tracę grunt pod nogami, płynę na przeciwległy brzeg, jestem w ubraniu zimowym, mam pewne trudności z płynięciem po paru metrach, chwytam grunt i wychodzę na brzeg. Na drodze wzdłuż rzeki stoją ludzie miejscowi, wchodzę między nich ociekając wodą. W tym momencie przechodził listonosz, kiwa ręką abym z nim poszedł, udaję się w tę stronę ale patrzący na to chłopi kręcą głowami abym nie szedł. Była to Ruś Zakarpacka, zajęta przez Węgry. Wahając się poszedłem za tym listonoszem. Nie zawiódł. Zaprowadził mnie do jednego z końcowych domów i umieścił u gospodarza. Wysuszyłem tu ubranie i przenocowałem. Rano gospodarz, był rusinem, wyprowadził mnie na drogę i wskazał jak mam iść dalej, pożegnałem go. Kierowałem się do Ungwaru /Użhorod/. Nie szukałem już środków transportu, szedłem pieszo w pojedynkę, omijając miejscowości. W czasie drogi spotkałem jednego z naszych kolegów, który wybrał ten sam sposób podróży. Umawiamy się, idziemy w pojedynkę ale w bliskości siebie aby dać na czas ostrzeżenie. Szedłem pierwszy, w pewnym momencie zmuszony byłem zejść na stronę, żołądek reagował na nienormalne odżywianie. Mój współtowarzysz mija mnie i on teraz prowadzi, cały czas widzę go. Wszedł już do wsi

zaczepił go żandarm, czekam co będzie dalej, zabiera go na posterunek, omijam wieś. Pod wieczór docieram do Ungwaru. Dowiedzieliśmy się już w obozie, że żandarmi zorganizowali aż trzy linie do wyłapywania nas ale mimo to wszyscy dotarli do obozu polskiego. W Ungwarze niedziela, dużo ludzi na ulicy, świątecznie ubranych, idę głównym corsem, trochę oberwany dół spodni, widać było, że to niezwykły przybysz. Szczęście mi sprzyjało nikt mnie nie zaczepił. Przekraczając most na rzece zaczepiłem dwie dobrze ubrane żydówki i zapytałem, gdzie jest konsulat polski, wskazały mi. Już było zupełnie ciemno kiedy zapukałem do zamkniętego konsulatu. Ktoś mi otworzył i wprowadził do środka. Powiedziałem kim jestem i jaki jest cel mojej podróży. Prosiłem o wodę do mycia i ogorącą herbatę, podano mi. Zdjąłem buty i wymyłem nogi ale włożyć butów już nie mogłem, tak były spuchnięte nogi. Przenocowano mnie i dano wyżywienie, otrzymałem również bilet kolejowy na wyjazd do obozu cywilnego w Zahony. Tu zanaleźli wszyscy z naszej grupy wyprawy. Czwórka która została w Słowacji łącznie z kobietą, dołączyło po paru dniach. Kobieta bardzo ciężko przeszła tę drogę, obtarła uda i dwa tygodnie musiała się leczyć. Ja odczułem

również skutki podróży. Przeziębiłam się bardzo, usta miałam obłożone dużymi strupami. Szybko jednak przyszedłem do siebie. Z obozu przerzucono nas do Budapesztu do ośrodka rozdzielczego, mieszczącego w Matias Ter. Z tąd odjeżdżamy na granicę Jugosłowiańsko-Węgierską do miejscowości Bares, gdzie był ośrodek przerzutów przez Drawę do Jugosławii. Jugosłowianie przyjmują nas gościnnie, nie musimy kryć naszego alibi. Do Zagrzebia przybywamy 30 kwietnia 1940 roku. Otrzymuję grupę ludzi, pieniądze na podróż i odjazd do Splitu. Stare miasto Split położone nad Adriatykiem, znane jeszcze z czasów rzymskich, pięknie skomponowane w wybrzeże, stwarzało uroczą panoramę powiązaną z morzem. Ośrodek wypoczynkowy umieszczony był w hotelu Jadranska Straża. Nie był to luksusowy obiekt ale nam wystarczył dach nad głową. Pobyt tutaj trwał parę dni w oczekiwaniu na statek. Po zamknięciu granicy przez Włochy dla przejazdu naszych turystów, cała ewakuacja odbywała się drogą morską. Dnia 8-ego maja o godzinie 23^00 załadowano nas na statek „Patris". Zaraz wypłynęliśmy w morze. Rejs odbył się bez przygód. Morze spokojne, co zdarzało się na tej trasie, stwarzało dobre warunki żeglugi. Dnia 12-ego maja o godzinie 6^00 przypłynęliśmy do Marsylii.

Jeszcze przed wyjściem w rejs, na pogadankach, otrzymaliśmy wytyczne zachowania się we Francji jak również ocenę armii francuskiej która miała być dla nas wzorem. Po przycumowaniu statku zjawił się oficer armii francuskiej, który miał nas przyjmować. Wrażenie zrobił na nas niezbyt pochlebne niedbale ubrany, ~~...~~ nieodzowny monokl, to wszystko nie pasowało do siebie. Żołnierz pełniący wartę w porcie robił takie samo wrażenie, był tylko bez monokla. Gdzież ta wzorowa armia francuska? ale nie miałem szczęścia zobaczyć jej do końca mojego pobytu we Francji. Im bliżej ją poznawałem tym gorszą miałem o niej opinię. Zgrupowano nas w obozie wojskowym Carpiagne, niedaleko od Marsylii i w bliskości morza Śródziemnego. W obozie tym oczekiwaliśmy na tak zwaną weryfikację stopnia oficerskiego. Zgrupowano tu tylko oficerów a dowódcą ze strony polskiej był płk. Sosabowski. Aby nie spędzać czasu bezczynnie, urządzano nam wykłady i ćwiczenia wojskowe. Była to parodia zajęć dla oficerów. Jeden z takich wykładów o broni maszynowej wyglądał dość śmiesznie. Ppor. armii francuskiej (zawodowy) przyniósł rkm i rozpoczął wykład. Parę słów o częściach składowych broni, nie szło mu to łatwo, więc zaraz przeszedł do instruktarzu strzelania, podnosił

i kład celownik wykrzykujący: fint, la la, fint, la, la, na tym wykład został zakończony. Jakiż to był sens, taki wykład o broni dla starszych oficerów, którzy tę broń znali na wylot, to był wstyd przed samym sobą. Ci co organizowali i prowadzili te wykłady i ćwiczenia stali na niższym poziomie od słuchaczy. To było upokorzenie. W czasie pobytu w obozie zachorowałem na wyrostek robaczkowy. ~~Odwiezio~~ To był już trzeci przypadek w moim życiu. Odwieziono mnie do szpitala wojskowego w Marsylii. Dostałem się pod opiekę dobrego lekarza wyleczył mnie na całe życie bez uciekania się do operacji. W czasie pobytu w szpitalu był nalot na port w Marsylii, jakiś podoficer francuski stał na dziedzińcu i krzyczał: zamykać okna! zamykać okna! robiąc wrażenie że przez otwarte okno bomba może wpaść do pokoi szpitalnych, to jeszcze jeden przyczynek do przygotowania armii francuskiej. Formalności werefikacyjne dotyczące mojej osoby zostały zakończone i zostałem skierowany do obozu oficerów łączności w Luçon nad Atlantykiem. Rozkład armii francuskiej postępował już gwałtownie, żołnierz nie chciał walczyć, szedł poprostu do domów. Klęska była nieunikniona. Krytyczna ocena naszej armii złagodniało, wstydliwie zaprzestano o tym mówić. W tym czasie armia niemiecka idzie od zwycięstwa do zwycięstwa,

Przekracza Holandię, Belgię, zadaje anglikom klęskę pod Dunkierką, osiąga Paryż. Armia niemiecka prze w głąb Francji. Położenie nasze w Luçon staje się zagrożone. Zbieramy nasze skromne manatki i dziemy w dalszą wędrówkę na południe Francji. Dotarliśmy autobusami do ujścia rzeki Garonny. Marynarka francuska nie chciała nas przewieźć na drugi brzeg rzeki dopiero po awanturze marynarze nas przewieźli. Po drugiej stronie mały port rybacki Poiate de Grave. Tu dowiadujemy się o możliwości ewakuacji do Anglii. Przybyła już część naszego rządu z Paryża, czekamy na okręty. Tu spotyka nas przykry incydent od naszego alianta. Francuski batalion karabinów maszynowych zamyka półwysep i otacza nas z zamiarem oddania nas niemcom, widziałem te karabiny maszynowe na własne oczy, dopiero nasza interwencja u dowódcy francuskiego batalionu i zagrożeniem, że wezwiemy naszą brygadę zmotoryzowaną gen. Maczka, która ładowała się w bliskości, dowódca francuski zebrał batalion i odmaszerował. Ładowanie odbywało się z promów, gdyż okręty nie mogły przybić do brzegu. Na brzegu zebrało się kilka tysięcy ludzi do ewakuacji. Trzy okręty zabierały uchodźców i odpływały w morze. Wszedłem na ostatni okręt przewieziony jednym z ostatnich promów. Na okręt wchodziło się po trapie. Zmęczony po chorobie, położyłem się w środkowej części ładowni, czekając na dalszy bieg wypadków.

Kiedy ulokowałem się na okręcie, nadleciał pojedyńczy bombowiec niemiecki i zrzucił pięć bomb na nasz okręt. Mieliśmy szczęście pierwsza upadła parę metrów od burty, tylko wodę wyrzuciła na pokład, następne padły trochę dalej, na okręcie było około 2.000 uchodźców. Wyobrażam sobie masakrę, gdyby bomby te trafiły w śródokręcie. W tym czasie ukazał się myśliwiec francuski ale nie fatygował się ścigać nieprzyjaciela, zabawił się akrobacją i wylądował. Przykre wrażenie, jeszcze jedna okoliczność świadcząca o tej „bohaterskiej armii francuskiej". Do końca wojny nie miałem okazji aby zdanie to zmienić. Dnia 22 czerwca 1940 roku opuściliśmy Francję. Okręt nasz s/s Clan Ferguson skierował się na Atlantyk samotnie omijając kanał La Manch daleko od strony zachodniej, aby uniknąć ataku łodzi podwodnych. Przy zbliżaniu się do wybrzeży brytyjskich dozorowało okręt ~~lotni~~ samolot angielski. Dotarliśmy do portu Liverpool dnia 25 czerwca rano. Zostaliśmy ulokowani na stadionie sportowym i tego samego dnia odjechaliśmy koleją do Glasgow. Nowy dla nas kraj nowe i mało nam znane społeczeństwo. Nie witano nas owacyjnie ale każdy obywatel wysp brytyjskich nam współczuł i śpieszył z pomocą. Z Glasgow odtransportowano nas do różnych

obozów zmontowanych prowizorycznie. W obozie takim było wszystko co potrzebne jest w normalnej egzystencji człowieka. Namioty, sienniki, krany z wodą, latryny, kuchnie a nawet kantyny. (sklepiki żołnierskie) Jeden z większych namiotów, zwykle przy kantynie, przeznaczony był na lokal rozrywek, produkowały się tu często zespoły wojskowe lub lokalne. Nawet co tydzień przyjeżdżał samochód z pralni i zabierał bieliznę do prania. Nie było wypadku aby komuś coś zaginęło. Przysyłano nauczycieli języka angielskiego albo my szliśmy do jakiejś szkoły na lekcje. Anglicy gorąco namawiali aby uczyć się ich języka. Starali się wpływać na nas uspokajająco. Widać przecież nasze zdenerwowanie tymi wszystkimi przeżyciami. My zaś denerwowaliśmy się tym angielskim spokojem. Uważaliśmy że niemcy zaatakują każdej chwili wyspy brytyjskie. Anglicy byli innego zdania, realizowali swój plan i nie przejmowali się naszymi uwagami. Radzili nam odpoczywać i uczyć się języka. Myśmy tego nie rozumieli. W swojej naiwności, uważaliśmy że należy zaraz uderzyć na niemców i ich pobić. Myśleliśmy, że jesteśmy najmądrzejsi w strategii i taktyce wojennej. Myśleliśmy, że po czternastodniowym doświadczeniu na polu bitwy, nabyliśmy wiadomości do zawojowania niemców. O naiwności

polska! Anglicy jak anglicy znali swoje braki i nerwi się rzeczywistą wojennego i przygotowywali wojsko do obrony. Nim spostrzegliśmy się dorównali naszym wiadomościom w lejdzicdrinie i dorównali nam, ba nawet wyprzedzili, że żdziwieniu stwierdziliśmy, że musimy od nich się uczyć. Trzeba było wyjeżdżać na różne kursy ale dogonić było trudno, zostaliśmy w tyle. Zapewne nie mieliśmy odpowiednich warunków, ale główna przyczyna polegała na braku należytej oceny ich możliwości i ogólnej oceny sytuacji jaka istniała owym czasie. Zaczęliśmy rozumieć różnicę kultury i to na naszą niekorzyść. Otoczenie wpływało dodatnio na nasze samopoczucie i naszą kulturę. Powoli wchodziliśmy w życie anglosasów. Dochodziliśmy do wniosku, że kultura ich jest najwyższą z pośród znanych nam narodów. A technika? o tym przekonaliśmy się później, że musimy jeszcze dużo pracować, aby zbliżyć się do ich poziomu. Anglicy stali się dla nas wzorem jak należy pracować. Pozwoli zaczęliśmy poznawać życie prywatne społeczeństwa, było ono dla nas bardzo ciekawe, chociaż dla nas czasem może uciążliwe, Przysłowie „my home is my castle" jest rzeczywistością, w całym tego słowa znaczeniu. Życie towarzyskie skupia się tu przeważnie w hotelach, Hotel jest jakgdyby drugim domem. Tu spotykają się znajomi, koledzy, pary,

tu zawiera się nowe znajomości, tu spędza się
czas dla odpoczynku. Hotel można znaleźć
w najmniejszym miasteczku, nawet w moto
dostępnych miejscowościach. Godziny posiłków
są wszędzie ściśle uregulowane. Wszyscy starają
się do nich stosować. A oto jak wyglądają dobowe
posiłki: rano po obudzeniu się podawana jest herbata
kostki z masłem i dżemem. Po myciu i ubraniu się
schodzimy na śniadanie, które jest podstawowym
posiłkiem dnia. Jako pierwsze danie to soki
owocowe lub kompot, jako drugie - owsianka z mlekiem
lub zastępera jadło, płatki owsiane są gorące
mleko zaś zimne, jako trzecie - jest to danie
najtreściwsze i tu jest dość szeroki wachlarz tego
najczęściej jajka z bekonem, ryba, kiełbaski.
Jako ciepłe danie - herbata z mlekiem i ciastka.
Trzeba podkreślić, że na wyspach pije się prawie
nie herbatę z mlekiem. Zresztą herbata tutaj
jest podawana z wielkim kunsztem i posiada
wspaniały smak i aromat. Godzina jedenasta
herbata i herbatniki. Między pierwszą a drugą,
w naszym pojęciu, obiad bez zupy tylko drugie
danie, mogą być mięsa zimne z jarzynami,
herbata i ciasto. Między godziną czwartą
a piątą - afternoon tea - małe danie mięsne,
ryba i herbata z ciastem. Między godziną szóstą
a ósmą - właściwy obiad i teraz podawana

jest zupa i danie mięsne i herbata. Alkohol pije się przed posiłkiem. Obiad może być zastąpiony kolacją różnica polega tylko na tym że przy kolacji niema zupy. Do kawiarń uczęszczają przeważnie kobiety, ale tu można również nawiązać kontakt z panienką. Spotkania intymne odbywają się w czasie wekendu i to w hotelach. Na taki wyskok on i ona zamawiają pokoje sąsiednie jeżeli to jest możliwe. W nocy odbywa się wędrówka ale zawsze kobieta przychodzi do mężczyzny nigdy odwrotnie. Są organizacje które pilnują moralności i odwiedzają pokoje gości hotelowych. Powoduje to zawsze przykre następstwa, jeżeli zastaną obcą osobę w pokoju właściwego lokatora. Bliżej żyjące ze sobą rodziny odwiedzają się w domach gdzie częstują się herbatą albo drynkiem. Anglicy piją alkohol często ale ~~m~~ w małych ilościach. Piją również dużo piwa w barach. Młodzież bawi się przeważnie raz w tygodniu w piątek wieczorem, sobota wolna. W tym celu każde miasteczko posiada salę tańca w większych miastach jest ich więcej. Wśród społeczeństwa są pewne formy zachowania się i są one ściśle przestrzegane. Uchybienia w tym względzie, powodują tak zwany szoking.

W każdym razie chcąc coś się dobrze na
terenie wysp brytyjskich, trzeba przede wszystk
zapoznać się z tamtejszymi zwyczajami.
Przytoczyłem tutaj tylko niektóre dziedziny
życia ale naprawdę jest ich bardzo dużo
Krótki pobyt na wyspach nie daje należytego
poglądu na całokształt ich specyficznej kultu
trochę innej od kultury kontynentu. W ka
razie aby tam dobrze się czuć, trzeba się
przyzwyczaić do tamtejszych warunków.
Ten okres wyczekiwania na bezpośrednią walkę,
wykorzystywałem na poznanie kraju i ludzi.
W pewnym stopniu ułatwiało mi to, posiadanie
własnego samochodu, który kupiłem z zaosz
dzonych tu pieniędzy. Przejechałem wyspę
od północy do południowych wybrzeży,
zwiedziłem dużo, szczególnie zakątki. Zapo
znawałem ludzi różnych warstw społecznyc
poznawałem ich poglądy i zamiłowania.
Starałem się w ten sposób zabić tęsknotę
za krajem i rodziną. Tęsknota za krajem
nie opuściła mnie nigdy a najbardziej
trudnym okresem, były pierwsze sześć
miesięcy. Przerzucano nas z obozu do obozu
segregowano. Rozpoczęła się organizacja
oddziałów polskich w Wielkiej Brytanii.
W międzyczasie odwiedził nas gen. Sikorski
starał się podnieść naszego podupadłego ducha

Po pięciu tygodniach od czasu przybycia na wyspy, otrzymałem przydział do 10-ej Brygady Kawalerii pod dowództwem gen. Maczka. Część tej brygady ewakuowanej z Francji stanowiła trzon przyszłej jednostki bojowej. Oddziały wchodzące wskład brygady, uzupełniano z tego co zdołało się ewakuować z Francji. Nasz pododdział miał nazwę, 10-ty Szwadron Łączności a pełniłem tam funkcję zastępcy dowódcy szwadronu. Był to ciężki okres pracy wychowawczej dla dowódcy. Żołnierze psychicznie załamany, przygnębiony, daleko od ojczyzny, bez bliskich widoków powrotu do kraju. Każdą pogadankę dyskusyjną trzeba było dokładnie przemyśleć. Żołnierz musiał mieć możność wypowiedzenia swoich uwag i żalów. Takie pogadanki właśnie ja prowadziłem. Miałem wdzięcznych słuchaczy i dyskutantów, lecz w tych wszystkich dyskusjach argumentacja musiała być rzeczowa i logiczna. Pytanie dotykały zagadnienia przegranej, zarzuty dowodzenia, zarzuty z rządzenia państwem. Te wszystkie tematy trzeba było wyjaśnić ale wolno było posługiwać się tylko prawdą. Pogadanek takich miałem bardzo dużo. Efekt był zadziwiający dodatni. Żołnierz wracał do siebie, miałem wielką satysfakcję

Jako oddziały przechodziliśmy wiele reorganizacji i zmiany uzbrojenia. Pełniliśmy funkcje obrony wysp ale to tylko dlatego aby oddalić wrażenie że jesteśmy zbędni. Były to dni nudne, beznadziejność oczekiwania i tęsknoty za krajem. Tak też w tych miejscowościach gdzie kwaterowały oddziały polskie, widziało się nasze mundury na różnych drogach, szli ludzie zasępieni, skupieni, myślami przeniesieni do własnego kraju i swoich rodzin. Z czasem zaczęliśmy wokół siebie tworzyć warunki podobne do polskich. Organizowaliśmy uroczystości świąt narodowych, świąt kościelnych a nie rzadko rodzinnych. Uczyliśmy się języka. Trzeba przyznać że metody nauki języka obcego, anglicy mają doskonale opracowane. Postępy w opanowaniu języka ułatwiało nam nawiązywanie kontaktów z ludnością miejscową. Byliśmy zapraszani do domów na tradycyjną herbatę. Rewanżując się zapraszaliśmy naszych gospodarzy do kawiarni, hotelu na dinner lub do angielskiego baru na podwójną whisky. Czas mijał, nie odczuwaliśmy bezpośrednio wojny ale z każdym dniem wojna dla Anglii stawała się cięższa, niemieckie Luftwaffe codziennie czyniły duże szkody w transporcie morskim.

Odczuwało się pewne braki w zaopatrzeniu. Całe społeczeństwo pracowało pod kątem wojny. Trzeba przyznać, że społeczeństwo to jest bardzo zdyscyplinowane i darzy swoje władze zaufaniem ale również należy podkreślić, że władze państwowe nigdy nie posługują się kłamstwem, iż przy niepowodzeniu i trudnościach dzieli się wspólnie ze społeczeństwem. Wszystko to robiło się nie dla reklamy lecz dla dobra narodu i państwa. Napad Japonii na Amerykę był ostatecznym sygnałem, po którym Ameryka przystąpiła do wojny. Wiadomość tę przyjęliśmy z wielką ulgą. Wiedzieliśmy raczej intuicyjnie, że do napadu, kwestią tylko było, kiedy? Napad ten intensywne zbrojenie wojska, chociaż nie było to jeszcze widoczne na ulicach. Nasze oddziały otrzymały również nowe formy organizacyjne, oraz nowe uzbrojenie. Z istniejących różnych oddziałów polskich na ulicach, została zorganizowana dywizja pancerna. Przyjęła ona nazwę 1. Dywizja Pancerna, pod dowództwem gen. Maczka. Jako odznakę dywizji na rękawach nosiliśmy skrzydło husarii z szyszakiem. Miało to znaczyć nawiązanie tradycji do sławnej husarii polskiej. W walkach, zasłużyła ona sobie na taką tradycję. W kompozycji tej odznaki, również brałem udział, chociaż pośredni

ale sama idea jest właściwie moim projektem. Rozpoczęliśmy organizować szereg kursów, dla zapoznania się z nowym uzbrojeniem. Sam brałem udział na kursie dowódców oddziałów pancernych w Oxford. Zaczęliśmy odczuwać zbliżanie się dnia uderzenia na kontynent. Potrwało to jeszcze jakiś czas. Organizacja przerzutu przez kanał tak dużych mas wojska i sprzętu to wielkie koronkowe przedsięwzięcie. Przeszliśmy jeszcze jedną i ostatnią reorganizację, w której weszliśmy do działań wojennych. Dywizja składała się: z brygady pancernej, brygady piecho, artylerii dywizyjnej, pułku rozpoznawczego, oraz wojsk dywizyjnych jak saperzy, łączność, zaopatrzenie, kompanie sanitarne, warsztatowe, regulacji ruch. Na uzbrojenie zasadnicze przyszły czołgi Szerman a pułk rozpoznawczy czołgi Kromwel. W artylerii dywizyjnej było cztery pułki. Dwa pułki artylerii lekkiej, jeden samobieżny /gąsienicowy/, drugi ciągniony, działa 25-cio funtowe. pułk przeciwpancerny, dywizjony samobieżne i ciągnione, ~~17-sto~~ działa 17-sto funtowe. Pułk artylerii przeciwlotniczej działa Bofors. W Dywizji otrzymałem przydział służbowy, jako dowódca łączności artylerii, obsługę grupy artylerii 2-gi szwadron łączności z batalionu dywizyjnego łączności. Rozpoczęliśmy intensywne

szkolenie zespołowe. Artyleria rozpoczęła ~~d~~ ostre strzelania. Objechaliśmy wszystkie poligony artyleryjskie w Szkocji, Anglii, Walii. Przecinaliśmy kolumnami morzowymi wyspy z północy na południe. Po uzupełnieniu sprzętu do pełnego stanu przeszliśmy ze Szkocji na południe Anglii ostatni raz koncentrując się w obozie wyjściowym do lądowania na kontynencie. Międzynarodowe układy polityczne i ich zmiany interesowały nas bardzo głęboko. Wstrząsem przeżyć dla nas był wybuch wojny Rosyjsko Niemieckiej. Niadomość tę przyjęliśmy z mieszanymi uczuciami, widzieliśmy chmury nad Rzeczypospolitą. Fakt ten został przyjęty z entuzjazmem przez anglików, dawał szybsze nadzieje na zakończenie wojny. Nam nasuwało się pytanie jak Rosja ustosunkuje się do sprawy polskiej. Podróże gen. Sikorskiego do Moskwy, oraz podpisane układy już wówczas dawały prognostyk nie bardzo pomyślny. Wyszła sprawa Katynia która spowodowała oburzenie. Wojska ~~org~~ polskie organizowane na terenie ZSSR opuściły Rosję i przeszły na środkowy Wschód. Stosunki dyplomatyczne z Rosją zostały zerwane. Czarne chmury zaczęły się gromadzić nad sprawą polską. Przewidywało

utratę znacznych obszarów kraju. Zapanowało przygnębienie w śród społeczności polskiej, nie widzieliśmy wyjścia z tej sprawy. Powstawały nieporozumienia i konflikty w łonie naszego rządu na emigracji. To wszystko niezbyt korzystnie wpływało na psychikę żołnierza. Chęć odwetu na niemcach przeważał. Doszła sprawa powstania warszawskiego i tu rosjanie znowu zaakcentowali swój wrogi stosunek do Polski. Powstawały otwarte ostre wystąpienia przeciw Rosji. Dochodziły nas wiadomości o cierpieniach ludności polskiej w obozach rosyjskich i nieludzkie tam warunki życia. Jak wiadomo, ludność polska z terenów polskich zajętych przez Rosję we wrześniu 1939 roku, została wywieziona w głąb Rosji, z tej ludności były organizowane oddziały gen. Andersa. Wobec wszystkich tych wypadków staliśmy bezsilni i bezradni. Należało tylko szukać sposobów aby jak najmniej utracić dobra narodowego jakim jest sam naród. Stałe zarzewie w stosunku do Rosji i nieufność do niej wzrastało. Nie rzadko powstawało pytanie, bić się dalej, czy zrezygnować z tej bezcelowej, wydawało się walki. Ten przymus wewnętrzny zakończenia wojny musiał przeważyć. W takiej sytuacji nadszedł

moment inwazji na kontynent.

Rozdział V

W tym czasie prowadziliśmy ćwiczenia z brygadą francuską. Przyszedł rozkaz zupełnej ciszy radiowej, do odwołania. Zmuszeni byliśmy przerwać ćwiczenia. Jednostki pancerne bez posługiwania się radiem nie są zdolne wykonywać zadań. Odeszliśmy do obozów wyczekiwania. Inwazja na kontynent. O zmierzchu zbierały się masy lotnictwa tworzyły olbrzymie klucze i wszystko szło na południe do bombardowania obiektów kluczowych po drugiej stronie kanału. Dnia 6. czerwca 1944 roku lądo[illegible] Wiadomości o przebiegu inwazji czerpaliśmy z dzienników radiowych. Przyczółek lądowania zdobyty, ale organizacja jego i umocnienie trwało dość długo. Prasa zaczęła czynić zarzuty, że lądowanie większych sił przeciąga się zbyt długo. W obozie wyjściowym nie zatrzymaliśmy się zbyt długo. Weszliśmy w kolejkę lądowania we Francji, za nami szły inne oddziały brytyjskie. Odeszliśmy do portów załadowania. Tu zgrupowania układano według możliwości załadowczych okrętów. Mój oddział ładował się porcie Londynu. Inne nasze oddziały ładowały się w innych portach. Przed załadowaniem na okręty oczekiwaliśmy kilkanaście godzin, na placach wyczekiwania. Wozy pogrupowano według kolejności w jakiej

musiały odejść do zatadowania. Wyczekiwanie nie było zbyt przyjemne. Londyn już od dłuższego czasu był pod ostrzałem bomb latających V1. Miasto bardzo ucierpiało od tego środka walki i żyło w stałym zagrożeniu. padały one na całej powierzchni wielkiego miasta a każdy wybuch zabierał ofiary. Ludność ze stoicyzmem znosiła to niebezpieczeństwo, nawet zrodziło się szereg dowcipów na ten temat. Z dowcipów można się śmiać ale wytrzymać to bombardowanie przez tyle miesięcy, to wielka sztuka. Były momenty depresji ale miasto zawsze wracało do normalnego życia, jeżeli taki sposób życia można by nazwać normalnym. Stolica imperium musiała wytrzymać te ciężary aby nie załamać psychiki całego narodu. Mimo dobrze zorganizowanej obrony i zestrzeliwania ich nad kanałem przez lotnictwo, szereg tych bomb dolatywało do miasta. W czasie naszego wyczekiwania w zasięgu naszego pola widzenia widziałem ich kilkanaście. Bomba taka wyglądała jak samolot myśliwski, ponad ogonem w bliskości jego końca znajdował się silnik odrzutowy (rakietowy) z którego cały czas lotu wydobywał się płomień. Po dojściu nad cel silnik gasł i bomba szła w dół do celu. Jedna z takich bomb miała zrobić nam

niespodziankę. Wprost na nasz rejon jedna z nich szybowała, silnik zgasł, skoczyliśmy do przygotowanych rowów, wydawało się że uderzy w nasz rejon, ale dziwo, bomb, lotem płaskim poszybowała jeszcze dość dalej wyłamała się ze zwyczaju swych poprzedniczek. Mieliśmy szczęście, że w przededniu akcji nie mieliśmy strat. Przed zaokrętowaniem każdy z nas otrzymał porcje żywnościowe i pasy ratunkowe na czas rejsu. Pojazdy podchodziły na molo i niknęły w lukach okrętów. Wozy amunicyjne zostały ustawione na deku okrętu, ułatwione było przez to ich zepchnięcie do morza w wypadku pożaru. Okręty wychodziły na redę, ustawiały się w trzech torach i wychodziły w morze. Trochę objaśnień o zachowaniu się przy płynięciu kanałem, chodziło o zachowanie ciszy i nie palenie papierosów, gdyż przepływaliśmy w zasięgu dział znajdujących się na wybrzeżu francuskim. Odnośnie wyładowania podano tylko, że tam wszystko odbywa się automatycznie. Okręt nasz nazywał się s/s Sam Houston II. Dnia 30. VII. jesteśmy już w morzu. Obok nas pojawiają się inne okręty. Tworzą jakgdyby pas transmisyjny jak okiem sięgnąć aż do samego przyczułka. Stoimy na pokładzie.

Zapada mrok, sylwetki okrętów nikną co raz bardziej. Monotonny szmer śrub okrętowych, przypomina tylko, że jesteśmy w ruchu. Obserwujemy wybrzeże francuskie ale tam również cisza i żadnych śladów świateł, najwęższy rejon kanału przepływamy bez incydentu. Nad ranem dnia ~~1. VIII~~ 31. VII zbliżamy się do wybrzeża francuskiego w rejonie przyczułka. Caen, tylko zgliszcza widoczne z daleka. A oto i brzeg. Kadłuby zakotwiczonych tu okrętów tworzą falochron za którym już od dłuższego czasu wre bezustanna praca. Po zakotwiczeniu, ~~p~~ zaraz podpływają promy desantowe na które dźwigi okrętowe ustawiają pojazdy, ludzie schodzą po trapach. Promy coś niecoś podskakują i przechylają ale to nie zwalnia szybkości wyładowania, tablica czasów musi być dotrzymana aby nie stworzył się zator na redzie. Tylko radiostacje na promach desantowych skrzeczały a radiotelegrafiści odpowiadali na przynaglanie. Prom desantowy napełniony po brzegi udawał się na plażę a tu samochody same musiały dować sobie radę i po pomoście z żelaznych belek odchodziły na ląd. ~~Na~~ W miejscu tym wyładowywano parę takich okrętów równocześnie. Te promy desantowe wyglądały jak lupiny w stosunku do okrętów. Kręciły się między nimi podskakiwały i przypływały do

brzeg szorujące dnem piasek morski. Obsługi tych łodzi pracowały tak miesiącami, pod nalotami lotnictwa i ogniem dział. Widziałem wielkie zmęczenie na twarzach tych ludzi. A morze spokojne przetrwało ten kataklizm bez uszczerbku, chyba że gdzieś jakaś ofiara tej wojny biła swoimi szczątkami o piasek wybrzeża. Przejmować się tym nie było czasu. Refleksie przychodzą dopiero później. Każdy centymetr tak zwanej plaży wielokrotnie przeorany gąsienicami czołgów, kołami samochodów i stopami żołnierzy a ponadto lejami bomb i pocisków dział tworzył żałosne widowisko. Wygląd miał obcego i dzikiego lądu, cała cywilizacja ludzka i sama natura zostały zniszczone. Tumany kurzu unosiły się za pojazdami a stopy pieszych grzęzły głęboko w sypkim piasku. Wjeżdżamy na niby drogę wytyczoną prze regulację ruchu. Wjeżdżamy na wyznaczony rejon. Gorąco i niesamowity kurz o ciężkim zapachu pola bitwy, przesiąkniętego spalonym prochem i trupem. Zapach ten jest ciężki, prawie wywołuje torsje, można się trochę przyzwyczaić ale to nie uwalnia od jego uciążliwości. Szczególnie dokuczliwym jest zapach padłych koni. Nakładamy chusteczki na usta i nos, trochę daje to ulgę. Ten zapach i kurz towarzyszył nam przez całą Normandię. Na miejscu

koncentracji dywizji staliśmy 7 dni. Całe przedmoście na wybrzeżu miało kształt półkola o promieniu 12 km. Cały ten teren był zapchany wojskiem i magazynami. Gdziekolwiek pocisk artyleryjski uderzył, uczynił szkody w ludziach albo sprzęcie. Całe to zmasowanie środków walki stanowiło przygotowanie do ofenzywy. Jak sprawnie funkcjonowała ta organizacja, przytoczę jeden charakterystyczny wypadek, który miałem w swoim oddziale. Na terenie Anglii nie dostarczono nam jednego samochodu pancernego zwanego popularnie „Stakandem". Jest to ciężki wóz kołowy uzbrojony w działo i karabin maszynowy oraz radiostacja średniego zasięgu. Zawiadomiono nas, że samochód ten otrzymamy na plaży, dnia, godzinę i współrzędne mapy. Po wjeździe na plażę nie wierzyłem aby taka możliwość zaistniała. Dla spokoju ducha, jak to się mówi, wysłałem oficera po odbiór samochodu. Kolumna nasza już była w marszu. Niepomiernie się zdziwiłem kiedy ujrzałem ten samochód czekający na skrzyżowaniu do wejścia w kolumnę. Tak jak podano w zleceniu odbioru dokładnie w wyznaczonym miejscu samochód stał na ruchu z pełnym wyposażeniem paliwa, amunicji i żywności dla obsługi wozu. Można się było

dziwić sprawności organizacji. W takiej masie sprzętu, jednostek bojowych wojska, jeden pojazd nie uszedł uwagi. Na zajmowanym obszarze można było czasem spotkać pojedyńcze jednostki ludności cywilnej, którzy nie zdążyli opuścić zagrożonych polem walki terenów i tam musieli znosić te okropne dni. Dziwili się że nas polaków znowu widzą na terenie Francji.

X Dnia siódmego sierpnia 1944 roku dywizja wchodzi do bezpośredniej akcji. Ustawieni w odpowiednie ugrupowanie przekraczamy Caen. Miasto, jak to się mówi, dosłownie zrównane z ziemią, nie widać ani jednego całego budynku, tu trwały bardzo ciężkie walki. Pasy dróg poznaczone białymi taśmami za które niewolno się wydalać, to rejon pól minowych lub pułapek minowych. Czołowe elementy dywizji obok innych jednostek alijanckich, wchodzi do akcji. Dywizja pancerna posiada potęgę ognia i szybkość, jest groźną bronią tej wojny. Jak już zaznaczyłem, dywizją dowodził gen. Maczek. Był to mężczyzna średniego wzrostu, krępy, twarz pogodna, w obcowaniu bezpośpośredni lubiany przez swoich żołnierzy tak oficerów i szeregowych. Dowódcy oddziałów, bez względu na szczebel, byli dobrymi ~~odd~~ oficerami z resztą była duża możliwość wyboru. Na terenie

Anglii pozostało jeszcze dużo oficerów. Szeregowi to stary żołnierz, z różnych pól bitew. Chociaż średnia wieku stosunkowo wysoka. Uzupełnienie z tanów dywizji pochodziło, przez morze, z całego świata. Nasza ocena wartości żołnierza przed bitwą, była ostrożne. Braliśmy pod uwagę przede wszystkim wiek. Wyszkolenie należało uważać jako całkowicie zakończone, żołnierz posługiwał się sprzętem dobrze. Dużo szeregowych z wykształceniem średnim a nawet wyższym dużo inteligencji. Pod względem politycznym dominował kierunek narodowy bez względu na to do jakiej partii ktoś kiedyś należał, byli nawet komuniści z okresu przedwojennego. Nie stwarzało to najmniejszych trudności, upolitycznienie wogóle nie istniało, to był zupełny margines. Żołnierz zżyty ze sobą stwarzał charakter współżycia wyróżniającym się koleżeństwem bez względu na stopień wojskowy. Żołnierz ten był pełen świadomości celów wojny i nie szczędził wysiłku i ofiarności aby uzyskać końcowe zwycięstwo. Takiego żołnierza, to wydaje mi się, można spotkać tylko w powieści i był on Sienkiewiczowskim żołnierzem. Pierwsze godziny walki już wykazały jego odwagę i wartość bojową ~~jednostek~~ oddziałów. Taki poziom bojowy cechował go do końca wojny. Po przekroczeniu Zgliszcz miasta Caen wchodziliśmy

do bezpośredniej walki. Obrona nieprzyjaciela jest twarda, walka staje się ciężką. Piechota sąsiednich dywizji, która miała przełamać opór, nie wykonała całkowicie swoich zadań i główny ciężar walki w tej akcji przejęła nasza dywizja. Znajdowałem się w samym środku zasadniczego uderzenia. Do około bez przerwy padały pociski artyleryjskie, powstawały straty przy tak zmasowanej ilości ludzi, spotykamy trupy niepogrzebane i rozkładające się, naszych poprzedników, którzy już od kilkunastu dni próbowali złamać obronę. Wszędzie zaminowane pola, teren zmłócony łańcuchami krokodyli. (krokodyl-czołg, przed nim umieszczony walec do którego przymocowane były łańcuchy. W czasie ruchu czołgu walec obraca się a łańcuchy biły w ziemię, powodując wybuchy ukrytych zakopanych min. Wchodzimy na stanowisko moździerzy, zaglądamy do schronów, widać, że przed chwilą był tu nieprzyjaciel, puszki żywności zjedzone do połowy, pozostało oporządzenie żołnierskie nawet fotografie i bielizna. Ostatnie elementy opuszczały już Caen, kiedy lotnictwo własne, zbombardowało własne oddziały, pomylono Caen z Falaise, spowodowało to straty w sprzęcie i ludziach. Zginął oficer łączności pułku artylerii przeciwlotniczej. Dość znaczne straty poniosły oddziały kanadyjskie. Zrozumieliśmy, że własne lotnictwo, na pluwalki, przy płynnym froncie,

mogą powstać pomyłki. Do naszego pierwszego
rzutu przyjeżdża gen. Maczek. Wychodzimy
z czołgów aby zasięgnąć najnowszych informacji
o sytuacji w pierwszej linii. W tym momencie
pada pocisk 155 mm między tę grupkę oficerów,
dosłownie między oficerami, rekonesansuje i kilkana-
ście kroków od nas pada na ziemię, wykonuje jeszcze
kilka młynków na naszych oczach, nie wybuchł.
Gen. Maczek uśmiecha się mówiąc - nie wiele
brakowało, aby dowództwo dywizji przestało istnieć.
Pocisk obstawiony tykami aby który z pojazdów
nie najechał na pocisk. Tu drogi niema, pojaz-
dy poruszają się na przełaj, tworząc własne
drogi najbardziej dla nich wygodne. Gorąco
i niesamowity kurz. Mamy zabitych i rannych
giną moich paru kolegów oficerów. Przeżyciem
śmierć jednego z moich kolegów, z którym przedchwilą
rozmawiałem, pokazywał mi telegram od rodziców żony
ożenił się z angielką, treść telegramu nie pozbawiona
humoru - synu, gratuluję, dobra robota. Cieszył się
wyszedł z czołgu i już do niego nie powrócił, a był
to dzielny oficer. Orjentacja w terenie, poprzecinanym
żywopłotami, jest trudna, zaskoczenie środków
ogniowych przeciwpancernych jest łatwe. Ogólnie,
niekorzystny teren do walk dywizji pancernej.
Zaczynamy oswajać się z tym ciągłym jargonem
pola walki. Z chwilą zatrzymania się kupiemy
doły pod czołgami aby odpocząć a w czasie nocy

aby się trochę przespać. Na jedną noc wróciła do sztabu dywizji, sztab stał obok stanowisk najcięższej artylerii, po wystrzale tych dział tworzyły wykonywały ruch wahadłowy. Położyłem się pod wozem, spałem, nie słyszałem wystrzałów, tak dużo zmęczenie, było na polu walki. Przed świtem udajemy się na poszczególne bojowy wysuwają, aby wspierać natarcie jednej lub drugiej brygady. To był już szablon. Po zniszczeniu pierwszych ośrodków oporu natrafiamy na następne coraz mocniejsze. Zajmujemy stanowiska przed laskiem Arsney. Stanowiska dział na płaskim terenie, widziane doskonale z lasu, obok nas punkt artylerii samobieżnej. Przesłaniają nas rzadkie drzewa i krzaki krzaków. Bez przerwy pociski padają między czołgami, siedzimy w czołgach lub pod czołgami. Jeden z pocisków pada o działo przeciwpancerne kanadyjskie, przeraźliwy krzyk, jeden z kanonierów nie ma całkowicie ręki, zakładają opaskę uciskową i ewakuacja do sanitarki. Zdobycie tego upartego punktu jest bardzo trudne, szukamy obejścia. Dowództwo armii decyduje się zniszczyć ten ośrodek przy pomocy lotnictwa. Otrzymuję rozkaz wycofania się z pod lasu. Następuje nalot. Tysiące bombowców ukazuje się nad nami, idą na las. Słyszę wybuchy bomb prawie z dala nas, patrzę na samoloty, drzwi wyrzutni otwarte,

sypią się bomby na własne oddziały. Natychmiast podnosi się nasz samolot kontrolujący artylerii i krąży pod bombowcami, dając sygnał że do własne oddziały, drzwi bombowców zamykają się, oddychamy z ulgą. Znowu kanadyjska dywizja obserwata od własnego lotnictwa. Myślę strat nie mieli. Pomyłka mogła nastąpić na skutek różnego rodzaju zadrzewień i sam skraj celu od którego miało być zaczęte bombardowanie został pomylony. Las jednak został zbombardowany i nie było z kim tu walczyć, przeszliśmy bez trudności. Ten niedługi okres walk zlewa mi się jako jedna całość, wielki wysiłek dniem i nocą zaciera poczucie czasu i biegu godzin, z głowie huczy od stałego słuchania wiadomości na radiostacjach. Pole walki cuchnie niesamowicie padliną koniska, którą dość często się tu spotyka. Kurz i spaliny zatykają drogi oddechowe, nakładane chusteczki na twarz niewiele pomagają. Ten zapach padliny końskiej towarzyszy nam do końca wojny. Niemcy częściowo używali zaprzęgów konnych i te niestety zwierzęta były ofiarą działań lotnictwa i artylerii. Z nadejściem nocy, przygotowanie planu ognia uderzającego na wszystkie żywotne drogi zaplecza nieprzyjaciela. Cała noc artyleria kładzie ogień na zaplanowane rejony. W dzień bezkarnie

bezkarnie buszuje nasze lotnictwo. Zdajemy sobie sprawę z samopoczucia nieprzyjaciela potwierdzają ten stan również jeńcy. Nasze jednostki pancerne osiągnęły dużą sprawność i śmiałość w działaniu. Zabierają jeńców masami. W oddziałach pancernych odczuwa się brak ludzi do ewakuacji jeńców. Wytwarzają się nawet wesołe epizody z jeńcami, kiedy pojedyńczy strzelcy przyprowadzają całe komp. Dnia 15-ego sierpnia przekraczamy Jort, nad niewielką rzeką Dives. Przejście to zostało zdobyte przez śmiałe uderzenie rozpoznawcze pułku 10 P.S.K. na czołgach Cromwel. Akcja ta wybitnie wpłynęła na szybkie dalsze postępy dywizji i zamknięcie worka pod Chambois. Na przeprawie ginie jeden z moich kolegów dowódca pułku pancernego, dostał postrzał w szyję. Był on znacznej tuszy i tłuszcz dostał się do układu krwionośnego, nie zdołano go uratować mimo, że rana wydawała się nie groźną. Posterunek bojowy zakładamy tuż za miejscowością Jort, między ~~działa~~ pozostawionymi niemieckimi działami 88 mm. Wokół leżą trupy niemieckie częściowo popalone. Ten typ dział był bardzo groźny dla czołgów, ale 10 PSK zaraz po przeprawie zaskoczył te działa. Obsługi tych działy chowały się między snopy skoszonego zboża, serje pocisków świetlnych

zapalały słomy stąd opieczone trupy stwarzały charakterystyczny wygląd. Na okres nocy oddziały pancerne tworzą pewnego rodzaju obozy ubezpieczone ze wszystkich stron. Teraz następuje uzupełnienie materiałów pędnych, amunicji, żywności. Podchodzi zaopatrzenie i dwozi wszystko łącznie z wodą do picia, co prawda dyzenfekowaną, w zapachu i smaku bardzo nieprzyjemną, ale pewniejszą dla zdrowia a niżeli brana z terenu. Załogi czołgów wydostają kuchenki benzynowe i jak kto umie i lubi, przygotowują gorący posiłek. Trochę się przespać to marzenie każdego, po całym dniu walki. O świcie silniki w ruch i naprzód i znowu powtarza się dzień poprzedni. Punkty obserwacyjne artylerii rozpoczynają swoją normalną pracę, idą serie, nie żałujemy amunicji, chronimy życie własnych żołnierzy. Nacieramy na kierunek Trun i Chambois. Nasz posterunek bojowy i posterunek bojowy dwódcy brygady pancernej znajdował się na wzgórzach, mniej więcej na wysokości Trun. Mieliśmy wspaniały widok na pole walki 4-ej dywizji pancernej kanadyjskiej, naszej sąsiadce. Mieliśmy również wgląd na równinę aż pod samo Chambois. Dowódca brygady zwołał oficerów i analizował przebieg walki czołgów, na zakończenie powiedział:

takiej okazji do oglądania pola walki, nigdy już mieć nie będziecie. Dywizja wysunięta około cztery kilometry w stosunku do swoich sąsiadów, tworzyła jakgdyby język, trudny do dozorowania. Przez ten pas często przeciekały pojedyncze grupki lub pojazdy pancerne nieprzyjaciela. To też wszelki ruch po osi natarcia dywizji był kontrolowany prze pojazdy pancerne. Niemcy wszelkimi sposobami starali się wyjść z tego worka, który coraz szczelniej był zamykany przez naszą dywizję. Zajęcie rejonu Chambois tworzyło zaporę zamykającą całkowicie wojska niemieckie znajdujące się między armią angielską i amerykańską. 10 PSK zamknął Chambois. Natarcia nieprzyjaciela szły z południa na 10 PSK a z północy na brygadę pancerną, rzucono wszystkie siły będące w dyspozycji aby zniszczyć tę zaporę. Po osiągnięciu Chambois prze 10 PSK, zdecydowano przenieść nasz posterunek bojowy i posterunek bojowy brygady pancernej pod Chambois. Przeciskamy się wąskimi ścieżynami prze teren i las, co jest niebyle trudnością dla czołgów, docieramy do jakiejś farmy z której przed chwilą uciekli niemcy, pozostawiając wszystko, nawet bezwartościowe dla nas pieniądze, na pozostawionych ubraniach opaski SS. W farmie zastaliśmy dawno nie widzianą ludność cywilną.

Czołgi rozstawiamy w ogrodzie, mniej więcej przygotowane do walki, gdyż niemcy mogli tędy przeciekać ale nadzwyczajnych ostrożności nie zastosowano. Udaliśmy się na spoczynek, pozostawiając dyżury na radiostacjach i czołgach, normalne zabezpieczenie się na noc. Oświcie rozpoczęliśmy codzienną toaletę a przede wszystkim golenie się, co było w zwyczaju, bez względu na tok walki. W pewnej chwili zagrała broń maszynowa w bliskiej odległości, była to broń maszynowa z pancernych pojazdów niemieckich. Obsługi wskoczyły do czołgów, zapewne śmieszne bo z mydłem na twarzy. Samochody pancerne niemieckie, kluczyły między drzewami prawie tuż przy naszych czołgach, starając się jak najszybciej oddalić a bronią maszynową utrzymać nasze załogi na ziemi. Obsługi czołgów natychmiast otworzyły ogień z dział, pięć strzałów i pięć niemieckich pojazdów pancernych zostało rozbitych. Spotkanie niemieckich pojazdów pancernych z naszym posterunkiem bojowym było przypadkowe. Niemcy starali się przesiąkać, przez nasze ugrupowanie, różnymi sposobami, czasem nawet pojedyńczo. Po tym incydencie dowódca zdecydował powrócić na poprzednie miejsce, ze względu na stałe możliwości zagrożenia bezpośredniego

prze przesiąkające oddziały nieprzyjaciela to mogło utrudniać dowodzenie. Wydaje mi się, że był to dzień 17ego sierpnia, kiedy znaleźliśmy się ponownie na naszym dominującym wzgórzu. Walki nasilają się i są bardzo ciężkie. Zdarzają się chwile, że ~~posterunki~~ punkty obserwacyjne artylerii kładą ogień na rejony znajdujące się między punktem obserwacyjnym a stanowiskami dział, co świadczy o zmieszaniu się oddziałów z nieprzyjacielem. Ustalają się dwie nasze grupy mieszane piechoty i czołgów, Jedna pod Chambois druga na wzgórzach zwanych przez nas „Maczugą" (kształtem swoim nasunęły tę nazwę). Nasze pułki pancerne doszły do szosy prowadzącej na półn. z miejscowości Chambois. Drogą tą trzema rzędami posuwały się zmieszane oddziały niemieckie. To były zupełne jatki tych kolumn. Mimo tych sukcesów nie można dostarczyć zaopatrzenia do naszych grup wysuniętych, nie można ewakuować rannych ani jeńców. Na wzgórzach „Maczuga" czołgi walczą nie tylko bronią ale i masą swojego żelaza w bezpośredniej styczności z czołgami nieprzyjac. Na „Maczugę naciera dwie niemieckie dywizje pancerne, chcą otworzyć drogę dla swich oddziałów walczących pod Chambois. W samym

Chambois walki również się nasilają. Skupione masy nieprzyjaciela prą na północ aby przebić sobie drogę z zamkniętego worka. Nagromadziła się tu masa jeńców, Generał niemiecki zabrany do niewoli zachowuje się arogancko - mówiąc: niewiadomo kto kogo ma w niewoli, dając do zrozumienia, że jest ich tutaj bardzo dużo. Z Chambois nawiązano oczekiwaną styczność z armią amerykańską. Amerykanie dostarczyli zaopatrzenie i przejęli jeńców. Dzień 20 i 21 sierpnia był krytyczny dla dywizji, wydawało się, że poniesiemy klęskę. Byliśmy zbyt wysunięci aby sąsiednie jednostki mogły nas odciążyć. Pamiętam rozmowę z gen. Maczkiem, był zmartwiony tak wielkim zagrożeniem dywizji, mówił - jeżeli wytrzymamy jeszcze dwa dni, wygraliśmy, jeżeli nie wytrzymamy, przegramy zupełnie. Zachowanie się żołnierzy dywizji w tych walkach, było nie tylko bohaterskie ale i zadziwiające. Towarzyszący nam oficerowie kanadyjscy wyrażali najwyższe słowa uznania dla naszego żołnierza. W tym czasie mieliśmy wypadki, które zdarzają się w historii wojen. Czołgi strzelały do siebie z odległości kilku kroków, mówiło się, na długość lufy. Kolumny przemieszane z nieprzyjacielem, niemieccy regulatorzy ruchu zatrzymują swoje kolumny aby przepuścić nasze/było

szaro, ściemniało się/ Niemcy odsyłają nam nasze zespoły sanitarne, które przez przypadek znalazły się w kolumnie niemieckiej. Wszystko to wygląda jak bajka, z tysiąca i jednej nocy. Nie była to bajka, lecz rzeź, jaką rzadko można spotkać w historii wojen. Do walki bezpośredniej stawali wszyscy, bez względu na zajmowaną funkcję. Dnia 22 sierpnia walki ustały, niemcy ponieśli klęskę. Staramy zorientować się w poniesionej klęsce przez nieprzyjaciela. Wszędzie leżą zabici, rozbite czołgi, działa i masa pojazdów, dużo zabitych koni. Stan jeńców przekracza parokrotnie stany dywizji. My mamy również znaczne straty. Zabity dowódca pułku rozpoznawczego w czasie walk w Chambo. Nie wiadomo było, czy był to pocisk przypadkowy czy strzał snajpera, stojąc w małej grupie oficerów został zabity tylko on. Zgrupowano oddziały, uzupełniono zaopatrzenie, obliczono straty. Przechodzimy do odwodu, przed nami perspektywa siedmiu dni odpoczynku. Pochwały i uznania dla dywizji od władz angielskich i polskich. Po tych walkach zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych, Rozkazem Dziennym 1. D. Pan. Nr 44/44 z dnia 25 sierpnia 44 roku, oraz zostałem awansowany do stopnia majora Rozkazem Naczelnego

Rozkaz L. dz. 2150/dj/pers 44 rok z dnia 7. września 44 roku. Rozkaz 1 Dyw. Panc. Nr 51 z dnia 17 września 44 roku. W tym czasie otrzymałem list od gen. Kukiela ministra obrony narodowej, z gratulacjami z powodu awansu na pole walki. W tej pierwszej fazie walk, przeszliśmy najcięższy okres tej kampanii, wykonaliśmy najcięższe zadania lecz ponieśliśmy największe straty, myślę o ludziach. Sprzęt można wymienić, uzupełnić ale straty ludzkie są bezpowrotne. Historia wojen naszego narodu, będzie brać te walki jako przykład operacji jednostek pancernych i jako przykład bez precedensu bohaterstwa żołnierza polskiego. Gratulacje napływały, można rzec, ze wszystkich stron, tęczowe z naczelnym dowództwem armii alianckich. Prasa brytyjska wyrażała się z uznaniem o naszych oddziałach i prowadzonych operacji wojennych. Cóż, przyjemnie, ale czy nie na marne? To pytanie gnębiło nas bezustannie. Zakończone tragicznie powstanie warszawskie, kładło się czarną plamą na uczuciach żołnierza. Dzisiaj kiedy patrzę na fotografie tych działań, nie przeżywam grozy wojny ale zdaje sobie sprawę z okropności pola walki, dlatego też niechętnie pokazuję je znajomym, gdyż uważam, że

nie potrafię ich zrozumieć i nie potrafię zrozumieć naszych uczuć jakie żywiliśmy w tym okresie, dążąc do wyzwolenia Polski i ponosząc tak ciężkie ofiary. W czasie tych walk pod Laskiem Gusnej, spotkał mnie trzeci wypadek z moim życiu, kiedy widziałem, że śmierć zajrzała mi bezpośrednio w oczy. Normalnie w czołgu obserwowało się pole walki przy otwartej klapie włazu. Tylko w bezpośrednim zagrożeniu klapa była zamknięta. W klapie włazu był peryskop. Przy otwarciu klapy i wysunięciu głowy, dolna część peryskopu była tuż przy głowie. Dostałem pocisk karabinu z peryskop, z kąta toku pocisku można było wnioskować, że minął mnie tuż przy nosie. Znowu ktoś na mnie zapolował, wyszedłem z tego szczęśliwie. Pomyślałem wówczas do trzeciego razy sztuka, więcej na siebie nie ważąc, żołnierz jest przesądny. Szczęściarze do więcej podobne wypadki się nie powtórzyły. Podświadomie miałem jakieś uczucie nieśmiertelności przez całe moje życie, wiele razy uchyliłem się od legendarnej kosy. Ruszamy za nieprzyjacielem. Pościg, termin wojskowy, do pięknej wojennej wyprawy, jeżeli przy opisywaniu wojny można użyć słowo piękny, ale naprawdę jest przyjemne, że nieprzyjaciel jest pobity i wycofuje się. Nie była to parada

za nieprzyjacielem, mieliśmy jeszcze wiele ciężkich bitew, ale nie były one tak ciężkie jak w pierwszej fazie po wylądowaniu. Wkraczamy do coraz to nowych miast francuskich, witani spontanicznie przez ludność miejscową, wiwaty na każdym kroku, butelki wina, dziewczęta rzucają się w objęcia, wszystko to piękne, ale od czasu do czasu powiew śmierci zabiera swoje żniwo. Tak minęliśmy Abbeville, St. Omer. Dnia 6 września przekraczamy granicę belgijską. Kraj taki sam jak Francja. Tylko powitania bardziej spontaniczne bardziej serdeczne. Wkraczamy do Ypres, znane miejscowość z pierwszej wojny światowej. Oglądamy napisy na Tuku przy wyjeździe z miasta. Tysiące nazwisk poległych tu żołnierzy alianckich. Zwiedzamy mały zachowany odcinek pola walki, okopy, rynsztunek, broń, leży na miejscach walk. Większe wyrwy po pociskach artyleryjskich, ale wszystko to wydaje się małe, niczerne w stosunku do obecnych zmagań. Jedziemy dalej na Thielt i Gent /Gandawa/. Tu spotykamy się z życzliwym powitaniem. To już drugi raz w historii tego miasta kiedy wojsko polskie wkracza tutaj jako armia zaprzyjaźniona. Walki trwają jeszcze w mieście i poza miastem. Jadąc wozem przez miasto, wreszcie zajętej przez nas, ludność

ludność na ulicach, pełno flag narodowych, napisy powitalne po polsku. Zbliżając się do linii walki co raz to mniej ludności na ulicach, mniej wiwatów a dalej jeszcze ulice puste, gdzie niegdzie flagi aż wkońcu i tej odrazu radości zabraknie. Załoga pojazdu pancernego przestaje rozdzielać pokłony i całusy, kryje się w pancerzu pojazdu i wreszcie zamyka klapy. To już pierwsza linia walki. Z ludnością Gent nawiązaliśmy serdeczne nici przyjaźni, wielu polaków później tam się osiedliło, po zakończeniu wojny. Oczyszczamy Gandawę i udajemy się na St. Nicol, z kąd na północ nagrzmiewa kanonada. Walki przy przekraczaniu kanału Axel-Hulst. Przy przekraczaniu tego kanału zdarzył się bardzo niepryjemny incydent który kosztował rozbicie dwóch szwadronów dragonów. Przyczyny tego wypadu wstydliwie pomijane są przez tych, którzy pisali historię dywizji a myśli, że nawet gen. Maczek nie został należycie poinformowany o przebiegu tej akcji. Dwa szwadrony dragonów wykonały wypad nocny na drugą stronę kanału. Wypad ten się nie udał, szwadrony rozbite i rozproszone. W mojej ocenie winę za to niepowodzenie ponosi dowódca artylerii dywizji płk. Noel i dowódca brygady płk. [illegible]

jako dowódca ~~przeprawy~~ odcinka płk. Skibiński. Jako zasadniczy zarzut to brak artyleryjskich ogni osłony, były one nie przygotowane i nie zorganizowane. Winę za to niepowodzenie poniósł dowódca batalionu dragonów. Kanał w końcu przekroczyliśmy dociskając niemców do morza. Przekraczając kanał spotkałem się z dziwnym widokiem. Tuż za kanałem zatrzymaliśmy się na chwilę. Jak zwykle kierowcy wyszli z wozów dla odpoczynku. W tym jeden z kierowców wyniósł na ramieniu odciętą nogę żołnierza niemieckiego, wołając — ten dostał dwa razy —. Rzeczywiście kolano było zabandażowane a noga ucięta dużo wyżej. Ktoś krzyknął — rzuć to, — i noga powędrowała do okopu. Likwidujemy reszty oddziałów niemieckich w Ternauzen. Zdobywamy nawet mały okręt. W niektórych miejscach niemcy ładują się na barki stojące w pewnej odległości od brzegu. Nasze czołgi biją pociskami rozpryskowymi z dział, zatapiają te barki wraz z ich zawartością. Było to dobijanie resztek jednostek niemieckich, które nie miały możliwości wycofania się. Po oczyszczeniu rejonu Axel-Hulst kierujemy się na Antwerpię. Duże belgijskie miasto

postowe. Zdobywamy to miasto i powracamy kierujemy do granicy holenderskiej. Pierwsze miejscowości mieszane belgijsko-holenderskie Baarle Nassau, enklawa belgijska w Holandii. Śmieszne ukształtowanie granicy w tej miejscowości. Może się zdarzyć, że pokój jest w Belgji a kuchnia w Holandii może nie dostanie ale może się zdarzyć, a jest często dom mieszkalny na terenie jednego państwa a zabudowania gospodarskie na terenie drugiego. Ludzie jednak ze sobą współżyją a walki graniczne nie istnieją. Z dowodem osobistym nie trzeba chodzić po ulicach tego miasteczka. Przy zabitych niemcach znaleźliśmy listy od ich kolegów, którzy likwidowali powstanie warszawskie w listach tych narzekali na ciężkie walki i nieprzychylność ludności polskiej. Dnia 30 października zdobywamy miasto Breda. Tu sądzone nam było przetrwać zimę. Zdobyciu Bredy odbyło się bez specjalnie ciężkich walk, reszta oszczędziliśmy to miasto od zniszczeń, walki były przed Bredą i za Bredą. W mieście doznaliśmy gościnnego przyjęcia, holendrzy okazali nam dużo serca i do wielu naszych kolegów osiedlili się po wojnie na stałe zamieszkanie. Po opanowaniu miasta nastąpiły bitwy o kanał Mark a następnie likwidacja przyczółka niemieckiego w Moerdijk. Po walkach w Normandii

i Belgii dywizja była przemęczona, stany ludzi wykruszyły się bardzo, nie mieliśmy dostatecznej ilości sił na zlikwidowanie przyczółka bronionego bronionego umocnieniami żel-betonowymi i zasiekami. Jedyna droga prowadząca do Moerdijk szła po wysokim nasypie, wzdłuż rozciągających się zalewów. Droga ta była zagrodzona zaporami żel-betonowymi trzymanymi pod ogniem. Do wsparcia naszych działań przydzielono nam dziewięć pułków artylerii i doświadczalną baterię dział rakietowych. Ogień artylerii całkowicie przydusił załogę przyczółka. 10 PSK podszedł do zapór na drodze i bezpośrednim ogniem p-pane z kruszył zapory. Czołgi przedostały się na szosę do szły do Moerdijk likwidując resztę obrony. Byłem wówczas na punkcie przejścia pułków pancernych nadających się do walki. Wilgotna ziemia holenderska mieszana gąsienicami rozpryskiwała się na boki. Czołgi wydawały się być lekkimi pojazdami, tylko ryk silników świadczył o ich ciężarze. Kierowcy prowadzili je jak najlepsze pojazdy poruszające się po gładkiej drodze. Nad wieżami głowy dowódców z mikrofonami przy ustach, tylko od czasu do czasu rzucali uwagi do kierowców. Załogi stworzyły jedną całość z tą masą żelaza. Zrozumiałem naszą potęgę a równocześnie naszą

Bezsilność z zrozumieniu ogólnonarodowym. Zdawałem sobie już wcześniej sprawę, że oddziały te nie wrócą do kraju, co było pragnieniem każdego naszego polskiego żołnierza. Ludzie ci, mimo tak wspaniałych zwycięstw, tak radosnych powitań na każdym kroku, sami tej radości nie posiadali, byli zamknięci w sobie. Uśmiechali się do wiwatujących, może w tych momentach wydawało się im, że wkraczają do Polski, o której stale marzyli. Ta wojna nie stwarzała pieśni na naszych ustach, pieśni wojennej, czasem przyzwolnej, która towarzyszy żołnierzowi przez pola bitew. Moerdijk zdobyty, rejon do Mozy oczyszczony. Na tym zakończyliśmy zasadniczo działanie naszej dywizji w 1944 roku. Otrzymaliśmy do dozorowania 25 km. odcinek wzdłuż Mozy, przez okres zimy. Okres ten na naszym odcinku nie obfitował w wypadki za wyjątkiem Kapelsche Veer o którym poniżej. Myśmy byli mocno zmęczeni, stany wykruszone zachodziła konieczność uzupełnień których było brak. Prawie odkryliśmy nowe źródło uzupełniania stanów ludzkich a byli nimi polacy przymusowo wcieleni do armii niemieckiej a trafili do niewoli. Ciągnęli się do naszych oddziałów, w wielu wypadkach zmieniali tylko mundur na miejscu. Trochę napłynęło z Francji i środkowego wschodu.

Stany dywizji doszły do swojego limitu. Wyniesiono całkowicie ciężki sprzęt i uzbrojenie. Breda dała nam możność odpoczynku i regeneracji do pełnej sprawności bojowej. Rozpoczęły się urlopy. Wyjazdy do Anglii, Francji a przede wszystkim do Belgii - Brukseli stała się zasadniczym miejscem urlopów. Do Brukseli wyjeżdżaliśmy nie tylko dla zmiany otoczenia i przypomnienia sobie że żyjemy w świecie cywilizowanym ale również dla wymiany pieniędzy na której żołnierze mieli korzyści osobiste. Powstał nawet pewien proceder handlu, znaleźli się polscy żydkowie, którzy chętnie oddawali swoje usługi, oczywiście nie za darmo. Handlowano wszystkim co było dostępne. Proceder ten był tępiony przez władze wojskowe. Szeregowi mieli wydzielone swoje hotele, oficerowie mieli również swoje, lecz podzielone na armie według państw walczących. Myśmy należeli w skład armii kanadyjskiej która rezydowała w hotelu „Atlanta" przy głównej ulicy miasta. Urlopy takie trwały trzy dni, w czasie tym załatwiliśmy niezbędne zakupy, były również sklepy wojskowe w których można było zakupić przedmioty przydziałowe. Ponadto nawiązywało się kontakt z panienkami, wiadomo - za mundurem... i to było też konieczne. Hotel „Atlanta" był urządzony luksusowo.

Z pewną oprawą odbywały się kolacje. Zawsze przygrywał zespół muzyczny o zmiennym składzie, podawano wykwintne dania i wszelkie trunki. W Brukseli nie nie brakło, nawet owoce południowe były nie codzień, kolonie wszystko dostarczyły i to bardzo szybko, kiedy niektóre akweny morskie stały się bezpieczne. Cała Paryż nie mógł się wygrzebać z przejść wojennych a tyle Bruksela tętniła życiem, sklepy przepełnione towarem tu płynął pieniądz armie alianckie pozostawiały tutaj swój żołd. Mówiono, że jedynie Belgia ma dodatni bilans z tej wojny. Do czasu osiągnięcia Bredy, żołnierz nie przywiązywał znaczenia do wartości pieniądza, można powiedzieć, że nie dbał o dobro doczesne. Chętnie dzielił się wszystkim co posiadał, papierosy czekoladę rozdawał ludności cywilnej, sprawiało mu to przyjemność. Rozkosze życia miejskiego prawie pokojowego, pochłonęły budzić potrzeby pieniądza, do tej na tym tle powstawały nadużycia w formie wymiany pieniądza. Dla ograniczenia tych niekorzystnych zjawisk władze ograniczyły wielkość kwot wymiennych. Pobyt na odcinku dozorowania w rejonie Bredy byłby sielankowy, gdyby nie Kapelsche Veer. W miejscu tym był mały przyczółek nieprzyjaciela po naszej stronie Mozy. Niemcy mieli jeszcze nadzieję, że z tego przyczółka

przeprowadzą ofenzywę na tę część Holandii a może i Belgii. Patrole niemieckie z przyczółka zapuszczały się głęboko w nasz teren i zawsze trzeba było mieć na uwadze zasadki. Postanowiono ten przyczółek zlikwidować. Nasze natarcie nie dało rezultatu ale dało pewne rozpoznanie obrony nieprzyjaciela. Zorganizowano natarcie komandosów - ponieśli ciężkie straty. Zorganizowano drugie natarcie komandosów przy wsparciu dużej ilości artylerii i czołgów, przyczółek zlikwidowano. Główna linia obrony na przyczółku był duży wał ochronny, w którym urządzono schrony ale wejścia do schronów były od naszej strony i ruch odbywał się tylko w czasie nocy, w czasie walki nikt nie mógł się wycofać. Likwidacja odbywała się w ten sposób, że wszystko co strzelało z za wały, było przygniatane przez artylerię. Czołgi trzymały pod ogniem strzelnice a komandosi po dotarciu do wału w jednym miejscu, posuwając się wzdłuż wału likwidowali poszczególne punkty oporu. Niemców pozostało około trzydziestu a był cały batalion. Trzeba było przyznać w tym miejscu dzielność żołnierza niemieckiego. W tym okresie niemcy rozpoczęli bombardowanie Antwerpii pociskami V1. Nasza artyleria przeciwlotnicza tworzyła zapory, ale od czasu do czasu trzeba było

się kłaniać kiedy pocisk taki lądował przedwcześnie w rejonie naszej dywizji.
Z Bredy wyjeżdżaliśmy do różnych akcji związanych z przegrupowaniem wojsk przygotowywanych do ofensywy Renu. Około Bożego Narodzenia dywizja została skupiona na wschodnim jej skrzydle, był to okres uderzenia niemców w Ardenach. Zakwaterowaliśmy przy kościele w małej wiosce holenderskiej. Przygotowywaliśmy się do Wieczerzy Wigilijnej. W pewnym momencie usłyszeliśmy przeraźliwy ryk V1, każdy z nas odruchowo skurczył się, wydawało się że pocisk szybuje wprost w dom, a jednak mieliśmy szczęście, pocisk przeleciał tuż nad dachem, minął kościół między budynkiem i drzewami, pozostawiając za sobą krótko smugę dymu. Nie słyszeliśmy wybuchu, poszybował dalej. Uderzenie niemieckie w Ardenach stworzyło pewne zamieszanie, przerzucono nas w inne miejsce ale po zlikwidowaniu tego ~~wypadu~~ uderzenia powróciliśmy do Bredy. Dnia 6. kwietnia 1945 roku przeszliśmy w skład jednostek brytyjskich. Dywizja przygotowuje się do działań na terenie Niemiec. Odnosiliśmy wrażenie że brytyjczycy obawiają się nas użyć na terenie Niemiec aby nie doszło do masakry ludności cywilnej, jako rewanż za nasze martyrologie.

Zdarzały się wypadki, że w armiach alianckich używano nas jako straszaka w stosunku do jeńców. Skutkowało to radykalnie, rozwiązywało język. Dnia 8 kwietnia wymarsz dywizji z Bredy do nowego rejonu koncentracji. Forsowny marsz do rejonu Goor-Neede-Boreulo-Lochem. Uderzenie na północ do morza wzdłuż granicy holendersko-niemieckiej. Jeszcze miejscowości holenderskie Almelo, Emmen, Ter Apel. Rejon trudny do działania jednostki pancernej, utykamy co jakiś czas na kanałach, których jest tu bez liku, czołgi mogą się posuwać tylko po drogach, sapery mają dużo roboty. Wreszcie przekraczamy rzekę Ems pod Haren i jesteśmy już na terenie Niemiec. Na granicy niemieckiej uwolniliśmy obóz polek żołnierzy A.K. z powstania warszawskiego, a Oberlangą wielkie poruszenie w dywizji, ciekawość spotkania z kimś z Polski, może znajomi, kobiety rzucają się na ogrodzenia, łzy po obydwóch stronach, wielkie wzruszenie. Staramy się dać im wszelką pomoc i polepszyć warunki bytowania. Na terenie Niemiec wzbudziła się chęć zemsty. Zaczęto niszczyć co wpadło pod rękę. W miasteczkach wybijano szyby wystawowe, wieprze i dróbż wędrowały do kuchni żołnierskich, czego dotychczas nie było w zwyczaju, żołnierz dotychczas doświadczał ludność krajów zaprzyjaźnionych. Artyleria

kładzie ogień po miejscowościach bez specjalnych potrzeb, tak tylko aby zniszczyć, spalić. Cóż to jednak było w stosunku do tych strat i cierpień które ponieśliśmy. Czujemy, że zbliża się koniec wojny, nie zdołamy niemcom zapłacić. Uczucie bezsilności, echa machinacji politycznych docierają do nas, wielki żal do wszystkich i wszystkiego co nas otacza. Walka jeszcze trwa i idziemy na Lingen, Papenburg, Wilhelmschaven. Dnia 5 maja 1945 roku o godzinie 08^{00} artyleria otrzymała rozkaz przerwania ognia. Do ostatniej chwili działa biły bez przerwy, amunicji jest już nie potrzebna. O tej godzinie działania zostały zakończone a więc koniec wojny. Nie było wiwatów z tej okazji, żołnierz stał się bardziej posępny, dla niego to nie koniec wojny jakiego się spodziewał. Zdawał sobie sprawę, że nie wróci do kraju jako jednostka bojowa, tak wspaniała, że nie będą jej witać właśni rodacy. To było najbardziej przykre, bo mimo trudów i tych walących się kataklizmów politycznych, gdzieś głęboko pod sercem nosił ten żołnierski romantyzm, którego nie mógł okazać. Wszystkiemu winna bezwzględna zaborczość rosyjska. Jedną trzecią Polski zabiera Rosja. To nowy rozbiór Polski. Tak zakończyliśmy bezpośrednie działania wojenne drugiej wojny światowej. Dnia 6 maja przekroczyliśmy Jade-kanał,

udając się do Wilhelmshaven dla dozorowania złożenia broni i zebrania jeńców. Na teren ten wchodziliśmy z ostrzeżeniem gotowości do walki ale bez prowokacji. Szliśmy między masami wojsk niemieckich, które wycofując się z frontu północno zachodniego skupiło się na tym niewielkim terenie. Na stanowiskach artylerii przeciwlotniczej wszelkiego kalibru, a było ich tu dużo, stereraty lufami skierowanymi w niebo, stały one nieruchomo, wyglądały żałośnie i groźnie. Niemcy złożyli broń i udawali się do rejonów zbiórki. Mieliśmy wewnętrzną radość patrząc na tę kapitulację, ale przykro było patrzeć na te masy jeńców, którzy w jednej chwili stali się podrzędną masą ludzką. Armia która przez ~~prawie~~ pięć lat trzęsła nie tylko Europą ale całym światem, stała się nieużyteczną zdezorganizowaną masą. Za parę dni do tego rejonu weszła również rozbrojona armia niemiecka z północnej Holandii. Wojska te nie brały znaczniejszego udziału w walkach, przeważnie dozorowały wybrzeże morskie, byli trzymani w rygorze wojskowym do tej weszli w pełnym porządku. Po uporządkowaniu spraw związanych z rozbrajaniem przeszliśmy do wyznaczonego nam rejonu na okres okupacji Niemiec. ~~Dlaczego~~ Rodzi się teraz pytanie, dlaczego Niemcy przegrały

drugą wojnę światową? Zagadnienie należy rozpatrywać globalnie. Nie należy posługiwać się wynikiem takiej czy innej operacji, to są wszystko efekty cząstkowe, które wpływają na ostateczny wynik wojny. Podstawowym elementem w tej wojnie jest przemysł i masy ludzkie. Gdybyśmy zliczyli globalne wartości przemysłu i stanów ludzkich po stronie aliantów i po stronie państw osi, otrzymalibyśmy obraz przytłaczający o wyniku wojny, na niekorzyść Niemiec. Analiza bardzo prosta i żaden rozsądny człowiek nie mógłby jej negligować. Napewno w Niemczech ludzie tacy byli. Ambicjonalne chęci przywódców niemieckich, przekreśliły zdrowy rozsądek. W naszych rozważaniach musimy brać pod uwagę taki stan jaki istniał wówczas w Europie i w Niemczech. Nad zdrowym rozsądkiem przeważyły cele ambicjonalne, nie chcę sobie sprawę jak groźną jest taka sytuacja i do czego może doprowadzić brak kontroli społecznej, brak demokracji, brak możliwości krytyki. Niemcy, jako cel, postawiły sobie zdobycie surowców i zdobycie rynków zbytu. Takim środowiskiem spełniającym obydwa te warunki, była Rosja. Jaka forma dominacji nad tym obszarem miała być ukształtowana trudno jest dzisiaj powiedzieć. Niemcy zdawali sobie

sprawę, że poszerzenie swoich wpływów na zachód lub kolonie zamorskie, jest dla nich nieosiągalne. Jedyną drogą ich ekspansji, był wschód. Rozmiarem ich celów, wchodziła w rachubę Rosja. Droga do tego celu wiodła przez Polskę. Z plotek zakulisowych ze źródeł rządowych, dochodziły wiadomości, że dyplomacja niemiecka wszelkimi siłami stara się przekonać władze polskie aby współdziałały w tych zapędach niemieckich. Mówiło się nawet o konkretnych planach współpracy. Stanowisko Polski było jednoznaczne z wiadomych nam przyczyn, groźba zachodnia była taka sama jak i groźba wschodnia. Działanie z którąkolwiek ze stron było dla nas katastrofą. Jaka forma dominacji niemieckiej nad Rosją miała faktycznie być wprowadzona, trudno jest dzisiaj powiedzieć, ale napewno była to forma dominacji gospodarczej w pierwszym rzędzie, co musiało również spowodować zmiany ustrojowe. Niemcy natrafiając na opór państw na wschodniej ich granicy, postanowili siłą przeprowadzić swoje cele. Zajęto Austrię, dla korzystnego wyjścia na Bałkany i zagrożenia południowej części Rosji. Następnie Czechy. Nasz nieszczęśliwy współudział był wymuszony zachowaniem się Czech w stosunku do Polski. Znane są sprawy Spiszu i Orawy a także Słowacji. Z wiadomości mi znanych z pierwszego źródła,

nasza dyplomacja czyniła wszelkie wysiłki aby nadiązać współpracę oraz aby związać się paktami obronnymi z Czechosłowacją, ale wszystkie te zabiegi natrafiały na mur niechęci, wręcz odmowy. Czesi mieli swoją stawkę współpracy z Niemcami albo Rosją. Uważali dla siebie za dyshonor aby Polacy przewodzili w jakimkolwiek układzie. Niemcy dzisiaj jaki był wynik. Niemcy nerwowy to co chciały a Rosja złożyła tylko protest dyplomatyczny o kawałek papieru. Czesi byli nastawieni tak antypolsko, że nawet w tym absolutnie groźnym momencie, nie nerwowy ani jednego przyjaznego kroku współpracy z Polską. Całe uzbrojenie potulnie oddały niemcom, ani jeden odział zbrojny nie przeszedł na teren Polski, ani jeden samolot wojskowy nie wylądował na naszych lotniskach, owszem wylądowała jedna prywatna awionetka i minimalne grupki żołnierzy z gen. Sadkowa. Zajęcie przez nas Zaolzia było komendowane w sferach wojskowych jako posunięcie taktyczne, chodziło o osłonę Górnego Śląska. Pomimo istniejących antagonizmów czeskich, społeczeństwo nieprzychylnie komentowało to posunięcie. Zdawano sobie sprawę, że zbliża się do nas niebezpieczeństwo zachodnie. W tym okresie znaczna część naszych wojsk była na manewrach na granicy wschodniej, bratem sam udział w tych manewrach, nie nie wskazywało

na jakiekolwiek przygotowania do współdziałania z Niemcami na terenie Czech. Kiedy sprawa ta zaistniała w rzeczywistości, improwizowano składy oddziałów znajdujących się na manewrach i przerzucano na granicę czeską. Manewry zakończyły się przedwcześnie. Groźba niemiecka zaczęła narastać. Politycy zachodni nawet ustępstwami starali się zapobiec wybuchowi wojny, ale niemiecka machina wojenna puszczona w ruch, nie zatrzymywała się. Sygnały niebezpieczeństwa pojawiały się na codzień. Zabiegi dyplomatyczne naszego ministra spraw zagranicznych dały dodatnie wyniki, oczywiście strona zachodnia miała również swój cel, bo polityce nie ma sentymentu tylko interes. Zawarty został pakt z państwami zachodnimi, to jest Anglią Francją, wspólnej obrony. Rosja chciała wygrać ten ewentualny konflikt dla swoich celów politycznych i mimo zabiegów państw zachodnich, zawarła pakt z Niemcami, później nazwano ten pakt Ribentrop-Mołotow. Tak przyszło do drugiego rozbioru Polski, narazie na papierze ale stał on się faktem rzeczywistym, kiedy rozpoczęła się wojna. W pierwszym planie przewidywano podział Polski po ogólnej linii Narwi-Wisły. Późniejsze poprawki po pewnych ustępstwach Niemiec na terenie państw Bałtyckich, podział Polski zmieniono na ogólną linię rzeki Bug.

Znamy szereg wyjaśnień strony rosyjskiej w których na czoło wysuwają się względy taktyczne ale to nie tłumaczy istoty sprawy, jakim był sam pakt i cel tych posunięć. Rosja chciała mieć korzyści polityczne bez udziału w wojnie. Rosja socjalistyczna nie wyzbyła się imperializmu carów. Wybuchła wojna i mimo zabiegu państw zachodnich w Rosji, przebieg faktów politycznych odbył się zgodnie z treścią paktu, Rosja zajęła wschodnią część Polski. Spełniła wszystkie warunki jakie były treścią układu, tak że dostawy do Niemiec zboża rosyjskiego odbywały się do ostatnich godzin przed wybuchem wojny rosyjsko-niemieckiej. Ludność polska z terenów zajętych przez Rosję została wywieziona w głąb Rosji, tuż po podziale Polski. Opisy tych wędrówek ludności polskiej i jej cierpień podano w wielu książkach. Z tej wygnanej z kraju ludności utworzono później armię polską na wschodzie, pod dowództwem gen. Andersa. Wywiad nasz poprzez kanały dyplomatyczne ostrzegał dość wcześnie o planowanym uderzeniu na Rosję, ale przyjmowano to z rezerwą lub wprost z niedowierzaniem. Przewidywania nasze stały się rzeczywistością. Niemcy uderzyli na Rosję. Gen. Sikorski chciał wykorzystać tę okoliczność

aby poprawić i utożyć nasze stosunki ze wschodnim sąsiadem. Tak długo dokąd Rosja ponosiła klęskę za klęską na polu bitwy, wydawało się, że stosunki ~~będą~~ możliwe do utożenia. Z chwilą kiedy armia niemiecka załamywała się w sukcesach, polityka rosyjska w stosunku do Polski usztywniła się. Rosja stawiała warunki nie do przyjęcia dla narodu polskiego. Tak w kraju jak i na emigracji, powstały różne zdania na ten temat, powstały teorie o tonie rządu polskiego w Anglii, czyniono zarzuty gen. Sikorskiemu, że idzie na zbyt ~~duże~~ dalekie ustępstwa. Wyszła sprawa Katynia. Doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych. Armia polska z Rosji przeszła na bliski wschód. Wybuchło Powstanie Warszawskie i tu Rosja okazała prawdziwe swoje oblicze, wstrzymując operacje, nie pozwalając lądować samolotom angielskim na terenach zajętych przez nię. Samoloty te niosły pomoc dla powstańców, a ze względu na odległość lotów, korzystnym było aby mogły nabrać paliwa na drogę powrotną. Zginął gen. Sikorski w czasie lotu z bliskiego wschodu. Sprawy polskie pogarszały się z każdym dniem. Przyszła Jałta. Aresztowania A.K. przez władze sowieckie. Tworzono nową armię polską w Rosji, tworzono tymczasowy rząd

polski w Rosji. Tragedia narodu polskiego staje się rzeczywistością. W naszej armii na zachodzie budzą się wątpliwości co do słuszności wysiłku żołnierza polskiego, powstaje żal z powodu niespełnionych nadziei. Powstaje wątpliwość w słuszność powstania warszawskiego. Byliśmy wówczas w Bredzie, kiedy przyjechał do nas gen. Kukiel, ówczesny minister obrony narodowej rządu londyńskiego, na odprawie padały pytania pod adresem słuszności powstania. Jeden z oficerów zapytał się wprost. Kto odpowiedzialny jest za spowodowanie wybuchu powstania? Gen. Kukiel odpowiedział: Byliśmy postawieni w stanie faktycznym i musieliśmy akceptować wybuch powstania. Wszystkie te wypadki, nasz żołnierz na zachodzie, przeżywał bardzo głęboko, bez względu ~~na to~~ czy był to szeregowy, czy oficer. Doznawaliśmy zawodu ze strony aliantów ale w polityce liczy się tylko siła. W tym układzie siły nasze były bardzo mierne i mogły wyrażać tylko protest z którym de facto nikt się nie liczył. Żołnierz jednak tą polityką żył a każde jej posunięcie było barometrem samopoczucia. Mimo wszystko dotrwaliśmy do końca po jednej stronie frontu. Taki był przebieg naszych odczuć politycznych, jakże był on tragiczny. W odczuciu naszym staliśmy się narodem którejś tam klasy. Tak kończyły się nasze marzenia.

#

#

Były nawet pewne odruchy desperacji. Na pożegnalnym podwieczorku dla gen. Maczka w sztabie dowództwa artylerii dywizyjnej, w Lingen, oficerowie obecni stawiali wprost propozycję aby dywizja wymówiła posłuszeństwo dowództwu brytyjskiemu i uderzyła na wschód aby zademonstrować, że nie godzimy się z zaborem wschodnich części Polski i wcieleniem ich do Rosji. Na to gen. Maczek po pewnej chwili namysłu odpowiedział prosto: No tak, dojdziemy do linii styku z armią rosyjską wystrzelamy posiadaną amunicję spalimy posiadaną benzynę i co dalej? Brytyjczycy nie będą z nami walczyć, zamkną tylko dostawy amunicji i benzyny, to zamknie dalsze możliwości działania. Trzeba patrzeć na układy polityczne, które w tej chwili są dla nas niekorzystne. Argumenty dostatecznie przekonywujące. Na tym ten temat rozmów został zakończony.

Ocena naszej armii w tej wojnie może być kontrowersyjna. Trzeba cofnąć się do podstaw na których budowaną była armia, przecież zaczynaliśmy tworzyć ją od zera. Przede wszystkim nie istniał sztab nie było jego zawiązków ani ludzi z doświadczeniem w tym kierunku. Żaden z zaborców nie dopuszczał polaków do tajemnic sztabowych na szczeblu państwa. Nie mieliśmy żadnych tradycji pracy sztabów. Z historii wojskowości znamy wiele wypadków, że te siły zbrojne, które pierwsze wprowadziły w swoich armiach odniosiły zdecydowane zwycięstwa. W ogólnych ocenach sił militarnych jest przyjęte, że szkolenie sztabu trwa około dwadzieścia pięć lat. Z tego widzimy, że czasokres niepodległości nie pozwolił na należyte przygotowanie sztabu. Do tego dochodzą czynniki ludzkie a więc więcej lub mniej zdolni ludzie, większa lub mniejsza zdolność przewidywania. Wychodząc z tych założeń możemy z góry stwierdzić, że nasz sztab nie mógł być przygotowany do tego szczebla pracy. Jest to pewna forma usprawiedliwienia, chociaż nikt nie bierze tego pod uwagę, ocena wyniska z osiągnięć. Tak też przegrana wojna, spowodowała tak ujemną ocenę naszego sztabu. Tak też trzeba to przyjąć, bo stawką była niepodległość narodu, to była stawka najwyższa. Ludzie którzy stali

na tych stanowiskach winni sobie z tego zdać sprawę i ewentualnie zrezygnować a jeśli tego nie uczynili to już przez to samo wydali sobie świadectwo. Często się mówi, taka jest armia jakim jest ~~armia~~ sztab, w naszym wypadku to twierdzenie możnaby również przyjąć do oceny, ale! w tańsze to ale. W ogólnej ocenie możnaby odważyć się przyjąć stanowisko, organizacja armii zła, żołnierz dobry. Spróbujmy zanalizować organizację armii. Każda jednostka walcząca składa się z dwóch zasadniczych elementów to jest ilości ludzi i ilości i jakości uzbrojenia, dochodzi jeszcze trzeci element to jest zdolność ruchu. Dla ułatwienia analizy organizacji, rozpoczniemy od dołu od najmniejszej jednostki taktycznej jaką jest kompania. Ilość ludzi duża, uzbrojenie elementarne, jednostka ta nie była zdolną do samodzielnego działania, nawet ciężkie karabiny maszynowe, musiały być dodawane ze szczebla batalionu. Już na tym podstawowym szczeblu zachodziła konieczność dowodzenia, aby taką jednostkę puścić do samodzielnych zadań, potrzeba było szeregu wstępnych przygotowań. Wprowadzenie dodatkowych elementów, czasem zupełnie obcych nie sprzyjało samemu dowodzeniu. Jeżeli wyobrazimy sobie akcje bojowe, gdzie dochodzi różne zagrożenia

i konieczność szybkiego działania, to te wstępne przygotowania stwarzają już zamieszanie. Batalion ma taki sam charakter organizacji. Batalion jest już poważną jednostką taktyczną. Przygotowanie batalionu do akcji staje się już poważnym problemem. Szczebel pułku posiadał już wszystkie elementy do samodzielnego działania ale stan uzbrojenia był niewspółmierny do stanu ludzi. Dodatkowe obciążenia elementami pomocniczemi, zaopatrzeniem, był machiną ciężką, nie posiadającą należytych środków dowodzenia. No i odpowiedniego transportu. Procent personelu pomocniczego w stosunku do ilości żołnierzy bezpośrednio zaangażowanych w pierwsze linii walki, był zbyt wysoki. ~~By~~ Pułk stanowił jednostkę ciężką w walce skłonną do rozlatywania się z pod kontroli dowódcy. Jako następny szczebel możliwy a w wielu wypadkach konieczny brygada, nie istniała. Dywizja, jednostka duża, nieruchliwa, z powodu braku szczebla brygady często uciekano się do dorywczych organizacji oddziałów wydzielonych, to jest mieszaniny różnych broni do spełnienia określonego działania. Zasadniczym ~~bra~~ niedomaganiem organizacyjnym szczebla dywizji, był brak artylerii różnego rodzaju

albo artylerii było za mało. Oczywiście bierzemy pod uwagę stan rzeczywisty a nie etatowy, chociaż i etatowy posiadał te same braki. Od dywizji przychodzi przeskok do szczebla armii i znowu brak szczebla pośredniego to jest organizacji korpusu. Na szczeblu armii oderwa oderwa się konieczność dowodzenia również oddziałów wydzielonych, gdyż w skład armii z zasady wchodzi więcej niż trzy dywizje. Improwizuje się specjalne dowództwa oddziałów wydzielonych, często bez środków dowodzenia, które zastępuje się gońcem, ale to już nie te czasy aby tak można było dowodzić. Zasadniczą stroną ujemną w organizacji armii było słabe uzbrojenie, brak środków dowodzenia, konkretnie łączności i brak transportu. Już ta ocena stawia naszą armię na poziomie pierwszej wojny światowej. Moim bezpośrednim zainteresowaniem są środki łączności, gdyż sam byłem oficerem łączności i byłem zainteresowany tym zagadnieniem. Całą łączność na każdym szczeblu opierano na telefonie, to jest na drucie. Zdajemy sobie sprawę jak wrażliwy jest na uszkodzenie jest ten środek w warunkach pola bitwy. Ponadto technika budowy linii telefonicznych, była taka sama jak w pierwszej wojnie światowej, sprzęt nie funkcjonalny i drogi. W ostatnim okresie

przed wojną były próby wprowadzenia sprzętu radiotechnicznego ale jego rozwiązania techniczne ubliżały wszelkim walorom jaki mógł oczekiwać ten sprzęt. Jako przykład: napęd prądnic zasilania nadajników odbywał się ręcznie, pomysł transportu radiostacji przechodził wszelką logikę. Bawiono się, bo tak można powiedzieć, sygnalizacja optyczna jak aparaty sygnalizacyjne, latarze sygnalizacyjne, bo nawet dywizyjne gołębniki polowe, cóż za zacofanie! Na własną odpowiedzialność nie zabrałem gołębnika polowego na wojnę. Częściowo bazowano łączność na istniejących urządzeniach pocztowych. Tu znowu to „ale". Personel łączności całej armii nie był przygotowany do eksploatacji tych urządzeń, bezpośrednio nie znał tych urządzeń. Co gorsze na żadnym szczeblu nie wdrażano go do wykorzystania urządzeń pocztowych. Ponadto brak było ścisłej współpracy między pocztą a wojskami łączności. Istniał jakiś uporczywy opór w podnoszeniu kwalifikacji technicznych korpusu łączności tak oficerów jak również podoficerów. Jako młodzi oficerowie łączności byliśmy szczególnie zainteresowani podnoszeniem kwalifikacji technicznych, wyśmiewano się z nas, że chcemy być inżynierami a właśnie mamy być żołnierzami, tak jakby inżynier nie mógł być żołnierzem. Wręcz odwrotnie im lepszy inżynier tym lepszy

żołnierz swojego fachu, bo będzie mógł lepiej wywiązać się ze swoich zadań. Tłumaczyć to można tylko zacofaniem technicznym. Za to wszystko możnaby obciążać po nazwisku poszczególnych ludzi ale to już nam nic nie pomoże. Mając już tylko te skąpe oceny organizacyjne, możemy przejść do oceny wyszkolenia. Tu znowu trzeba postawić sobie pytanie, co chcemy uzyskać w wyszkoleniu to znaczy do jakiego systemu walki żołnierz ma być przygotowany. Mamy przed sobą dwie ewentualne groźby. Na zachodzie technika i ilość na wschodzie ilość, tak to możemy ocenić ogólnie. Z drugiej strony wiemy, że nacierający musi mieć przewagę tak liczebną jak i techniczną a więc jeżeli będziemy prowadzić wojnę, to tylko pod kątem obrony. Powiedzenie że najlepszą obroną jest natarcie, stanowi bzdurę, to da się zastosować tylko przy równowadze sił a w naszym wypadku taka nie istnieje. Nasuwa się wniosek prosty, żołnierz musi być w pierwszym rzędzie szkolony w obronie. Nie mam tu na myśli umocnień fortyfikacyjnych chociaż i one mają swój sens, ale wdrożenie żołnierza do obrony, obrony umiejętnej. Znam przykłady z ostatniej wojny, gdzie nieznaczne ~~je~~ ilości wojska zadały duże straty nawet wielkim jednostkom wyposażonym

w dobry sprzęt i dobrze uzbrojonym. Taki wypadek mieliśmy w walkach na zachodzie gdzie jeden batalion niemiecki nie pozwolił wyrzucić się całej dywizji. Drugi wypadek gdzie kompania angielska na przyczółku mostowym nie dała się wyrzucić całemu pułkowi niemieckiemu. Wracając do oceny naszej armii, piechota nasza nie była wyszkolona w obronie. Obrona we wszelkich ćwiczeniach była neglizowaną, traktowano ją jako zło konieczne, kunsztem było zawsze natarcie, zapominano, że żołnierz w natarciu jest doskonałym celem. Nie wdrażano w oddziały twardego trzymania terenu i umiejętności okopywania się i wykorzystania terenu jako naturalnego środka obrony. Nasza piechota siedziała miękko w terenie. Nawet regulamin podawał, że natarcie kończy się szturmem z okrzykiem hura! O naiwności, obrońca tylko na to czeka i kosi wszystko co żywe. Dobrego obrońcę żadne natarcie piechoty nie ruszy, ruszy go tylko ogień artylerii i to nie zawsze, ora bombardowanie lotnicze. Piechota nie wdrożona do walki z bronią pancerną. Zdajemy sobie sprawę, że nie mieliśmy wystarczającej ilości artylerii, ale to co mieliśmy, też nie przygotowano należycie do ewentualnego działania przeciw broni pancernej, chodzi o artylerię lekką. Ani razu na poligonach nie widziałem ostrych strzelań bezpośrednich do celów ruchomych, a przecież trzeba było się

pierwé z działaniem nieprzyjacielskiej broni pancernej. Artylerzyści dobrze posługiwali się ogniami pośrednimi ale i do jako środek łączności, tylko telefon, który paraliżował ruchy obserwatora. W moim mniemaniu najlepiej wyszkolona była kawaleria. Duch działań zaczepnych dominował w każdym posunięciu. Duża zwardość. Polskie tradycje tej broni odgrywały niepoślednią rolę. Gdyby tych żołnierzy przenieść na uzbrojenie pancerne stanowiłaby ona wspaniałe wojsko, co zresztą widocznym było w 1 Dywizji Pancernej na zachodzie. Takie jednostki jak kawaleria dawniej i broń pancerna obecnie są elementem zaczepnym i do należało na pierwszym planie postawić natarcie a na drugim obronę z naszym wypadku rozumiała to kawaleria nie rozumiała tego piechota, co było naszym istotnym niedomaganiem. Każda nowa wojna wymaga nowych rozwiązań, nowych pomysłów, wymaga twórczej inicjatywy. Niedotrzeganie trzymanie się zasad i stosowanie w ubiegłej wojnie w nowej rzeczywistości stało się tragedią. W tańcu te elementy przeżyliśmy bardzo tragicznie. Zadaję sobie pytanie, dlaczego tak było, należałoby jeszcze dodać, że sztab gotowy intelektualnie nie dorósł do swoich zadań a może brak

było nam tradycji pracy sztabów, myślę że miało to niepoślednie znaczenie. Zakończyła się wojna, wyznaczono nam rejon okupacyjny w zachodnich Niemczech na odcinku styku z granicą holenderską. Zajęć dużo nie było Niemcy byli potulni, to też czas w większości spędzało się na wyjazdach do Holandii, Belgii, Francji i Anglii. Każdy z żołnierzy zaczął myśleć o swoim życiu prywatnym i swojej przyszłości. Gromadził zasoby finansowe i pobierał decyzję co ma robić dalej. Część decydowała się na powrót do Kraju, część zaś pozostawała na zachodzie. Codzienne dyskusje argumenty za i przeciw były codziennym tematem. Ogólne nastawienie z góry szło po linii pozostania na zachodzie, jakieś nadziej, przewidywania, niczem nie uzasadnione, ale nie stawiano tych spraw zbyt drastycznie, życie przebiegało harmonijnie między obu stronami i tak powoli rozchodzili się towarzysze broni, którzy przeżyli wspólne niebezpieczeństwa, jedni szli na wschód do Kraju, drudzy odchodzili na zachód układając sobie warunki egzystencji w nowym otoczeniu. Zdecydowałem się na powrót do Kraju, zresztą nigdy inaczej nie myślałem. Z Kraju dochodziły nas wiadomości naogół nie pomyślne, tak

z wewnątrz Kraju jak i w stosunku do powracających żołnierzy z zachodu. Utworzono ośrodki ewakuacyjne w Niemczech gdzie kierowano powracających do kraju. W takim ośrodku w pierwszym rzędzie należało się zgłosić w delegaturze przysłanej z Polski przez nowe władze, które kwalifikowały, czy dany osobnik może powrócić do Polski. Takie badania przeszedłem i ja również. Rumieniec wstydu oblewał moją twarz, kiedy musiałem odpowiadać na stawiane mi pytania. Ja żołnierz Polak, walczący o kraj byłem egzaminowany przez osobnika o podejrzanym pochodzeniu, który nawet palcem nie kiwnął dla obrony Polski on dziś decyduje, czy mam prawo do niej powrócić. Wyszedłem z tego biura zpocony ale ze wstydu. Dostałem pozwolenie na powrót do kraju. Krótki pobyt w ośrodku. Podstawiono zestaw pociągu kolejowego, załadowano nas, było tysiąca ludzi a może więcej. Zostałem komendantem transportu, ponadto był pluton brytyjczyków, który miał pilnować aby zestaw pociągu powrócił do Niemiec, bo zdarzały się podobno wypadki, że takie pociągi bez konwoju nie powracały. Ruszyliśmy w drogę. Pierwszy postój na linii demarkacyjnej. Po stronie angielskiej

Kontrola celna przeszła dość łatwo, po stronie rosyjskiej zaczęto szukać niewiadomo czego, mówiono, że szukają narkotyków ale z naszym transporcie nikt narkotyków nie posiadał więc kontrol przeszła dość łatwo zakropiona spora ilość łez radości. Dalsza podróż przebiegała spokojnie chociaż leniwie. Cała podróż trwała około dwie doby. Dnia 24 czerwca 1947 roku przybyliśmy do Szczecina, był już wieczór. Zgłosił się przedstawiciel z P.U.R. /Państwowy Urząd Repatriacyjny/ i objaśnił o dalszym przebiegu czynności z obozie przejściowym. Na drugi dzień rano, samochodami, ludzi i ich dobytek przewieziono do obozu, były to koszary poniemieckie. Przekazałem do kuchni obozowej prowiant przywieziony a przeznaczony na okres podróży i na tym skończyły się moje kłopoty prowadzenia transportu. Teraz zostałem już tylko sam ze swoimi bagażami i psem myśliwskim o nazwie „Asan". Tak po siedmiu i pół roku powróciłem do kraju. Kończąc ten mój okres wojenny można powiedzieć, że obfitował on w dużo przeżyć i niebezpieczeństw zagrażających życiu mojemu. W czasie tym przeżyłem dwanaście lat w warunkach wojennych ponadto dwa lata okupacji Niemiec. Jeden cały rok bratem bezpośrednio udział w pierwszej linii walki.

Pięć razy przechodziłem linię frontu, to jest z jednej strony wojsk walczących na drugą stronę. Trzy razy przekroczyłem się z oddziałami z okrążenia przy niemcach. To co wiem na pewno, trzy razy byłem na celowniku, pociski milimetry od głowy. Jako pewna forma wynagrodzenia, to dla was na majora na polu walki, odznaczenia: krzyż Virtuti Militari, Krzyż Walecznych, krzyż złoty Zasługi z mieczami, Medal Wojska Polskiego, medale angielskie - 1939-45 Star, France and Germany Star, Defence Medal, The War Medal. Myślę, że starczy jak na życie jednego człowieka. Chociaż te wszystkie odznaczenia nie mogą rekompensować zrzeczenia się na rzecz własnego życia, ale to już filozofia. Wróćmy do obozu repatriacyjnego. Tu znowu cały szereg formalności, płacenie się symboliczną złotówkę za wwieziony majątek do kraju, szczegółowe badania w placówce U.B. /urząd bezpieczeństwa/ gdzie zabrano wszystkie dowody osobiste, nawet legitymację towarzystwa polsko-szkockiego. Pozostał mi dowód oficerski. Przez pomyłkę w Dyrekcji dostałem dwa dowody i ten drugi musiałem ukryty w bagażach, tak przechowałem go do dzisiaj. Posiadaną broń zabrało U.B. a poza bronią boczną posiadałem dwie dubeltówki, które złożyłem się do jako depozyt.

Po roku odebrałem jedną swoją dubeltówkę a druga zaginęła, w zamiad dostałem nieużytecznego grata, o pistolet już się nie dopominałem, zresztą nie uzyskałem na tę broń pozwolenia. Była to duża odwaga a i lekkomyślność aby w tym czasie odebrać broń z U.B. ale udało się. Po załatwieniu tych wszystkich formalności otrzymałem bilety kolejowe do miejsca zamieszkania. Bagażu miałem dość dużo i w pojedynkę nie było możliwości poradzić sobie z jego załadowaniem na pociąg a nawet zabraniem go z obozu. Szczęśliwy zbieg okoliczności, syn jakby wyczuł datę mojego przyjazdu, zresztą pisałem o przybliżonym przyjeździe, ale wtedy nie wiedziałem, gdzie mnie skierują, dowiedział się gdzie przybywają repatrianci i przyjechał na drugi dzień po moim przybyciu do Szczecina. To już dawało mi szanse szczęśliwego przybycia do Siedlec bez utraty bagażu. Ponieważ na każdym kroku nasuwały się trudności z załadowaniem bagażu do pociągu osobowego. Bo trzeba było przyjąć zasadę, aby bagażu nie utracić, trzeba było z nim jechać. A więc papierosy (których odczuwało się brak) lub dolar, torowały drogę ze Szczecina przez Warszawę, gdzie trzeba było przewieźć bagaż z dworca Głównego na Wschodni, aż do Siedlec a było tego bagażu prawie cały samochód

trzytonowy. Syn mnie spotkał wraz ze stosem bagażu na dziedzińcu obozu. Mimo odległego czasu poznałem go już z daleka szedł do mnie prosto, i on mnie poznał z daleka a przecież widział mnie ostatnio, pół swojego wieku przedtem. Z takimi napozór drobnymi trudnościami dojechaliśmy do Siedlec. Syn pobiegł do domu, żeby zawiadomić o naszym przyjeździe a następnie sprowadził furmankę aby przewieźć bagaż. W międzyczasie nadbiegła córka, mimo że zostawiłem ją jako małe dziecko, poznałem ją odrazu, to już duża dziewczyna, rzuciła mi się na szyję, trochę łzy pociekły. Z żoną przywitaliśmy się dopiero w domu, była na lekcjach, pracowała jako nauczycielka, spotkanie rozczulające. Warunki mieszkalne ciężkie, złożony bagaż stworzył te warunki jeszcze gorsze. Bagaż był duży, gdyż przywiozłem ze sobą całe wyposażenie warsztatu radiomechanika, a więc przyrządy pomiarowe, narzędzia i niezbędne części zamienne. Ponadto liczyłem się z brakami w kraju, to też włożyłem wysiłek aby jak najwięcej przywieźć odzieży, butów i bielizny, a także materiałów na ubrania. Wszystko to w znacznym stopniu poprawiło sytuację a wiele z tych rzeczy przetrwało kilkanaście lat.

Zaczęłam orjentować się w warunkach wewnętrznych kraju. Bądź co bądź siedmioletni pobyt za granicą, wyrzut jakieś piętno na moim sposobie bycia i na moim charakterze. Otóż mnie raziło swoim zachowaniem, brak poszanowania porządku ogólnego i prawa, wielka różnica standartu życia i widoczny strach na twarzach ludzi, brak inteligencji wyniszczony przez obydwie strony. Odnosiło się wrażenie, że ta wojna trwa jeszcze wciąż. W tajemnicy można by zaryzykować określenie, że było tak w rzeczywistości. Naród wszelkimi siłami bronił się przed dominacją Radziecką i przed wpływem komunizmu. Różnego rodzaju porachunki nie rzadko kończyły się śmiercią. Atmosfera ciężka, zniszczenia wojenne, wymieszanie ludności, władze rządzące na niskim poziomie, stwarzały koszmarne warunki życia. W takiej sytuacji trzeba było myśleć o wyszukaniu pracy i zapewnieniu jakiejś egzystencji, bo zasoby przywiezione nie mogły starczyć na dłuższy okres. Formalnie nie byłem zwolniony z wojska, więc udałem się do dowództwa Tczewskiej MOK aby dowiedzieć się jak mam dalej traktować swój stan żołnierski. W dowództwie Tczewskiej spotkałem znajomego mi porucznika, który

był zastępcą dowódcy Tęczowości, gdyż dowódcą Tęczowości był rosyjanin, przyjął mnie entuzjastycznie i zaoferował przyjęcie do Tęczowości. Byłem tak samo naiwny jak wielu innych, tam w MOW rządziły inne prawa i z takim przebiegiem służby wojskowej jak ja, nie potrzebowali, wręcz bali się mieszać ich do istniejącej armii. Ale spotykając życzliwego znajomego, złożyłem podanie, cała ta sprawa wydawała mi się bez sensu, bo już widziałem sytuację i rzeczywiście podanie zostało załatwione odmownie z czego nie byłem zdziwiony. To mi dało pełne prawo do przejścia do normalnego życia cywilnego i nie oglądając się na nic innego rozpocząłem starania na zaangażowanie się do pracy. Przejście z życia wojskowego do życia cywilnego nie jest łatwe. Człowiek w pewnej formie czuje się chorym psychicznie i musi upłynąć czas zanim powróci do równowagi. Takie załamanie przechodziłem również, chociaż nie występowało ono w ostrej formie. Miałem kolegów którzy do końca życia nie mogli się pozbyć psychiki żołnierza mimo, że pracowali już pół kilkanaście lat jako pracownicy cywilni, to często ich gubiło, odchodzili przedwcześnie z tego świata. W pierwszej kolejności pracy poszukiwałem

w Warszawie. Pracę miałem ale przyjąć jej nie mogłem ze względu na brak mieszkania. Liczyłem na Gdańsk, zawsze to okno na szeroki świat, do którego się już przyzwyczaiłem. W międzyczasie dowiedzieliśmy się, że brat żony znajduje się we Wrocławiu i postanowiliśmy zbadać tam możliwości zamieszkania, bo praca napewno się znajdzie. Znowu przychodziły nowe refleksje i rozterki. Żołnierz na froncie nigdy nie myśli o odznaczeniach czy majątku czy o jakichś ideach lecz myśli zawsze w każdej sytuacji, że kiedy powróci do domu, będzie powitany radośnie przez społeczeństwo, to będzie widoczna podzięka za jego wysiłek i narażanie swojego życia. Tę największą radość nam odebrano, a przecież tak to niewiele kosztuje. Istnieje powiedzenie od czasów greckich, że żołnierz z wojny wraca z tarczą albo na tarczy. Myśmy wrócili z tarczą ale nim dotarliśmy do naszych domów, tarczę nam odarto, poraniono i oplfano. I to przez to własne społeczeństwo biorąc globalnie za które żołnierz walczył. Czy może być coś bardziej tragiczne i niedorzeczne. Tym w przyszłości zajmie się historia. Ludzie ci nawet nie pomyślą, że gdyby nie my i tysiące innych, którzy polegli na polu walki lub stali się kalekami, to dzisiaj ci którzy darzą nas obelgami, byliby parobkami u niemców

w razie ich zwycięstwa albo kołchoźnikami gdzieś w głębi Rosji. Gdyby nie hamulce powodowane istnieniem armii polskie walczącej na frontach, wstko jedno których, to podzielilibyśmy losy państw bałtyckich. Opozycja jawna wewnątrz kraju wykruszała się, n.b. mając dobre wzorce sprawnie działała, zaczęto mówić tylko szeptem i to do dobrze zaufanych ludzi. Niekontrolowanych wiadomości tak krajowych jak i zagranicznych nie umieszczano w środkach masowego przekazu, uciekano się do słuchania radiowych wiadomości z zachodu. Wróćmy jednak do trosk codziennego życia. Wyjechaliśmy z żoną do Wrocławia. Miasto robiło przygnębiające pierwsze wrażenie. Ruiny, śmieci i nie-ciekawa publiczność. Zatrzymaliśmy się tutaj dwa dni szukając możliwości zamieszkania. Trafiłem na domek przy ulicy Okrężnej 8, gdzie mieszkający w nim ludzie chcieli go odstąpić za opłatą. Uzgodniliśmy cenę i termin naszego przyjazdu. Dom był dość zruinowany, ale możliwy do zamieszkania, częściowo już był poprawiony, ale jeszcze na piętrze jeden pokój nie posiadał sufitu, dziury w ścianach już były zamurowane a dach jako tako poprawiony. Trzeba było liczyć się

z remontem,

Decyzja powzięta, po pewnych oporach żony, osiedlamy się we Wrocławiu. Powrót do Siedlec i przygotowanie do wyjazdu. Żona pozostała jeszcze w Siedlcach gdyż jako nauczycielka musiała rozwiązać stosunek służbowy, ja zaś z dziećmi dostaliśmy wagon towarowy załadowaliśmy rzeczy do wagonu, otrzymaliśmy piecyk do ogrzewania, bo był to listopad, i tak transportem pociągu towarowego dojechaliśmy do Wrocławia. Sprawy objęcia domu przebiegały zgodnie z umową, więc cała ta podróż zakończyła się pomyślnie, chociaż można było się liczyć z różnymi zaskoczeniami. Poprostu ryzykowałem. Przyjechaliśmy do Wrocławia 19. listopada 1947r. Rozpocząłem pracę w Centrali Handlowej Przemysłu Elektrotechnicznego. Po miesiącu żona dołączyła do nas i tak zostało załatwione cała przeprowadzka. Jeszcze przez okres prawie roku mieszkał na piętrze poprzedni lokator, a gdzieś w jesieni mieliśmy cały dom do dyspozycji. Trzeba było zająć się pracami, przy różnego rodzaju niezbędnych poprawkach przy domu a także uporządkowaniem ogrodu. Były duże trudności, w pierwszym rzędzie nie było materiałów budowlanych a następnie nie było komu wykonać tych robót, co niektóre robiłem sam,

ale nie byłem do tego przygotowany i wszystkiego musiałem się uczyć. Jednak sam dużo rzeczy zrobiłem przy tych pracach remontowych. Zarobki były bardzo mizerne i nie wystarczały na utrzymanie rodziny, toteż musiałem czerpać z przywiezionych zapasów. Sprzedałem znaczną część aparatury pomiarowej i narzędzi z mojego zestawu warsztatu radiomechanika. Powoli zarobki zaczęły się poprawiać tak, że z trudem można było utrzymać rodzinę. Żona przestała pracować po odejściu z Siedlec. Dzieci poszły do szkoły. Syn do liceum elektrycznego a córka do szkoły podstawowej. Życie powoli się normowało ale warunki polityczno-społeczne stawały się coraz cięższe. Musiałem ustalić stosunek z władzami wojskowymi. Wzywano mnie kilkanaście razy do RKU, a za każdym razem rozpoczynało się wszystko od pisania życiorysu i przebiegu służby wojskowej i tak wkółko. W końcu przeniesiono mnie do rezerwy i wydano książeczkę wojskową. Ustało wypisywanie życiorysów. Nie uniknęliśmy również pewnej nagonki. Córka przyjaźniła się z dziewczynką z domu w niedalekim sąsiedztwie. W tym domu koleżanki u.B. urządziło „kocioł"; ponieważ w tym czasie córka była w tym właśnie domu, drugi „kocioł" urządzono w naszym domu. Cały tydzień nie wolno było nam się wydalać.

Ktokolwiek przyszedł przypadkowo, był zaskoczony i przestraszony a zwłaszcza kolejność bytem przestraszony ja. Nie wiedziałem wogóle o co chodzi, pytanie dotyczyły sytuacji w kraju w czasie okupacji a ja przecież w tym czasie byłem na zachodzie. Te siedem dni były pełne nerwowości i napięcia. Zlikwidowano „kotły" zabrano domniemanych podejrzanych. Z naszego domu zabrano tylko mnie. Ponieważ nie mogłem dać żadnego materiału potrzebnego UB, więc w urzędzie, po małym przesłuchaniu zostałem zwolniony. Odczułem wielką ulgę, ale pewna ilość osób, nieznanych mi pozostała w więzieniu i po paru latach powróciły do domu a były takie które wogóle nie powróciły. Parę lat przeżyłem względnie spokojnie. Kupiłem od Państwa PRL wspomniany wyżej domek wraz z parcelą. Byłem jednak zbieg okoliczności z kupnem, gdyż w komisji, która zajmowała się sprzedażą, był kolega z Dywizji i on mnie kierował oraz popierał moją osobę przy kupnie. Pieniędzy nie było tyle dużo ale spłacałem te należności przez pięć lat. Gdzieś koło roku 1950 zaczęła się nagonka na takich ludzi, z taką przeszłością jak ja. Nazywało to się „położenie na czarnowicz". Zaczęto wyrzucać mnie z pracy. Mówiono mi, że nie mogę zajmować stanowisk kierowniczych

Przyjmowałem pracę na stanowiskach nie kierowniczych ale też mnie wyrzucano. Byli to ludzie którzy chcieli wykazać się aktywną pracą, więc jest tu taki, jak mówiono, zakażony zachodem, więc należy go wyrzuć. W końcu trafiłem do spółdzielni elektrycznej, tu miałem trochę spokoju ale nie schodziłem z uwagi partii. Jeszcze przed przeniesieniem do spółdzielni pracowałem w Elektromontażu. W tym czasie zmarł Stalin. We Wrocławiu, oczywiście i w całej Polsce, zarządzono dzień żałoby. O pewnej godzinie, wszyscy mieszkańcy mieli zatrzymać się ~~w tym~~ miejscu z odkrytymi głowami, tam gdzie zastanie ich sygnał syren i stać do czasu zakończenia sygnału, wszystkie środki lokomocji miejskiej musiały stać w miejscu. Ta ceremonia zastała mnie wraz z moim kolegą z pracy, na ulicy, weszliśmy do bramy i śmialiśmy się z tego widowiska a syreny wyły. Tak pożegnaliśmy nienawidzonego człowieka. Syn kończył liceum, myślałem o wyższej uczelni. Wiedziałem, że dzieci rodziców o takiej przeszłości jak ja, nie mają prawa wstępu na wyższą uczelnię, ale nie rezygnowałem, szukałem różnych dróg, nic z tego nie wyszło. Syn nawet prosił przewodniczącego ZMP aby poparł jego starania, dał mu list do władz

ale byłem przezorny, list otworzyłem, a widząc wyraźne zastrzeżenie, że syn nie może być skierowany na wyższą uczelnię, ze względu na pochodzenie, list nie dotarł do adresata. Syn rozpoczął pracować i równocześnie uczęszczał na wieczorową szkołę inżynierską, wydział elektryczny, którą ukończył i otrzymał dyplom inżyniera. Podobnie potoczyła się sprawa córki przyjęcia na wyższą uczelnię. Dopuszczono ją do egzaminu na WSR. Egzamin zdała ale na liście przyjęć jej nie było. Kiedy zgłosiła się w sekretariacie szkoły z zapytaniem o przyjęcie, sekretarka odpowiedziała wprost: czy pani nie wie, że dla córy kandydaci jak pani to nie mogą być przyjęci. Był to już czas kiedy zdołałem nawiązać się obracać w istniejących środowisku. Przyjęcie na uczelnię zależało od delegata ZMP z Warszawy, który decydował o przyjęciach bez względu na wyniki egzaminów. Poza znajomości dotarłem do tego „basa" i skromną trzy tysiące otwarty jej drogę do wyższych studiów. Ciekawe spostrzeżenia odniosła córka, kiedy po egzaminach i ogłoszeniu przyjęć, zgłosiła się do niego, był opryskliwy i nie chciał z nią rozmawiać, po czterech operacji, kiedy zwróciła się powtórnie, był

uprzejmy i natychmiast zadecydował aby ją przyjąć. Tak uporałem się z przyjęciem dzieci na wyższe studia. Już w czasie wyższych studiów nie miałem kłopotu z dziećmi, oboje ukończyli je bez większych trudności. Tylko córka zmieniła uczelnię ze względu na brak zainteresowania rolnictwem, przeniosła się na WSE wydział inżynieryjny. To wyrzucenie mnie do spółdzielczości okazało się korzystne. Zacząłem dużo więcej zarabiać. Skończyła się moja choroba wojskowa, to znaczy nabyta w życiu wojskowym i stanąłem na gruncie normalnego człowieka w życiu cywilnym. Presję partii i jej szczególną opiekę zawsze odczuwałem, musiałem być ostrożnym w wypowiedziach a wiele rzeczy, to znaczy wypowiedzi uchodziło mi na sucho, byłem znany jako opozycjonista i wiele razy nie liczyłem się z wypowiedziami krytycznymi, szczególnie w okolicznościach nadużyć. Często uwagi moje dotyczyły spraw politycznych, wskazywałem wskazywałem na ich niedrzeczność. Jednym z utrapień tego okresu były pochody pierwszo-majowe jako obowiązkowe. W dniu pochodu wszyscy zbierali się w swoich zakładach na wyznaczoną godzinę. Personalny sprawdzał listę obecności i pilnował aby nikt nie ubył w czasie przemarszu. Rozdawano szturmówki

(proporce o barwach czerwonych), napisy z hasłami podanymi przez partię, portrety ideologów partyjnych i aktualnych przewódców partii. Tak uformowany pochód ze wszystkich przedsiębiorstw Wrocławie przechodził przed trybunami na placu Grunwaldzkim. Na jednym z tych pochodów, grupa młodych ludzi wyposażona w papierowe tulipany, bo świeżych jeszcze nie było, przechodząc przed trybuną skandowała w tak marszu: Stalin, Bierut, Stalin, Bierut; to wznosząc to opuszczając barwne tulipany. To wyglądało barwnie ale jak przykre wrażenie mogło to czynić na polaku. Aby uprzyjemnić czas wyczekiwania na przemarsz po ulicach rozstawione były ruchome kioski, gdzie można było coś nabyć do jedzenia lub wypicia. Taki pochód i jego przygotowanie trwało kilka godzin. Megafony ryczały bez przerwy a spikerzy zachwycali się każdą grupą mijającą trybuny. Wyliczano ilości przodowników pracy, procentowe wykonanie planu, wygląd prezentującej się grupy i inscenizowali okrzyki i oklaski. To była dobrze zorganizowana machina propagandowa. Tak mijały lata z nadzieją, że to wszystko musi się jakoś zmienić i przybrać formę bardziej rzeczywistego życia, które nie było łatwe.

Nadszedł październik 1956 roku. Byłem wówczas na wykonywaniu prac pomiarowych w Szklarskiej Porębie. Już kończyłem pracę o godzinach popołudniowych, kiedy zjawiły się trzy obce samochody typu Hunber lub Mercedes wypełnione podróżnymi. Zdziwił mnie to trochę, gdyż sezon wczasowy się już skończył, dziwiło to również turystów, ale przecież może jakaś władza na kontrol, wszystko możliwe. Pasażerowie tych samochodów o zagadkowym zachowaniu się, zatrzymali wozy, rozejrzeli się i odjechali. Trochę mnie to zainteresowało bo samochody tych marek były rzadkością. Złożyłem aparaturę i poszedłem na przystanek autobusowy. Tu znacznie zagęszczenie wyjeżdżających. Od niechcenia zagadnąłem obok mnie czekającego na autobus. Cóż to tak dużo pasażerów dzisiaj? Na to otrzymałem odpowiedź: To pan nie wie, że z Poznania różnych? Przyjąłem to do wiadomości i dziwiłem się wiadomości sobie przyczyny zagadkowych samochodów. Ci którzy dotychczas pozostali szukali drogi do ojczystego azylu. Najbliższym autobusem udałem się do Wrocławia. Tu różnych były już w pełnym toku. Wszędzie na ulicach, transparenty, okrzyki przeciwko Radzieckie i przeciwko Rokossowskiemu

Zrzucano tablice z nazwami ulic, na przykład ulica Stalina, tłumy zbierały się w niektórych dzielnicach, młodzież okupowała uczelnie. Władze bezpieczeństwa nie interweniowały. Trwało to wszystko parę dni, naród czuł, że zrzuca jarzmo U.B., radował się, że może bezkarnie wydobyć okrzyk przeciwko Związkowi Radzieckiemu, że musi zmniejszyć się ucisk. Nie jest moim celem opisywanie przebiegu tych rozruchów, lecz pozostanę tylko przy rezultacie wpływu na moje samopoczucie i warunkach pracy. Odczułem pewną ulgę, przestano chodzić mi po piętach, chociaż od czasu do czasu, czułem, że jestem pod kontrolą, ale powoli sprawy te stawały się łagodniejsze i mogłem nawet zająć stanowisko kierownicze. Byłem wybrany przez załogę na prezesa spółdzielni Elektryków. Ale i wówczas szukano różnych podstępnych wybiegów aby mnie skompromitować, nie udało się to, odszedłem sam, aby mieć spokój. Unikałem stanowisk, pracowałem dla zarobku. Uważałem to za właściwy kierunek postępowania, i wydaje mi się, że miałem rację, wysokie zarobki pozwoliły mi na osiągnięcie dość wysokiej emerytury. W roku 1958 gen. Rómmel wydał swoją książkę za Honor i Ojczyznę. Był to

przebieg walk armii „Łódź". Pewnego dnia jeden z współpracowników zapytał się: czy pan ma na imię Piotr? Odpowiedziałem, Tak, czemu się pan pyta? Bo widzi pan, wydaje mi się, że widziałem pańskie nazwisko jako odznaczonego krzyżem Virtuti Militari, ale jeszcze sprawdzę i jutro panu powiem. Rzeczywiście, na drugi dzień miałem tę książkę w ręku i stwierdziłem to naocznie. Ucieszyło mnie to, ale refleksje różne. Przede wszystkim, kto mógł mnie podać do tak wysokiego odznaczenia. Wiedziałem, że wszyscy moi przełożeni zostali zabici, pozostał tylko jeden człowiek, który mógł to uczynić a był nim gen. Cechak dowódca dywizji a z którym miałem dość częstą styczność w czasie walk. Kampanię zakończyłem nie razem ze sztabem lecz oddzielnie. Jednak widocznie generał mnie doceniał i w odpowiednim czasie podał do odznaczenia. Napisałem zaraz list do gen. Rómmla, zaraz otrzymałem odpowiedź z potwierdzeniem. W następstwie tego ZBoiWD zorganizował ~~we~~ we Wrocławiu uroczyste wręczenie odznaczeń. Tak prawie po dwudziestu latach dowiedziałem się o moim najwyższym odznaczeniu żołnierskim. Ta nagroda nie spełniła już swojego zadania, byłem sceptykiem.

X

Dzieci wchodziły w okres młodzieżowy, studiowały. Zawsze przebywało w domu dużo koleżanek i kolegów, urządzano imieniny, herbatki, lecz wszystkie te zabawy odbywały się w domu lub w domach kolegów i koleżanek, unikano lokali. Czasem tylko zabawy noworoczne spędzali w klubach studenckich. Kłopotów z nauką nie było. Raz tylko zaszło nieporozumienie na uczelni córki. Jeden z profesorów uprzedził się do córki, tak przynajmniej wyglądało, i parę razy z rzędu oblewał ją na egzaminie. Przedtem już poznałem tego profesora i jego asystenta. Przypadkowo spotkałem tego asystenta i zwierzyłem się z tych kłopotów. Przyrzekł mi zapoznać się z tą sprawą i poinformować córkę. Kiedy asystent poinformował profesora o oblewanej ~~as~~ studentce, kto ona jest, był tym zażenowany, odpowiedział: ja myślałem, że to jest krewna Chełchowskiego (dotyczyło to partyjniaka sekretarza PZPR we Wrocławiu) i dodał, - niech się ona do mnie zgłosi. Córka się zgłosiła, indeks podpisany bez egzaminu. Przytoczyłem ten wypadek jako charakterystyczny w nastrojach społeczeństwa w stosunku do władz rządzących. Dzieci doszły do wieku dojrzałego i zaczęły układać swoje życie samodzielne. Syn będąc w Warszawie u kolegi poznał studentkę

biologii Barbarę Strzęb. Nawiązali bliższe stosunki, wywiązała się miłość a po ukończeniu studiów odbył się ślub. Nowa gałąź w genealogicznym układzie rodziny. Urodził się syn, nadano mu imię Marek Maria, było to 11. ~~marca~~ LUTEGO 1957 roku. Zostałem dziadkiem. W miarę czasu co raz częściej słyszałem to słowo, które stwarzało mi pewne trudności w przyzwyczajeniu się. Może to pewien przejaw psychiczny obrony przed starzeniem. Radość była, ród zachowany. Córka kończyła uczelnię, miała również sympatię. Nie byliśmy zadowoleni z tego pana, za często zaglądał do kieliszka, to mogło być tragiczne, po pewnych perspazjach, zerwała z nim stosunki, chociaż nie było to łatwe. Na balu studenckim poznała jugosłowianina, który przebywała na stażu we Wrocławiu w Instytucie Etnograficznym, był on etnografem. Nawiązały się stosunki i znowu miłość, zwykła kolejność w takich wypadkach. Ostatecznie wyłoniła się sprawa małżeństwa. Nie była to łatwa decyzja, gdyż on nie decydował się pozostać w Polsce. Bądź co bądź, obcokrajowiec, córka daleko od domu, nie wiadomo jak przyjmie ją druga strona rodziny, a ponadto jakie

będą warunki egzystencji w jej nowym kraju. Można by powiedzieć spiętrzone trudności. Ponadto te same zastrzeżenia wyłaniały się ze strony jego rodziny. Dzięki taktowi przyszłego zięcia, wszystko zakończyło się pomyślnie. Ślub odbył się we Wrocławiu 25 sierpnia 1960 roku. Tak Dušan (czytaj Duszan) Drljača (czytaj Drljacza) został naszym zięciem. W międzyczasie córka kończyła pracę magisterską na uczelni. W tymże roku córka otrzymała dyplom z tytułem magister inżynier. Ale życie jest życiem i trudności zawsze się wyłaniają. Zięć po ukończeniu praktyki musiał powrócić do kraju. Postarał się jednak o powtórny staż i przyjechał na cały rok. W tym czasie urodziła im się córka, a nam wnuczka, 5 stycznia 1961 roku. Nadano jej imię Jadranka Małgorzata. Jeszcze rok przebywali u nas. Zięć odjechał aby w Jugosławji przygotować warunki zamieszkania a my przygotowywaliśmy córkę i wnuczkę do wyjazdu. Trudności dużo. Paszport, przygotowanie rzeczy, nazwijmy to wyprawą, bo przecież musiała z czymś zacząć życie, zapakowanie tego wszystkiego i nadanie na bagaż a wszystko to musiało przejść przez komorę celną. Wreszcie nadszedł i dzień wyjazdu. Bardzo ciężki dla nas rodziców dzień,

Stosunki w Jugosławii ułożyły się pomyślnie. Odwiedziliśmy parę razy Belgrad, gdzie zamieszkiwali, poznaliśmy sympatyczną rodzinę zięcia. Pozostaliśmy sami w domu. Po tym tak gwarnym życiu domowym pozostała cisza i pewnego rodzaju pustka. Syn mieszkał oddzielnie na drugim krańcu miasta, tylko wnuczek przybywał często w nas. Mieszkanie na piętrze doprowadziliśmy do możliwego stanu i syn przeniósł się do domu. Po ~~pewnym~~ paru latach syn przeniósł się na parter a myśmy zajęli mieszkanie na piętrze. Dużo pracy poświęciłem pracom w ogrodzie. Dawało mi to przyjemność no i pożytek, owoce od wczesnej wiosny do zimy. Poprzez tem kulturę ziemi w ogrodzie i posadziłem wszystkie nowe drzewa a było ich około trzydziestu. Ponadto około 150 róż szlachetnych krzaczastych. Należałoby jeszcze wspomnieć, że w tym okresie po powrocie do kraju, przestawiłem się z tłoczenia na elektrotechnikę. Ta specjalność dawała mi w tym okresie większe szanse zarobku. Skupiłem się na pomiarach elektrycznych. Odczuwało się wielki brak przyrządów pomiarowych, dlatego postanowiłem do zrobienia ich we własnym zakresie. W pierwszej kolejności zrobiłem mostek kompensacyjny do pomiaru rezystancji, a następnie przyrząd do pomiaru skuteczności zerowania

układzie prostym i mostek do pomiaru skuteczności zerowania różnicowy. Były to przyrządy pierwsze w Polsce, praktycznie wykorzystywane. Przyrządy te służyły mi do końca mojej pracy zawodowej. Wykorzystywałem je na codzień i objechały ze mną całą Polskę. Ten ruchomy charakter pracy ułatwiał mi posiadanie samochodu. Za pozostawione pieniądze w banku angielskim, nabyłem samochód używany w firmie belgijskiej. Samochód marki Chevrolet w bardzo dobrym stanie, jak na tamte czasy był on nowoczesny, automatyczne skrzynia biegów, radio, opony bezdętkowe. Musiałem go sprzedać, gdyż była wysoka stawka celna, której nie mogłem pokryć. Za pozostałą mi sumę kupiłem nowy samochód P-70. Był to pojazd o niskim standarcie ale służył mi przez kilkanaście lat. Sprzedałem go z chwilą odejścia na emeryturę. Kończyłem 65 lat, był to tak zwany wiek emerytalny, postanowiłem przejść na emeryturę, bez żadnych wahań, mimo że mogłem jeszcze pracować. Wybrałem sobie dwa najkorzystniejsze lata z szeregu ostatnich dziesiątki lat ~~idd~~ co służyło do obliczenia emerytury. Od stycznia 1970 roku stałem się emerytem. Na emeryturze dolicza mi 25% za krzyż Virtuti Militari, co w sumie

dawało możliwe warunki egzystencji. Nastąpił jakgdyby nowy okres życia, ale nie zrywałem całkowicie kontaktu z zawodem i dorabiałem jeszcze niewielkie sumy. Przez tak długie lata zerwałem całkowicie kontakt z rodziną, od dzieciństwa szedłem zawsze sam, znikąd jakiejkolwiek pomocy, chociażby moralnej. Przebijałem się przez życie sam, czułem ten ciężar, rodzina to jedna trzecia sukcesu, ale wszedłem w ten charakter życia, i nie mogłem się od niego uwolnić. Stale jednak gnębiła mnie ta myśl, że muszę tam pojechać i zobaczyć, co stało się z moim rodzeństwem. Ba, nawet tęskniłem, za polami dziecinnych lat tej cichej wsi. Wyjazd ten odkładałem, zawsze znalazły się jakieś przyczyny pilniejszych zajęć i przywiązanie do codziennych robót. Postanowienie jednak było trwałe.

Rozdział VI /sen/

Nadarzyła się taka okazja. Córka przyjechała służbowo do Warszawy i ze względu na bieg zajęć nie mogła przyjechać do Wrocławia, prosiła abym ja przyjechał do Warszawy. Zgodziłem się natychmiast i postanowiłem wykorzystać tę okazję aby odwiedzić strony rodzinne. Miałem jednak pewną tremę, jak będę reagował na to dawne otoczenie, jakie wrażenie to na mnie uczyni.

Po spotkaniu się z córką i jej odjeździe do Belgradu, zdobyłem się na odwagę i udałem się do Grójca. Podróż odbyłem autobusem. Droga Warszawa - Pułtusk znałem dobrze. Z okien autobusu starałem przypomnieć sobie jej szczegóły ale nic mi się nie zgadzało. Dojechaliśmy do Pułtuska. Tu przecież jako chłopiec spędziłem siedem lat, znany mi był każdy zakątek, chciałoby się powiedzieć, że do bólu moje miasto. Wszystko jednak wydało mi się obce, to nie to samo miasto tętniące życiem młodzieży. Wówczas były tu trzy szkoły średnie, para tysięcy kształcącej się młodzieży, miasto schludne, znajome uśmiechnięte twarze. Dzisiaj inna ulica, smętne obejrzą, chodniki pozapadane, śmieci i papiery pędzone wiatrem przelatują rynek z końca do końca, sklepy nieliczne, lokali brak. Lokal dawnego teatru amatorskiego zamieniony na jakiś inny użytek, kin nie widać, a wówczas były dwa. Udaję się na miejsce, gdzie była moja szkoła. Nie mogę ustalić budynku, po jakimś czasie ustalam ten budynek, część jego jest rozebrana a w pozostałej części jest szkoła zawodowa, przez okna widzę urządzenia do szycia. Wszystko wydaje mi się nieliczne, zaniedbane. Udaję się do „gmachu" gimnazjum męskiego. Park

uczniów kręci się przed szkołą. Dawniej dość obszerny dziedziniec szkoły wrzał życiem. Udaję się nad Narew, dużo czasu dawniej spędziłem nad tą rzeką. Tu niema zmian. Płynie spokojnie, tylko most przeniesiony w inne miejsce a na miejscu poprzedniego mostu jest kładka. Ileż to razy stało się na tym moście wiosną kiedy płynęła kra krojona prze izbice, wydawała zgrzyty, przewracała się i płynęła dalej. Latem kręciły się tu łódki w nich młodzież, czasem flisacy z pasmami płynących drzew. Dziś na rzece cisza a przecież to okres lata. To miasto w którym kształciła się młodzież przez przeciąg wieków, gdzie kształcił się Piotr Skarga, gdzie kształciła się młodzież zagraniczna, dzisiaj stało się kopciuszkiem w ramach Polski. W miarę możności wykorzystałem czas między autobusami, powróciłem na stację autobusową i odjechałem do Gródka. Odległość nie duża około 14 kilometrów, ale ileż to razy przez siedem lat zimą i latem przemierzałem tę drogę pieszo. Znałem każdy dom po drodze, można rzec, każde drzewo a nawet kamień na którym się czasem odpoczywało. Zdarzały się wypadki, że ktoś uczynny zabierał na furkę aby dotrzeć do domu w wieczornych godzinach.

Dojeżdżamy do Gródka. Pamiętałem, że na początku wsi stały trzy krzyże. Niema ich. Dawny folwark, stoi parę zabudowań a dalej parę zagród. Oto most i płytka struga, właściwie parów, tu zaczynała się nasza parcela karczmy. Kilkadziesiąt metrów z tąd stały zabudowania karczmy. Nie poznaję chwilowo tego miejsca. Zatrzymuje się autobus. Jeden z podróżnych, z którym nawiązałem rozmowę i dowiedziałem się, że nikogo z rodziny we wsi już nie było, mówi: To już Gródek, poznaje pan? Trochę się waham ale wysiadam razem z nim. Poznaję parcelę chociaż są inne zabudowania, ale zarys pozostał ten sam. Poznaję rozrzucone pozostałe jeszcze drzewa owocowe, które sadziłem razem z ojcem. Potężne jabłonie obsypane jabłkami. Ileżone mają lat? Liczę około sześćdziesiąt, jeszcze stoją i rodzą owoce. Opieram się o płot i patrzę na nie, widzę je jako małe drzewka otaczające zabudowania. Cały obraz dzieciństwa przesuwa się jak film od którego nie można oderwać oczu, film własnego życia. Napływają mi łzy do oczu. Ścisnęło mnie coś w gardle, powstał wielki żal, że to tak kochane miejsce przeszło w obce ręce, że nie mogę

On wstaje i dotknę tego co mnie dawno otaczało. Budzi się żal do ojca, który zmarnotrawił to co dostał od swoich rodziców a dzieci rozeszły się w świat. To ciężkie przeżycie, czy należy stworzyć, czy być pobłażliwym, czy może sfilmować tę rodzinną tragedię, przyczynami obiektywnymi, które przyszły z zewnątrz. Śródwiersza śmierć matki, wojna jedna, druga, trzecia, które przeszły te tereny w krótkim czasie, ale mimo to nie mogę znaleźć wytłumaczenia, dlaczego tyle innych zagród stoi na tym samym miejscu, tyle innych rodzin utrzymało swoją egzystencję i pozwoliło im się mnożyć. Przechodnie przyglądają mi się, pewnie do kogoś obcy, przyjechał za jakimś interesem. Dowiadują się od mojego przygodnego podróżnego, że to właśnie ja jestem, ten Piotrek Andrzej który poszedł do szkół, tak dawno się mówiło. Słuchy chodziły, że zostałem zabity na wojnie, już trzy razy byłem upamiętniony, a ja wciąż żyję. Wielu myślało że to kogoś obcy a tylko w jakimś celu podaje się za niego. Spotykam podobnych podających się za kuzynów, ale nie spotykam znajomych. Moje pokolenie już prawie

wymarło. W tym momecie poczułem się starym, bardzo starym, mimo że byłem pełen sił, jak gdym życie zaczynał od tamtych czasów. Uwolniwszy się od spotkanych ludzi, poszedłem prze wieś do drugiej części naszego gospodarstwa które było w głębi wsi. Idąc, staram sobie przypomnieć każde zabudowanie. Jeszcze niektóre zabudowania z tamtych czasów stoją na swoim dawnym miejscu, dużo nowych zabudowań, niektóre murowane. Widać dostatek, światło elektryczne w zagrodach, anteny telewizyjne na dachach, odzywa się charakterystyczny warkot ciągników. Te pięćdziesiąt lat zmieniły wieś na korzyść. Staram się przypomnieć w których budynkach były szkoły ale przychodzi mi to z trudem. Dochodzę do naszego pola. Zchodzę z drogi na małe wzniesienie zkąd łatwiej obserwować, tu właśnie przed wiekami stał ten mały gródek. Nie mogę odtworzyć dawnych granic, zostały pozmieniane ale na horyzoncie widzę las, to ten który zakładał mój dziadek. Z zapadórka widać tylko wierzchołki sosen, widoczność przesłania olszyna która i dawniej tu była. Udaję się w stronę

lasu idąc dróżką między zbożami. Jak dawniej te same łany żyta, muskane wiatrem wywołują fale zmieniające się barwami, cicho szumi to zboże, śpiewa swoistą pieśń a wszytko to trwa już wieki, od czasu kiedy zostały wykarczowane białe brzozy tworzące Puszczę Białą. W tym sielskim i przyjemnym nastroju docieram do naszego lasku, który w moim dawnym czasie był jeszcze zagajnikiem. Aby odpocząć siadam na pierwszym pniu, dawno już ściętego drzewa. Tak to mój dziadek, gdzieś w tym miejscu również sobie przysiadł na chwilę i zasnął. Sen był nazbyt długi, ziemia wilgotna, został sparaliżowany, pół ciała na półwładne pozostało. Potem poruszał się przy pomocy laski. Cały czas siedząc myślałem o tym aby nie zasnąć aby nie spotkały mnie te same konsekwencje. Myślałem, tylko chwilę posiedzę, zasnąłem. Czas między świadomością a snem trwał zapewne chwilę. Kontury drzew rysowały się co raz to łagodniej, zatracała się barwa aż do szarych cieni których kłębowiska tworzyły fantastyczne kształty. Rysowały się w tym wszystkim kształty ludzi, zwierząt, domów, jakieś pola i fragmenty widzianych wypadków. A oto jakiś człowiek,

kształt jego rysuje się coraz wyraźniej, zbliża się oparty na lasce porusza się z trudem, to dziadek, tak rozpoznaję go już wyraźnie. Wyciąga władną rękę w moją stronę, słyszę już głos. Z początku nie wyraźny, rozróżniam już niektóre słowa, w końcu całe zdania. Czekałem na ciebie - rzekł. Długo czekałem, musi to być już lat sześćdziesiąt. Pilnowałem cię, byłem zawsze z tobą. Tyle czasu, aż wreszcie tu chcę ci przypomnieć dzieje naszego rodu. - Tu podniósł rękę do poziomu jakby chciał wskazywać miejsca historii. - Patrz to pola Grunwaldu. - Wzrok utkwił gdzieś daleko - Widzisz to pole pełne ludzi i koni, to bitwa, a oto on chłop tęgi i silny, obraca się w tej ciżbie, obok niego jego towarzysze prą do przodu, za nimi pozostaje pokot jak przeręba w lesie, docierają końca. Widzisz go? spojrzał na swoje żniwo. ale oto zabiega mu krzyżak konny, zbliża się kłusem, będzie atakował, przyśpiesza tempo konia, miecz gotowy do cięcia. On zaś stoi na rozwartych nogach, tarcza przed sobą, dzida lekko cofnięta, wzrok utkwiony w przeciwnika, śledzą każdy jego ruch i jego zamiar, koń w pełnym pędzie już tuż przy nim. On uskoczył w bok.

Miecz krzyżaka nawet nie dotknął wysuniętej tarczy. Krzyżak osadził konia, zawrócił, już wolniejszym kłusem zbliża się powoli, najeźdźca. Pułapka on stoi w miejscu, jakby czekał, ale oczy błyszczą jak u wilka. Jest na wprost końskiej głowy, kiedy jeździec chciał ciąć on skoczył pod szyję konia, pułapka, złapał konia za uzdę, silny, osadził go na miejscu, krzyżak nie może ciąć, stara się kłuciem dosięgnąć go ale nie czyni się po tarczy. Koń szarpnięty za wędzidła cofa się i siada na zadzie. Krzyżak chwyta się za tę siodła ale ten moment wykorzystał aby pchnąć go drzewcem i zwalić z siodła. Ciężko zbrojony krzyżak runął na ziemię aż blachy zbroi zadźwięczały. On jednym skokiem dopadł do opancerzonego jeźdźca, kolanem przycisnął pierś a lewą rękę z mieczem przycisnął do ziemi. Uderzył drzewcem w przyłbicę, otwarła się. Przerażone zaczerwienione oczy wroga błagają o litość ale drzewce zamarza się w dłoni otworze z całą siłą, przejedynek skończony. Bitwa cicha, nieprzyjaciel rozpłaszczony ginie lub cicha. On zdejmuje zbroję z pokonanego, zabiera konia, powraca

do swoich, jest przyjmowany owacyjnie wśród współtowarzyszy. A oto po bitwie sekretarz królewski czyta listę nobilitowanych. Tak! jest on założyciel rodu szlacheckiego herbu Lubicz Chełchowski z Chełch. Ród przyjął na siebie obowiązki szlachty i jego życie związane zostało z historią Polski. Prawie każde pokolenie brało udział w pospolitych ruszeniach, lub zaciągali się do wojsk królewskich. Żadna z większych krucjat nie ominęła rodu. Bitwy z tatarami, turkami, wyprawy na Wołoszczyznę. Wielu ginęło, niektórzy sadowili się na inny obszarach i tam zakładali rodziny. A oto Psków. Batory przyjmuje hołd bojarów. Stoi w pierwszym szeregu jazdy królewskiej ale to już dalekie pokolenie. Wiedeń z Sobieskim i powrót po zwycięstwie. Radość w rodzinie i powitanie zwycięzców. Zabawa w domu. Gra kapela żydowska. Mazur. Najpiękniejszy taniec polski. Tańczą cztery pary. Rozstawieni w rogach pokoju. Z pierwszym taktem muzyki pierwsze kroki do środka a potem zmiana miejsc, popatrz jaki piękny krok niby skoczny ale posuwisty, pełen gracji, tylko wyłgi kontuszy czasem

podnoszą się jak skrzydła, to znów opadają, a ileż to figur, trudno policzyć. Nadeszły złe czasy, rozbiory, upadek morale, umiejętne niszczenie przez wroga najbardziej wartościowej warstwy społecznej. W naszym rodzie nigdy nie zabrakło patriotyzmu i ofiarności dla ojczyzny. Ciąg tej ofiarności nigdy się nie kończył. Raszyn, Dubienka, Ostrołęka. Pod Ostrołęką ~~ósmy~~ czwarty pułk ułanów, ojciec i synowie w jednym szwadronie. Na polach Ostrołęki szarża, szwadrony rozwinięte, jeźdźcy pochyleni w siodłach cwałem uderzają na nieprzyjaciela, błyska w słońcu biała broń, starcie, ale widzisz ojciec baczy na najmłodszego aby nie odniósły krzywdy, prowadzi szwadron ale stara się być w jego pobliżu, wyszli cało. A oto Powstanie styczniowe i twój pradziadek. Puszcza Biała w kompanii Bartułta, to już tu gdzie dzisiaj jesteśmy. Potyczki ukrywanie się, w końcu pług i kosa.

X Znam twoje przejścia - tu zwrócił się w moją stronę - spełniłeś swój obowiązek, podtrzymałeś tradycję rodu. Przekaż ją dalej. Czyń swoją powinność. Cień zaczął niknąć, jeszcze słychać było powtarzane ostatnie zdania. Cień znikł, obudziłem się.

Pierwszy odruch to sprawdzanie rąk i nóg czy są władne, czy aby nie podzieliłem losów dziadka. Ale wszystko musiało trwać zaledwie chwilę. Słońce było w tym samym miejscu a las szumiał swoją bezkresną pieśń dla wszystkich pokoleń jednakowo. Tą samą dróżką udałem się w stronę wsi. Łany zbóż falowały przy lekkim podmuchu wiatru mieniąc swoje odcienie barw. Nie opuszczała mnie myśl ostatniego przeżycia. Nie chodziło mi o samo zjasko, lecz o historię z nim związaną. A swoją drogą, jak patriotyczną musiała być szlachta i jak miała wielkie poczucie swoich obowiązków i to tylko za jeden przywilej, zwolnienia od pańszczyzny. Przecież w owym czasie nie było komisji poborowych, lekarzy kwalifikujących stan zdrowia. Każdy sam musiał to wszystko oceniać. Nie było dziedzińców koszarowych, magazynów uzbrojenia i magazynów żywnościowych. Przed każdą wyprawą i na codzień to wszystko musiało być przygotowywane we własnej posiadłości. Młodzież od najmłodszych lat musiała te wszystki ćwiczenia uprawiać na własnym podwórku pod okiem własnych instruktorów, którymi

byli ojcowie lub starsi bracia. Konie broń i wszelkie inne oporządzenie trzeba było nabyć ze własne pieniądze, a przecież cały dom i rodzinę trzeba było utrzymać własną pracą. Szlachta tworzyła silny trzon państwa i tak długo dokąd ten trzon był nie zniszczony egzystencja państwa była nie naruszona. Zaborcy doskonale zdawali sobie z tego sprawę. To też aby zniszczyć państwo polskie trzeba było zniszczyć szlachtę. To też niszczono ją wszelkimi sposobami. Przekupstwo w pierwszym rzędzie. Kiedy to nie dało całkowitych efektów, uciekniętno się do jej fizycznego zniszczenia i tak wzdłuż rosyjskim tysiącami wywożono na Syberię, w zaborze austriackim płacono siedem koron za zabicie szlachcica a pięć za zranienie, w zaborze niemieckim niszczono szlachtę ekonomicznie lub administracyjnie. Trwało to wiele jak wiek, czyli cztery pokolenia. Z dawnej szlachty pozostały szczątki lub zrównały się z chłopem. Jednak walony narodowe szlachty pozostały w społeczeństwie i objęły warstwę chłopską. Chłop żyjący najbliżej szlachty z roli swojego zawodu

przejął tę pałeczkę narodowego patriotyzmu o czym świadczy odrodzenie po pierwszej wojnie światowej. Czy ten stan patriotyzmu narodowego utrzyma się po drugiej wojnie światowej, trudno jest już dzisiaj określić, to dopiero pokaże przyszłość. Prognozy można przewidywać różne. Uprzemysłowienie, które gwałtownie rozwinęło się po wojnie, pochłonęło masę ludzi, rekrutowanych ze wsi. Z małymi wyjątkami gro robotników w przemyśle, stanowią ludzie wsi, przeszli do przemysłu ze swoimi zapatrywaniami i nawykami. Nowe warunki spowodowały i powodują pewne zmiany, jedne są korzystne inne są ujemne. Jaki charakter polaka wytworzy się po jakimś okresie czasu, trudno jest dzisiaj przewidzieć. Trzeba by było, wielkich umysłów aby te masy społeczne poprowadzić po drodze prawej. Umysłów takich nie posiadamy a ci którzy mienią się przewódcami, dalecy są od prawości. Pojawiła się cała kasta karierowiczów, największe zło społeczne. Karierowicz dla kariery, gotów jest wszystko uczynić a za tym koterie, nadużycia i odniżenie ogólnej moralności. Jeżeli stan ten trwał będzie długo, powiedzmy, przez jedno pokolenie, to należałoby uważać, że moralność nasza jest zagrożona,

Rozdział VII - spotkanie rodzinne

Otrzymałem skąpe wiadomości o rodzinie od przypadkowego mężczyzny w autobusie. Dowiaduję się, że z całej rodziny żyje tylko najmłodsza siostra, myślę, ile lat jest młodsza, pewnie około dwanaście, jak odchodziłem była mała dziewczynka. Siostra ta podobno mieszka w Gliwicach ma trzech synów ale sam również jest dwie siostry młodsze siostry ode mnie. Dokładnych adresów nie otrzymuję. Myśl błądzi, jak ich odszukać, czy wogóle odszukiwać, jak wówczas ustosunkują się do mnie. Zapewne okażą żal a i nie obędzie się bez wymówek, że nie pomogłem im w najcięższych czasach. Dzisiaj to wszystko wydaje mi się niezasadnym tłumaczenia byłyby puste. Ciężar który dźwigałem na sobie nie byłby dostatecznym argumentem, zresztą nie chciałem i nie myślałem o usprawiedliwianiu się, to byłyby puste słowa. Po przez Pułtusk, Warszawę, wracałem do Krotoszyna. Myśli ostatnich przeżyć nie opuszczają mnie ani na chwilę. Obrazy przeszłości snują się jak wielki film, film własnego życia, przeżywam to wszystko jeszcze raz. Myśli przebiegają błyskawicznie, a mimo że, że wogóle tam pojechałem, to zbyt ciężkie przeżycie, jak na mój wiek. Zdarzyło mi myśleć

jak złagodzić ten wstrząs przeżyję, ale mi przychodzi do mi Tatar. W takim stanie psychicznym powróciłam do domu. Pewnego dnia, jakiś tydzień po moim pobycie w Krótku, otrzymuję telefon z biura. Kobieta przedstawia się jako siostrzenica. Objaśnia mnie, że z tym samym czasie co ja, był w Krótku i dowiedział się, że mieszkam w Krotoszynie. Z ciekawości przeglądnięto książkę telefoniczną i efektem jest ten telefon. Upewnić się czy właśnie ja, to jestem ja. Po krótkiej rozmowie oddał słuchawkę matce swojej a mojej siostrze. Przez chwilę nie mogła mówić, słychać było szloch, po chwili mówi - Piotrek to jesteś ty, słyszeliśmy, że byłeś zabity - Tak to jestem ja i jeszcze żyję. Ustaliliśmy spotkanie i podaliśmy swoje adresy. Siostra nie mogła wytrzymać długo i po tygodniu przyjechała z najstarszym synem. Pierwsze spotkanie, bo tak to można nazwać, było najważniejszym momentem. Myślałem jak nad tą sprawą, chciałem aby wyszło ono jak najbardziej naturalnie i aby ta więź rodzinna, przerwana przez tyle lat, odżyła w swojej jak najlepszej formie. Siostra weszła do domu, patrzę na nią i chcę odtworzyć jakieś ślady podobieństwa do tej dziewczynki którą pamiętam, kiedy ja ostatni raz widziałem. Nic z tego obrazu nie pozostało. Jest dość starsza

Kobieta mocno sparaliżowana ale pełna energii. Przyjęła mnie jak najbardziej serdecznie. Początkowo rozmowa przebiegała ostrożnie. Po pierwsze, siostra chciała się upewnić, czy rzeczywiście jestem tym za kogo się podaję, a jeżeli tak to się będzie zgadzało, to następnie, czy nie będę wykazywał swojej wyższości jako człowiek stojący wyżej intelektualnie. Postarałem się te wszystkie obawy rozwiać. Kontakt rodzinny dał się szybko nawiązać i po paru chwilach rozmawialiśmy tak jakby dystansu czasu nie istniało. Dla mnie, to był dalszy ciąg mojego życia w miejscu gdzie fizycznie nie byłem. Użalała się na swoje życie i trudy jakie znosiła, czyniła mi zarzuty, że zerwałem kontakt z rodziną, że nie dałem jej pomocy. Poczułem gorzko swoją winę, mimo że na wszystko miałem swoje usprawiedliwienie. Tak, ale to było moje usprawiedliwienie. Ona tego zrozumieć nie mogła. Po tych obszernych czasem drobiazgowych opowiadaniach, kto i jak żył, kiedy umarł, jacy potomkowie z rodziny zostali, przeszliśmy na tematy bliższe w których obecnie się znajdujemy. Siostra jakby odmieniona zaczęła. - No cóż, a dziś chwili materialnie jesteśmy w dobrych warunkach, nie brakuje nam pieniędzy, prowadzimy nie dużą gospodarkę ale dochodową a ja ponadto mogę zarabiać. Mam trzech synów, którzy są już żonaci

i mają swoje rodziny. Jeszcze są dwie siostrzenice po Maryśce (młodsza ode mnie siostra), które po wojnie zabrałam ze sobą na „Mazury" bo my obydwie z Maryśką i obydwie siostrzenice, jeszcze wówczas nie duże dziewczynki, byłyśmy wywiezione na roboty. Po zakończeniu wojny powróciłyśmy do Gródka. Maryśka mocno wyniszczona fizycznie na robotach u niemców zmarła po powrocie. Z moim obecnym mężem utrzymywaliśmy bliskie stosunki jeszcze przed wojną, on był w niewoli a po jego powrocie wyjechaliśmy na „Mazury", objęliśmy gospodarkę i tam wzięliśmy ślub. Chłopcy rośli, trzeba było ich wysłać do szkoły, dla nas dwoje była to za duża gospodarka, nie dawaliśmy rady, to też sprzedaliśmy ją i kupiliśmy mniejszą w Biżycku, gdzie obecnie jesteśmy. Synowie już na siebie pracują i nieźle im się powodzi, chociaż matka od czasu do czasu zasili ich większą gotówką aby mogli pokupować sobie samochody. Najstarszy, który przyjechał ze mną, wybudował sobie willę w Biżycku i ten jest najbardziej przedsiębiorczy.- Z kolei ja opowiedziałem swoje przejścia prawie chronologicznie, a znane z niniejszych zapisków. Opowiedziałem o swoich dzieciach i ich osiągnięciach, ba nawet o wnukach, którzy rozpoczęli lub niedługo rozpoczną naukę na wyższych uczelniach.

Zreasumujmy domowe sprawy. Po śmierci matki i po moim odejściu z domu ojciec ożenił się jeszcze dwa razy, druga żona również umarła, po tych dwóch macochach pozostało jeszcze dwie dziewczynki, losów ich nie znaliśmy dokładnie. Następnie zmarł na płuca brat młodszy Stanisław, jeszcze przed wojną zmarł na gruźlicę kości drugi brat Czesław, po wojnie zmarł ojciec i siostra Maria po powrocie z przymusowych robót w Niemczech. Pozostało nas dwoje ja najstarszy i najmłodsza Wanda, która właśnie przyjechała. Na pożegnanie usilnie zapraszała do Biżycka aby ją odwiedzić i poznać rodzinę. Przyrzekłem odwiedzić ich w Biżycku. Odwiedziny przygotowałem w niedługim czasie i miałem na uwadze aby to wszystko wypadło jak najbardziej pomyślnie. Połączenie kolejowe wygodne, pociąg bezpośredni Wrocław-Biżycko. Zawiadomiłem o swym przyjeździe. Na stacji czekał na mnie z samochodem najstarszy siostrzeniec. W domu siostra i szwagier witali mnie ze łzami w oczach. Wyczuwałem wielką radość. Zaprezentowali mi swój dom i swoją gospodarkę, swoje synowe i wnuki, siostrzeńcy zjawili się dopiero wieczorem, byli na wyjeździe w poszukiwaniu samochodów dla swoich potrzeb. Trzeba było ułożyć plan wizyt, gdyż chciałem zapoznać

całą najbliższą i pozostałą po perypetiach wojennych rodzinę. Jak gdyby, gwałtownie powiększona rodzina, zmusiła mnie do sporządzenia listy abym mógł zapamiętać liczne imiona a nawet nazwiska. W domu siostry poznałem dwuch siostrzeńców i ich rodziny, najstarszego, który był we Wrocławiu już znałem, lecz mieszkał on już we własnym domu. Trzeba było złożyć wizytę w jego domu i w domu jednej siostrzenicy, gdyż druga była na wczasach. Pierwsza wizyta odbyła się u najstarszego siostrzeńca, poznałem jego żonę i dzieci. Siostrzeniec cieszył się, że może pokazać mi swoje znaczne osiągnięcia i to wypracowane własnymi wysiłkami. Trzeba przyznać, że osiągnia były duże. Własny wybudowany dom, dotego urządzony, samochód, syn i córka uczęszczający do szkoły podstawowej. Wyczyn nie lada i wart pochwały. Drugi dzień to wizyta u siostrzenicy Ireny. Wyszła zamąż za sierżanta nazywa się obecnie Gnich. Dom urządzony i wzorowo utrzymany. Troje dzieci, syn i dwie córki. Syn chorował na zapalenie mózgu co skomplikowało naukę. Dwie córki uczęszczają do szkoły średniej. Starsza w roku przedmaturalnym.

Starałem się nastawić rodziców aby skierowali ją na wyższe studia, ale nie wyszło, miała trudności z maturą i po poprawkach maturę otrzymała. Poszła do pracy. Na wyniki drugiej córki trzeba poczekać, rokuje dobre nadzieje. Mąż siostrzenicy zrobił na mnie dobre wrażenie. Przy odjeździe żegnała mnie cała rodzina, byłem rozczulony. Siostrzenica której nie poznałem została zawiadomiona telefonicznie aby wstąpiła do mnie w czasie powrotu z wczasów. Otrzymałem zawiadomienie telefoniczne od niej, kiedy przyjeżdża i jak mamy spotkać ~~się~~ poznać się na dworcu we Wrocławiu. Spotkanie odbyło się bez trudności jakby wiedzione instynktem mimo dużej ilości ludzi na stacji. Nazywa się obecni Zofia Molesta, ma syna, już żonaty i zamieszkuje w lubelskim województwie. Mąż tej siostrzenicy nie żyje zginął tragicznie. Jest ona najbardziej poszkodowaną osobą z całej naszej żyjącej rodziny, ale przemiła, bezpośrednia i bardzo zaradna, potrafi zarobić, dużo podróżuje i to własnym samochodem. Obydwie siostrzenice wychowane przez siostrę bez współudziału ojca. Mąż siostry ~~p~~ ożenił się powtórnie bez otrzymania rozwodu, poprostu bigamia,

za co odpowiadał sądownie. Siostra tylko własnym wysiłkiem wychowała te dziewczynki. Wspomniałem, że Zosia jest najbardziej poszkodowaną z naszej żyjącej rodziny. Jako małe dziecko, żyła w trudnych warunkach materialnych, bez opieki ojca. Jako czternastoletnia dziewczynka wywieziona na przymusowe roboty do Prus. Przejściu frontu z różnymi trudnościami przywędrowała do domu. Matka umiera w tym czasie. Pozostaje na utrzymaniu swojej ciotki a mojej siostry aż do wieku dojrzałego, już radzi sobie sama. Wychodzi zamąż, dwie ciężkie operacje po porodzie. Wkrótce mąż ginie tragicznie. W czasie wekendu wybrali się na wyspę. Siostrzenica pojechała samochodem a mąż popłynął łodzią motorową. Na miejscu stwierdzono, że brak chleba. - Zaraz przywiozę, to żadna trudność - wsiadł do łodzi i odjechał. Zaginął. Po poszukiwaniach odnaleziono łódź i jego zwłoki obok, wypadł z łodzi i utopił się, taka ogólna ocena. Lekarz jednak stwierdził, że był to zawał serca i zanim wpadł do wody, już nie żył. Byłem w jej mieszkaniu w czasie powtórnego pobytu w Giżycku. Mieszkanie urządzone i utrzymane. Żyje samotnie ale zawsze

jest pogodna. Kiedy odwiedziła mnie we Wrocławiu, dowiedziałem się szereg tajemnic rodzinnych, które siostra ukrywała. W czasie rozmowy w pewnym momencie zwraca się do mnie. – Wujeczku, /bo tak zawsze się do mnie zwraca/ Ty pewno nie wiesz, że Rysiek, ~~jest~~ /chodzi o najstarszego siostrzeńca/ jest nieślubnym dzieckiem ciotki i nosi nazwisko Chełchowski, ~~Zaskoczyło to mnie~~ wychowywał się u dziadka i mimo propozycji wuja /męża siostry/ nie chciał się zgodzić na nazwisko Łada. – Zaskoczyło to mnie. W tych wszystkich przejściach jakie siostra miała, ten wypadek, nie mógł wpływać na mój stosunek do ~~siost~~ niej. Powstał nawet pewien paradoks, że większą sympatię darzyłem Ryśka. Tak więc mam jednego siostrzeńca o nazwisku Ryszard Chełchowski i dwóch siostrzeńców Jerzy i Wiesław Łada. Teraz w miarę możliwości, staram się utrzymać kontakt drogą korespondencyjną. Zawsze jedna śledzę życie Ryśka, służę radą aby w pewnej formie wytworzyć uczucie namiastki ojca. Nie wiem jak on to przyjmuje, mam za mało kontaktu osobistego. Wyjazdy są już ograniczone.